



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

2(64) 2023

Rok XVII

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



fot. Wiesław Krajewski



Tadž Mahal.



Czerwony Fort w Agrze.



Jal Mahal - pałac na wodzie w Jaipurze.



Zgiełk ulicy „słyszać” nawet na zdjęciu.



Kościół pw. Franciszka Ksawerego w Bikawerze.



Świątynia Lotosu w Delhi.



Brama Indii w Delhi.



Hinduskie kobiety.

Najludniejsze państwo na świecie. Mieszka tam ponad miliard 400 milionów ludzi. Pod tym względem przewyższają już nawet Chiny. Kraj to też ogromny i różnorodny. Siódmy według powierzchni. Zajmuje większość subkontynentu indyjskiego. Ciągnie się od plaż Oceanu Indyjskiego po szczyty Himalajów. Są tam i pustynie, i lasy tropikalne. Można tam spotkać wszystko. Niewyobrażalne bogactwo i skrajną biedę. Wspaniałe zabytki, pałace maharadzów niczym z baśni i cuda świata, ale też brak higieny, smród, brud i walające się po ulicach serty śmieci. Nowoczesną architekturę i chodzące po ulicach święte krowy (choć raczej nie w stolicy). A wszędzie czuć bogatą historię i odmienną religijną.

O różnorodności religijnej świadczą liczne, bardzo dla nas egzotyczne świątynie, nawet taka, w której czczone są... szczury. Wśród nich się przebywa (oczywiście bez butów), dokarmia, także razem z nimi spożywa posiłki. Z hinduizmem kojarzymy również święte rzeki Ganges i Jamunę. Ale w Indiach są również nowoczesne obiekty kultu, jak Świątynia Lotosu w Delhi, która jest pozbawiona jakichkolwiek symboli religijnych i może się w niej pomodlić każdy, niezależnie od wyznania.

Jednym z siedmiu nowych cudów świata jest Tadź Mahal w Agrze. To mauzoleum zbudowane z białego marmuru przez cesarza Szahdżahana dla przedwcześnie zmarłej, ukochanej żony Mumtaz Mahal. Pochodzący z XVII wieku Tadź Mahal jest uważany za jedną z największych atrakcji turystycznych w Indiach, która przyciąga około 3 miliony turystów rocznie. Znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Takich obiektów jest zresztą dużo więcej, jak obserwatorium astronomiczne w Jaipurze i całe miasto Jaipur, Czerwony Fort w Agrze. Nie sposób wymienić wszystkich.

Ale nie dla każdego turysty to kraj. Pod tym względem Indie także budzą skrajne emocje. Jedni są zachwyceni i chętnie pojadą powtórnie, inni zniechęceni i nie chcą tam więcej wracać.

Wiesław Krajewski



Krasnystaw prawa miejskie otrzymał przed 629 laty. 10 czerwca 2023 roku, podczas uroczystej sesji Rady Miasta tradycyjnie wręczone zostało honorowe wyróżnienie „Złote Karpie”. Otrzymał je nauczyciel i zasłużony trener piłkarski Marek Kwiecień. Podczas gali odbył się również benefis z okazji 50-lecia pracy twórczej naszego redakcyjnego kolegi poety Jana Henryka Cichosza.

W imieniu zespołu redakcyjnego „Nestora” składam obu Panom serdeczne gratulacje.

Andrzej David Misiura

Zespół redakcyjny
Czasopisma artystycznego „Nestor”
ogłasza

Rok Krystyny Anny z Lubomirskich Potockiej
fundatorki kościoła pw. św. Franciszka Ksawerego
oraz kolegium jezuickiego w Krasnymstawie

w 375 rocznicę urodzin fundatorki,
nadchodzącą 325 rocznicę śmierci
oraz 300 rocznicę położenia fresków
przez Adama Swacha
na zakończenie budowy kościoła



Krystyna Potocka (1648-1699).
Obraz olejny, Muzeum Regionalne w Krasnymstawie.

Spis treści

Indie	1
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Słowo redaktora	1
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Warszawski pomnik Kopernika z Krasnymstawem w tle ..	3
<i>Wiesław Krajewski</i>	
W kręgu Augusta Cieszkowskiego i Wierzenicy – rocznice roku 2023	6
<i>Ewa J. i Włodzimierz Buczyński</i>	
Zobaczyć Florencję i... umrzeć	10
<i>Monika Nagowska</i>	
Wypad na Janów	18
<i>Waldemar Seroka</i>	
Grób partyzanta	24
<i>Elżbieta Kmieć</i>	
Krótki poczet organistów borowickich	28
<i>Arkadiusz Kostecki</i>	
Krótki poczet organistów łopiennickich – uzupełnienie ...	33
<i>Arkadiusz Kostecki</i>	
Fenomen Podziemi Kredowych. Zabytkowa kopalnia kredy w Chełmie	34
<i>Jacek Kiszczak</i>	
Mikołaja Sienickiego zameczku tajemnice	41
<i>Tomasz Sienicki</i>	
O prognozowaniu pogody i pianiu koguta	43
<i>Lucjan Cimek</i>	
Niedziela Palmowa – rozmowy z cieniem Z cyklu: Mój Jaślików	45
<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	
Wielkanoc w Moim Jaślikowie w latach 50. – cz. I Z cyklu: Mój Jaślików	46
<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	

Spis treści

Wielkanoc w Moim Jaślikowie w latach 50. – cz. II Z cyklu: Mój Jaślików	47
<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	
Dęblińskie przypadki	50
<i>Marian Rybczyński</i>	
Papież Jan Paweł II – pisarz i poeta	55
<i>Marta Kafarska</i>	
Poezja – Urszula Bydlińska	57
Upamiętnienie 160. rocznicy Powstania Styczniowego w Krasnymstawie	60
<i>Irena Kulik</i>	
Sursum Corda. Obelisk pamięci i wolności w Państwie Żdżańskim	62
<i>Edward Wierchoś</i>	
Wiersze laureatów Konkursu Poezji Więziennej im. Artura Nowosada 2022	67
Dwie książki o granicach	72
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Nie tylko dla koneserów	72
<i>Lucjan Cimek</i>	
Poezja – Artur Daniel Liskowacki	73
Rozmowa z poetą Janem Henrykiem Cichoszem	74
Poezja – Jan Henryk Cichosz	76
Poziomy złożoności	77
<i>Wojciech Bielun (Targosz)</i>	
Lot ponad czasem	82
<i>Jerzy B. Sprawka</i>	
Różne aspekty względności czasu	85
<i>Adam Dąbek</i>	
Ludzki System Operacyjny z Dokręconym Neuronem ...	95
<i>Zbigniew Cimek</i>	

Serdecznie podziękowania za wsparcie finansowe w minionym kwartale składamy na ręce Państwa: Barbary Rusinek-Zdun z Ciechanowa oraz Mirosława Iwańczyka i anonimowej osoby z Krasnegostawu. Łącznie otrzymaliśmy 750 złotych. Dzięki zacnym gestom darczyńców do tej pory udawało się pokryć koszty materiałów drukarskich. Niezmiennie marzymy o przetrwaniu kolejnego roku przez nasze czasopismo „Nestor”.

Darowizny na opłacenie usług drukarskich prosimy kierować na subkonto przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie 25 8200 0008 2001 0012 4067 0004. W tytule przekazu należy wpisać: Nestor. W imieniu czytelników, dziękujemy za każdą wpłatę – Zespół redakcyjny.



NR 2 (64) 2023 – ROK XVII NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnystaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Oficyna Wydawnicza ELIPSA – Andrzej Misiura

Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnystaw

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura

Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Pilat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Pilat (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnystaw)
Lucjan Cimek (Krasnystaw)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Ewa Magdziarz (Krasnystaw)
Monika Nagowska (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chełm)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykula-Zygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Nestor redagowany jest pro publico bono.
Autorzy również nie otrzymują honorariów.

Wiesław Krajewski

Warszawski pomnik Kopernika z Krasnymstawem w tle



Warszawski pomnik Mikołaja Kopernika przed Pałacem Staszica to jeden z najbardziej znanych wizerunków astronoma nie tylko w Polsce. Klasycystyczny pałac został wzniesiony w latach 1820-1823 według projektu Antonia Corazziego dla Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którego w tym czasie prezesem był Stanisław Staszic. Obecnie mieści się tam siedziba m.in. Polskiej Akademii Nauk i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Od początku na placu przed siedzibą Towarzystwa planowano postawienie pomnika Mikołaja Kopernika, a sam Staszic wyłożył na ten cel pokaźną sumę pieniędzy.

Zainteresowanie postacią Kopernika wśród Polaków tak na dobre rozpoczęło się z początkiem XIX wieku. Wcześniej niewiele o nim wiadano, a tylko nieliczni zdawali sobie sprawę z jego odkryć w astronomii. Wspominał o teorii heliocentrycznej co prawda Kasper Nieciecki w swoim dziełku astronomicznym w 1714 roku, ale pozostało ono w rękopisie¹. Prawdziwe odkrycie na nowo postaci i dzieła Kopernika zawdzięczamy jednak Janowi Śniadeckiemu. Na uroczystym otwarciu Kolegium Fizycznego Akademii Krakowskiej (wówczas Szkoły Głównej Koronnej) w 1782 roku wygłosił wykład „Pochwała Mikołaja Kopernika, akademika krakowskiego, astronomii odrodziciela”, jednak przełomowe znaczenie miało wydanie w roku 1803 rozprawy „O Koperniku”, którą Śniadecki faktycznie przywrócił pamięć i dzieło naszego największego astronoma całemu światu. Przetłumaczono ją na kilka języków (streszczenie nawet na perski) i przez długie lata była najpoważniejszym źródłem informacji o Koperniku. Natchnęła ona też wyobraźnię poetów i artystów. Ludwik Osiński w 1808 r. pisał w „Odzie na cześć Kopernika”:

*Dokończ, Śniadecki! Gdzie twój duch przenika,
Czytaj tam imię twego przewodnika;
Wszakże ty jesteś zdolny nam wystawić,
Co Bóg mógł stworzyć, Kopernik objawić.*

Utwór Osińskiego stał się też podobno źródłem natchnienia dla Jana Matejki, gdy malował swój słynny obraz. W tej atmosferze narodziła się też myśl o uhonorowaniu Kopernika w sposób bardziej materialny, wizualny, w formie pomnika. Spośród różnych niezbyt udanych projektów, zdecydowano się powierzyć sprawę duńskiemu artyście Bertelowi Thorvaldsenowi zamieszkałemu w Rzymie. Był on wówczas jednym z najwybitniejszych rzeźbiarzy w Europie. Już wtedy pracował nad pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego w Warszawie. Według zawartej z nim umowy, miała to być *Statua wielkości kolosalnej, siedząca na krześle, odziana togą akademicką, trzymająca sferę armilarną w jednej ręce, mająca oczy zwrócone ku niebu*. Choć kontrakt został podpisany we wrześniu 1820 roku, jednak prace przeciągały się i gipsowy model pomnika dotarł do Warszawy częściowo drogą morską do Hamburga, potem saniami przez Berlin, dopiero w grudniu 1827 roku.



Bertel Thorvaldsen (1770-1844) (źródło: <https://arkivet.thorvaldsensmuseum.dk/personer/bertel-thorvaldsen?highlight=Copernicus>).

Pozostały dwie sprawy do zrealizowania na miejscu – budowa cokołu i odlanie monumentu w brązie. Od początku zbierano fundusze społeczne na budowę pomnika. Z uzyskanych tą dro-

W. Krajewski, „Kasper Nieciecki astronomem?”, „Nestor” 1(27) 2014, ss. 3-5.



Bertel Thorvaldsen, szkice do pomnika Kopernika, 1820-1821, ołówek na papierze, Muzeum Thorvaldsena w Kopenhadze (źródło: <https://arkivet.thorvaldsensmuseum.dk/artikler/copernicus>). Postać stojąca to projekt pomnika hrabiego Włodzimierza Potockiego (dziś w kaplicy Trójcy Świętej na Wawelu).

gą 36 092 zł, aż 4000 zł pochodziło od Staszica. Następne 70000 zł zapisał w testamencie (zmarł w 1826 r.). Staraniem Staszica gromadzono od 1820 roku również kruszec na odlew. Na licytacji po spalonym kościele w Gostyninie zakupiono 5939 funtów spiżu, następnie 13671 funtów miedzi. Ponadto kapituła lubelska podarowała na pomnik dwa uszkodzone dzwony z Krasnegostawu ważące 3718 funtów. Trudno jest jednak powiedzieć bliżej, o które konkretnie dzwony chodziło. Mamy więc w pomniku Kopernika krasnostawski akcent. Prace przy odlewie oraz budowie cokołu pomnika trwały ponad rok. Dla upamiętnienia zbliżającego się odsłonięcia pomnika zamówiono medal u Władysława Oleszczyńskiego studiującego w Paryżu. Medal ten, choć wykonany na wysokim poziomie, miał jednak dwie wady – dotarł do Warszawy ...półtora miesiąca po odsłonięciu pomnika, ponadto w łacińskim tekście popełniono aż dwa błędy ortograficzne. Władysław Oleszczyński był bratem urodzonego w Krasnymstawie Antoniego Oleszczyńskiego – znanego artysty grafika, zamieszkałego również w Paryżu. Mamy więc drugi krasnostawski wątek w tej opowieści. Wątek ciekawy, który rozwinę w kolejnym artykule.

Odsłonięcie pomnika nastąpiło 11 maja 1830 roku. Na uroczystość nie przybył Jan Śniadecki zmożony ciężką chorobą (zmarł kilka miesięcy później), a także rektor uniwersytetu ksiądz

Wojciech Szwejkowski, który miał mieć mszę, również z powodu złego stanu zdrowia. Zamówiona w kościele św. Krzyża msza w ogóle się nie odbyła, gdyż duchowieństwo uważało, że ponieważ Kopernik swoim systemem heliocentrycznym zgrzeszył przeciw Pismu Świętemu i został wyklęty przez papieża, uczczenie jego mszą byłoby świętokradztwem. Oficjalnie skomentowane to zostało lakonicznie: *Tak zgromadzeni członkowie udali się do kościoła św. Krzyża i w cichości wezwali pomocy Najwyższego, poczem wyszli i zajęli miejsca przed posągami*. Takie to były wtedy jeszcze trudne czasy dla Kopernika, choć jego dzieło nie figurowało już w „Indeksie ksiąg zakazanych”. Następnie okolicznościowe przemówienie wygłosił prezes TPN Julian Ursyn Niemcewicz, a gdy już zasłony z pomnika opadły, chór Teatru Narodowego wykonał kantatę Karola Kurpińskiego:

*Witaj, witaj synu ziemi
Ty, coś zmierzył światów zwroty
Już zasiadasz z wybranymi
Gdzie wieczna nagroda cnoty*

*O, słońce rzuć nań promienie
Okryj blaskiem jego głowę
Szczytna mowa gwiazd krążenie
On zrozumiał taką mowę*

Powtórz z Polską ziemio cała
Chwała wielkiemu mężowi
Chwała Kopernikowi
Chwała Polsce, światu chwała!

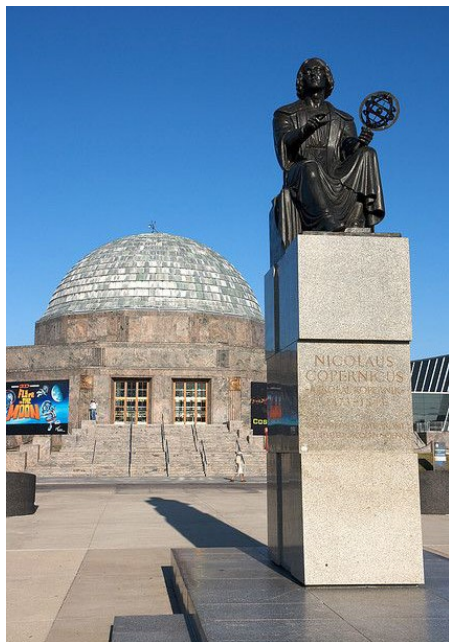
W ostatecznym kształcie pomnik przedstawia siedzącego Mikołaja Kopernika ubranego w togę akademicką, z cyrklem w prawej dłoni i sferą armilarną w lewej. Postać astronoma patrzy przed siebie z lekko uniesionymi oczami ku niebu. Astronom wygląda na młodszego i ma mniej bujne włosy, co nadaje mu spokoju, powagi i harmonii. Złocene napisy na cokole brzmią: z lewej – NICOLAO COPERNICO GRATA PATRIA (pol. Mikołajowi Kopernikowi Wdzięczna Ojczyzna), a od strony prawej – MIKOŁAJOWI KOPERNIKOWI RODACY.



Bertel Thorvaldsen, oryginalny model pomnika w Warszawie, Rzym 1822, Muzeum Thorvaldsena w Kopenhadze (źródło: <https://kataloget.thorvaldsensmuseum.dk/A113>).

Pomnik Kopernika jest w twórczości Thorvaldsena pozycją wybitną. Maria Szymanowska pisała do niego: *Pański sławny pomnik Kopernika w Warszawie jest już ustawiony i budzi ogólny*

podziw. A Maurycy Mochnacki pisał o pomniku: Sarmackie rysy twarzy polskiego astronoma, wspaniałe wejrzenie, genialność całej fizjonomii, kształt, ułożenie, wszystko to zdaje się wyobrażać na pomniku Kopernika głęboką myśl, bystry rozum, wysoką naukę. Myśl, rozum, naukę Polaka, Słowianina. Zdaje mi się jakoby to był reprezentant dzielności umysłowej całego rodu naszego. Monument zachwyca do dziś. Dowodem dwie repliki, które w XX wieku stanęły w Montrealu i Chicago.



Pomnik Mikołaja Kopernika przed Adler Planetarium w Chicago (źródło: <https://pl.pinterest.com/pin/390476230172893118/>).

W czasie II wojny światowej pomnik miał i tragiczną historię. Wśród akcji polskiego podziemia było np. złożenie wieńca w 400 rocznicę śmierci astronoma (1943) czy słynna akcja demontażu niemieckiej tablicy zasłaniającej polski napis („Alek” Dawidowski, 1942). Dziś wydarzenie to upamiętnia wmurowana w posadzkę tablica. Podczas powstania warszawskiego pomnik został poważnie uszkodzony, zrzuty z cokołu i jako przeznaczony na przetopienie, wywieziony z Warszawy. Po wojnie odnaleziono go na złomowisku we wsi Hajduki Nyskie, poddano gruntownej renowacji i przeniesiono na stare miejsce przed Pałacem Staszica. Ponowne odsłonięcie nastąpiło 22 lipca 1949 roku.

Ale i w XXI wieku pomnik stał się obiektem dewastacji. Dwukrotnie ukradziono trzymaną przez astronoma w lewej ręce sferę armilarną. W 2008 roku zrabowany instrument został szybko odzyskany po zwróceniu go przez nieznaną osobę do pracowni konserwacji zabytków. Natomiast w 2011 roku sferę ukradło trzech nastolatków. Po ich zatrzymaniu odzyskano element w nienaruszonym stanie.



Pomnik Kopernika dziś (fot. W. Krajewski).

W maju 2007 roku wprowadzono dodatkowy element w otoczenie pomnika. Nawierzchnię wokół wyłożono czerwonym granitem, w który wkomponowano jasne orbity planet, a na nich odlane z brązu „ciała niebieskie”. Całość wzorowana na schemacie zamieszczonym w „De Revolutionibus”. W ten sposób Kopernik ma u swych stóp model Układu Słonecznego.

Kiedy zdarza mi się przebywać w Warszawie, staram się pójść na plac przy zbiegu Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia, przed Pałac Staszica i podziwiać ten majestatyczny, spokojny i jakże piękny monument. Przypominam sobie wtedy całą jego burzliwą historię, a gdy nadstawię ucha, nawet w zgiełku ulicy słyszę porbrzmiewające echo krasnostawskich dzwonów.

Wiesław Krajewski

Literatura

H. Kotkowska-Bareja, „Pomnik Kopernika”, PWN, Warszawa 1973.

Ewa J. i Włodzimierz Buczyński

W kręgu Augusta
Cieszkowskiego i Wierzenicy
– rocznice roku 2023



W 2023 roku przypada szereg mniej czy bardziej „okrągłych” rocznic związanych z życiem i działalnością Augusta Cieszkowskiego oraz ziemią wierzenicką. Najważniejsza z tych związanych z ziemią wierzenicką, w której dziejach tak mocno zapisał się, to jubileusz 870-lecia Wierzenicy i Wierzonki. Pierwszy zapis o Wierzenicy pojawia się w 1153 roku w dokumencie lokacyjnym najstarszego na ziemiach polskich opactwa cysterskiego w Łeknie koło Wągrowca. Fundatorem klasztoru był Zbylut (Zbilut) z rodu Pałuków. Do jego darowizny dołączyli swoje inni ówcześni możni, w tym Prandota, ofiarując Wierzenicę, a dokładniej jej część. Ksiądz kanonik Stanisław Kozierowski w „Szematyzm historyczny ustrojów parafjalnych dzisiejszej archidiecezji poznańskiej” napisał: *niegdyś rozległa włość o 2 działach, naprzód obu Wierzenicą zwanych a później jako Wierzenica i Wierzeniczka, dziś Wierzonka rozróżnianych*, a dalej: *darował część włości, nazwanej później Wierzonką klasztorowi w Łeknie*. Nabywając Wierzenicę 2 lipca 1842 r., August na trwale związał się z Wielkopolską i z niej mógł prowadzić swoją działalność bez groźby uwięzienia i Sybiru. To po pierwszym uwięzieniu przeniósł się do zaboru pruskiego, najpierw ojciec nabył mu, uznając, że w tym czasie państwo pruskie dopuszczało więcej swobód niż pozostali zaborcy, Dobrin i Kappe czyli Debrzno Wieś i Trudną w dzisiejszym powiecie złotowskim, stamtąd trafił do Wierzenicy. Drugie krótkotrwałe uwięzienie w cytadeli warszawskiej przeżył już jako obywatel pruski w grudniu 1847 r., kiedy wraz z ojcem przyjechali do Warszawy na święta.

Przy kolejnych wydarzeniach podajemy rok i w nawiasie ile lat temu miało ono miejsce.

1743 (280) – Ignacy Cieszkowski, pradiadek Augusta, rozpoczął budowę drewnianego dworu w Suchej, to w nim będą miały miejsce jego narodziny 12 września 1814 r.



Ignacy Cieszkowski, Muzeum Narodowe w Lublinie.



Portret Floriana Cieszkowskiego, Muzeum Narodowe w Lublinie.



Mauzoleum Floriana Cieszkowskiego w Jeruzalu.



Dwór w Suchej.

1783 (240) – August Kicki, dziadek matczy, został sekretarzem króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

1788 (235) – August Kicki został posłem na Sejm Czteroletni zwany Wielkim.

1793 (230) – najbardziej prawdopodobny rok urodzenia (lub 1792) Zofii Kickiej, matki Augusta.

1798 (225) – umiera Florian Cieszkowski, dziadek ojczysty, pochowany w Jeruzalu.

1813 (210) – w Dobrzanach zostaje zawarta umowa przedślubna Zofii z Kickich i Pawła Cieszkowskiego – rodziców Augusta. Początek (?) budowy pałacu w Surhowie.

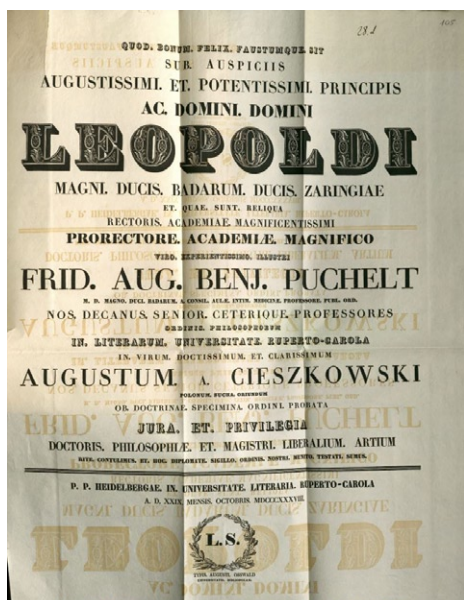
1818 (205) – we Włoszech, we Florencji, umiera Zofia z Kickich Cieszkowska, matka Augusta. Została pochowana w bazylice Santa Croce, a jej serce trafiło do kościoła w Surhowie.

1838 (185) – August Cieszkowski doktorzuje się na uniwersytecie w Heidelbergu pracą o filozofii jońskie jako wstępie do historii filozofii. W Berlinie ukazuje się jego publikacja w języku niemieckim „Prolegomena zur Historiosophie” („Prolegomena do historiozofii”). Nad dysertacją i publikacją pracował w Surhowie.

1843 (180) – pierwszy i drugi pobyt przyjaciela Augusta, romantycznego poety Zygmunta Krasińskiego w Wierzenicy. Do dziś po nich i następnych (w sumie sześciu) pozostały nazwy Aleja Filozofów i Wzgórze Krasińskiego. August publikuje: „Organizacja handlu drzewem i przemysłu leśnego” oraz „O skojarzeniu dążeń i prac umysłowych w W. Księstwie Poznańskim” (ta praca to program pracy organicznej i podstawa ideowa utworzenia w 1857 r. Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego). Do dworu w Suchej zostało dobudowane murowane wejście z klasycystycznym trójarkadowym portykiem i trójkątnym tympanonem, na którym namalowano herb Cieszkowskich.



Epitafium Zofii z Kickich Cieszkowskiej.



Dyplom doktorski.

1848 (175) – August zostaje pierwszy raz wybrany posłem do parlamentu pruskiego. W Paryżu bezimiennie publikuje „Ojciec nasz”, tom I (Wstęp). Uczestniczy w zjeździe międzydzielnicowym we Wrocławiu, który uchwała odezwę do parlamentów świata jego autorstwa. Na wniosek i w myśl jego projektu zostaje utworzona Liga Polska walcząca drogą pokojową o interes narodowy Polaków w zaborze pruskim.

1853 (170) – w sejmie pruskim trzeci wniosek Augusta o polski uniwersytet w Poznaniu. Uczestniczy w Kongresie Statystyki w Brukseli.

1858 (165) – koniec pierwszej prezesury hr. Augusta w Towarzystwie Przyjaciół Nauk Poznańskim (był pierwszym prezesem TPNP).

1863 (160) – hr. August po raz drugi zostaje wybrany prezesem Koła Polskiego w parlamencie pruskim. Publikuje „O drogach ducha”.

1868 (155) – koniec drugiej prezesury (trwającej od 1861 roku) hr. Augusta w Towarzystwie Przyjaciół Nauk Poznańskim.

1873 (150) – hr. August został wpisany w poczet członków krakowskiej Akademii Umiejętności. Przesłane na Wystawę Światową do Wiednia przez Włoską Akademię Sztuk Pięknych „Drzwi z pomnika Cieszkowskiej” autorstwa Teofila Lenartowicza najpierw gubią się, a potem odnajdują, w międzyczasie powstaje ich drugi odlew. Praca zdobywa medal i trafia do Wierzenicy, a drugi odlew na grób matki hr. Augusta do bazyliki Santa Croce we Florencji.

1878 (145) – umiera Kajetan Kicki, brat matki Augusta, większość swojego wielkiego majątku (w tym Orłów Murowany i Orłów Drewniany) wraz z budowlami oraz oszczędnościami przekazał Towarzystwu Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych na szeroko pojęte cele edukacyjne. Trudno nie oprzeć się przekonaniu, że nawiązywało to do działań siostrzeńca odnośnie założenia Wyższej Szkoły Rolniczej im. Haliny w Żabikowie.

1883 (140) – 200. rocznica bitwy pod Wiedniem, w wierzenickim kościele zawisła ufundowana przez hr. Augusta tablica upamiętniająca to wydarzenie (jedna z bardzo niewielu dużego rozmiaru). W *Sobieszynie poświęcenie fundamentów kościoła św. Krzyża powstającego przy udziale funduszy Marii (zmarła w 1885 r.) i Kajetana Kickich.*



Epitafium Kickich w Sobieszynie.

1893 (130) – w Poznaniu, spóźnione o 5 lat, uroczystości 50-lecia pracy naukowej hr. Augusta poprzedzające Trzeci Zjazd Prawników i Ekonomistów Polskich (hr. August kieruje jego przygotowaniem). Inicjuje powstanie Wydziału Prawno-Ekonomicznego w Towarzystwie Przyjaciół Nauk.

1913 (110) – za zgodą Augusta juniora pierwsze zbiórki skautowe (harcerskie) w rejonie Wierzenicy.

1918 (105) – podczas zlotu skautów z zaboru pruskiego (obozowali w rejonie Pawłówka – nieistniejąca już szkoła leśna założone przez Augusta i nazwana na cześć ojca) w Zielone Świątki zaborca rozwiązał polski skauting. Zabór pruski był jedynym, w którym patriotyczna działalność skautów doprowadziła do rozwiązania organizacji przez zaborcę. Rozwiązanie, według przekazów nastąpiło przy pamiętającym czasy króla Władysława Jagiełły dębie, wtedy jeszcze rosnącym koło Kobylnicy (do 1975 r. Kobylnica była w parafii wierzenickiej). Wybitny archeolog Józef Kostrzewski prowadził wykopaliska na „Żaliku”, znajdując groby ciałopalne i szkieletowe.

1923 (100) – zakończenie edycji złożonego z trzech tomów poznańskiego wydania „Ojciec nasz”.

1988 (35) – początek rekonstrukcji wierzenickiego młyna wodnego w Wielkopolskim Parku Etnograficznym w Dziekanowicach nad Jeziorem



Tablica pamiątkowa w kościele w Wierzenicy.

Lednickim. Zakup przez Marię i Marka Kwiatkowskich zrujnowanego dworu – miejsca narodzin Augusta, w Nowej Suchej.

1993 (30) – otwarcie dworu w Nowej Suchej jako placówki muzealnej.



August Kicki, 1794 r., Muzeum
w Krasnymstawie, fot W. Buczyński.

2008 (15) – Akademia Rolnicza im. Augusta Cieszkowskiego w Poznaniu staje się Uniwersytem Przyrodniczym, bez patrona w nazwie. Zostaje otwarty Szlak Kościołów Drewnianych wokół Puszczy Zielonki. Pierwszy w Wielkopolsce oficjalnie wytyczony i oznakowany szlak architektury drewnianej. Wierzenicki kościół jest na nim najstarszą, jako całość, świątynią. Wierzenica znalazła się w obrębie Wielkopolskiej Drogi św. Jakuba.

2013 (10) – inauguracja prac komitetu organizacyjnego obchodów 200-lecia urodzin Augusta Cieszkowskiego. Rozpoczęcie procedury ubiegania się o imię Augusta Cieszkowskiego przez Zespół Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej.

2018 (5) – plac Augusta Cieszkowskiego w Wierzenicy zyskał swój obecny wygląd. W Kobylnicy XXXII Złot Hufca ZHP Poznań-Rejon. Zuchy i harcerze tym złotem uczcili 100. rocznicę rozwiązania skautingu w zaborze pruskim i kilka innych rocznic stulecia. Reprezentacja ZS CKR w Siennicy Różanej uczestnicząca w Narodowej Wystawie Rolniczej z okazji 100-lecia Niepodległości w Poznaniu odwiedziła Wierzenicę, gdzie spoczywają doczesne szczątki patrona szkoły, i Swarzędz, w którym stoi jego pomnik.

Ewa J. i Włodzimierz Buczyńscy

Monika Nagowska

Zobaczyć Florencję i... umrzeć



*Lekka, słodka, powabna, jak się w kogo wnącę,
Łaćnicuch mu na kark rzucę i duszę osmęcę.
Często przemijająca, lecz trudna do zbycia,
Jestem uszczęśliwieniem lub goryczą życia.
Mieszczę w sobie kość rybą, urodzajną ziemię;
Biegun co świąty, wozy, w różnych toczy drogach;
To co u nas mianuje pań i panów plemię [...]*¹.

Zbliżająca się 205 rocznica śmierci Zofii z Kickich Cieszkowskiej – córki starosty krasnostawskiego Augusta Kickiego i Marianny z Kowalkowskich Kickiej – skłania do przypomnienia tej niemal nieznannej postaci związanej z majątkiem ziemskim w Surhowie. Życiorysy dwóch najbliższych jej Augustów – ojca Augusta Kickiego i syna Augusta Cieszkowskiego – są znane nie tylko w kręgu historyków. O samej Zofii wiadomo niewiele. Dobra surhowskie nabyła 6 marca 1786 roku za 190 000 złp od Józefa Dydyńskiego babka Zofii (Katarzyna Kowalkowska z domu Pieglowska). W kontekście Cieszkowskich ziemie te pojawiają się po raz pierwszy w umowie przedślubnej spisanej w Dobrzanach 20 października 1813 roku między Pawłem Cieszkowskim a rodzicami Zofii. Stanowiły wiano panny młodej, a po zamążpójściu – jej odrębną własność zarządzaną przez męża. Odpisy tego dokumentu zachowały się do czasów współczesnych, stąd wiadomo, jaka była jego treść.

Umowa, oprócz zwyczajowych formułek, zawiera wykaz wsi, informację o innych składnikach majątku (np. młynach i browarach), a także oświadczenie, że dobra nie są obciążone długami z wyjątkiem należności kościelnych. W oryginalnym brzmieniu dokument ten przedstawia się następująco:

¹ Logogryf, czyli zagadka – o czym mowa w tej rymowance? Odpowiedź w następnym numerze. *Kalendarzyk kieszonkowy polski i ruski na rok 1817 z zagadkami, szaradami, pocztami i walnemi traktami itd.* Warszawa 1816, ss. 78-79, <https://jbc.bj.uj.edu.pl/dlibra/publication/691186/edition/652977/content> [dostęp: 15. 05. 2023].

Między JJWW² Augustem Kickim Starostą Krasnostawskim Orderów Polskich Kawalerem i Marianną z Kowalkowskich małżonkami z jednej a JW Pawłem Cieszkowskim Starościcem Kleszczewskim z drugiej strony stanął Kontrakt przedślubny w treści następującej –

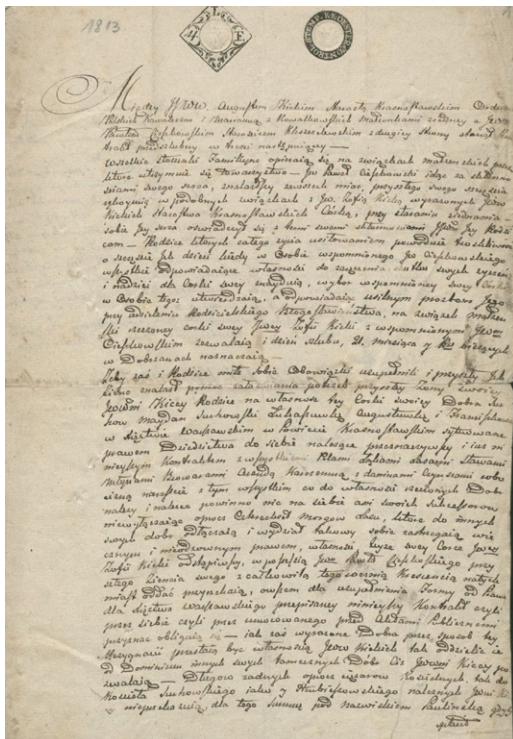
Wszelkie stosunki rodzinne opierają się na związkach małżeńskich, przez które utrzymuje się towarzystwo – JW Paweł Cieszkowski idąc za skłonnościami swego serca, znalazłszy ze wszech miar, przyszłego swego szczęścia ręką w podobnych związkach z JW Zofią Kicką wyrażonych JJWW Kickich Starostwa Krasnostawskich Córką, przy staraniu zjednania sobie Jej serca oświadczył się z temi swemi skłonnościami JJWW Jej Rodzicom [...].

Żeby zaś Rodzice miłe sobie obowiązki uzupełnili i przyszły JW Zięć znalazł pomoc załatwiania potrzeb przyszłej Żony swojej JJWWni Kiccy Rodzice na własność tej Córki swojej dobra Surhów, Majdan Surhowski, Łukaszówkę, Augustówkę i Franciszków w Księstwie Warszawskim w powiecie krasnostawskim sytuowane prawem dziedzictwa do siebie należące przeznaczywszy i już niniejszym kontraktem z wszystkimi polami, łąkami, lasami, stawami, młynami, browarami, arendą karczemną z daninami, czynszami roboczną [...] z tym wszystkim co do własności rzeczonych dóbr należy i należeć powinno nic na siebie ani swoich sukcesorów nie wyłączając, oprócz czterech morgów lasu, które do innych swych dóbr dołączają i wydział takowy sobie zastrzegają wiecznym i nieodzownym prawem, własności [...] swej córce JWej Zofii Kicki[ej] odstąpiwszy. [...] Długów żadnych oprócz ciężarów kościelnych tak do kościoła surhowskiego, jako i skierbieszowskiego należnych JWni Kiccy nie przekazują [...]. A nadto oprócz powyższego przeznaczenia wyrażonych dóbr, wspomnieni JWni Rodzice przyzwolą wyprawę córce swej wyżej wyrażonej podług osobnego inwentarza podpisać się mianego dać oświadczając [...].

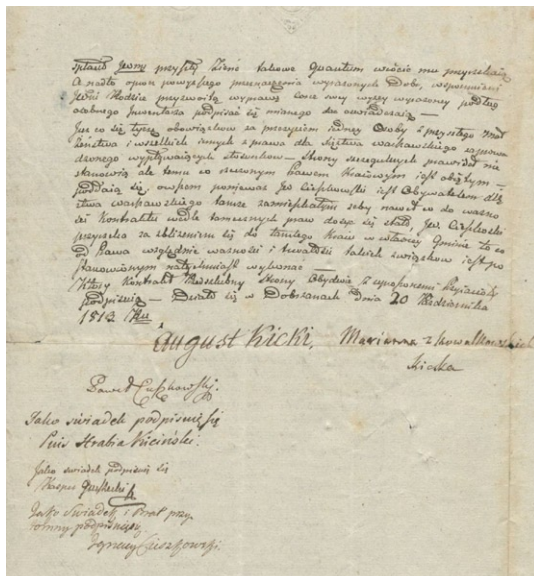
Działo się w Dobrzeanach 20 Października 1813³.

² JJWW, JWW, JWni – Jaśnie Wielmożni.

³ Kontrakt przedślubny znajduje się w zbiorach Archiwum Państwowego w Poznaniu (zespół: Rodzina Cieszkowskich – spuścizna, sygnatura 53/969/0/1.2/8).



Umowa przedślubna zawarta między Pawłem Cieszkowskim a rodzicami Zofii Kickiej 20 października 1813 r. (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Poznaniu, str. 1).



Umowa przedślubna zawarta między Pawłem Cieszkowskim a rodzicami Zofii Kickiej 20 października 1813 r. (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Poznaniu, str. 2).

To właśnie Surhów miał się stać siedzibą nowej rodziny założonej przez Pawła i Zofię. Świadczą o tym poważne inwestycje – znacznych rozmiarów pałac (budowa rozpoczęła się wkrótce po podpisaniu umowy między Cieszkowskim a Kikimami, w latach 1813-1819) oraz murowany kościół parafialny, który z czasem miał zastąpić świątynię drewnianą. August Cieszkowski urodził się jednak 12 września 1814 roku w Suchej – akt urodzenia spisano w parafii św. Krzysztofa w Kopciach, a jego siostra Gabriela 6 września 1815 roku niedaleko Surhowa, w Orłowie Drewnianym (siedzibie dziadka Augusta Kickiego).

W następnym roku – wiosną lub latem – młoda mama wraz z mężem i dziećmi udała się w podróż do Włoch, by podreperować zdrowie. Wyjazd na południe Europy był wówczas tym bardziej wskazany, że rok 1816 nazywany był rokiem bez lata, odnotowano bowiem wówczas liczne anomalie pogodowe i... spodziewano się końca świata. Wszystko to z powodu wybuchu wulkanu Tambora 10 kwietnia 1815 roku w Indonezji. Wulkan wyrzucił podczas erupcji tak wielką ilość pyłu do atmosfery, że w ciągu kilku miesięcy pył ten zasnuł niebo nad półkulą północną i spowodował tzw. zimę wulkaniczną. Globalna temperatura spadła o 1 stopień, zimno i obfite deszcze spowodowały, że plony były bardzo słabe, a ceny wysokie. Z powodu biedy i głodu w 1816 i 1817 roku wybuchały zamieszki. Prawdopodobnie zdrowie i bezpieczeństwo rodziny były pierwszym impulsem do wyjazdu, ponieważ jednak sytuacja z czasem zaczęła wracać do normy, podróż do Włoch stała się też okazją, by poznać tamtejszą sztukę i stworzyć własną kolekcję do budowanego właśnie pałacu w Surhowie.

Wiadomo, że Cieszkowscy odwiedzili Florencję – miasto bardzo popularne wśród polskich turystów. Polacy zjeżdżający do Florencji chwalili sobie obojętne „Quattro Nazione” nad rzeką Arno, jednak zamożna rodzina z małymi dziećmi najpewniej wynajęła prywatny apartament. Jak wspomina Dunin-Borkowski: *Życie we Florencji, pomimo terazniejszej drożyzny, jest jednak w miarę innych krajów bardzo tanie. [...] cudzoziemiec rocznie w Florencji bawiąc z rodziną, więcej nad 1200 dukatów nie wyda. Stancje w Florencji są bardzo tanie: za sto dukatów rocznie można znaleźć piękny bardzo i umeblowany apartament. Stół na cztery*

*osób może najwięcej dwa dukaty na dzień kosztować. Łożę najmuąc na wszystkie pory roku dostać można za 60 dukatów. Ekwipaż rocznie za sto dukatów mieć można*⁴.

Do wypraw zachęcały np. „Lettres sur l'Italie” Charlesa Dupaty’ego (1785), czy też wielokrotnie wznawiany przewodnik po najśłynniejszym muzeum florenckim François Valentina Mulota „Le Museum de Florence ou Collection...” (1798), a także „Corinne ou l'Italie” Germaine de Staël-Holstein (1807) oraz inne publikacje z epoki. Dodatkową motywację do udania się w podróż stanowiły relacje polskich miłośników sztuki, utrwalone w dziennikach sporządzanych zgodnie z ówczesną modą dla okazania swoich spostrzeżeń i artystycznego smaku. Do Florencji jeździło się bowiem, by wyrobić sobie gust i demonstrować go w towarzystwie po powrocie do kraju. Znaleźć się np. relacje z podróży do Florencji w 1815 roku Stanisława Dunina-Borkowskiego i jego żony Rozalii: *Stanęliśmy w Florencji, tej od wieków Muzom poświęconej stolicy*⁵. Rozalia w 1815 r. pisała urzeczona: *Miasto odpowiada urokliwej wizji, jaką wyobraziliśmy sobie z daleka, szerokie ulice wybrukowane dużą kostką utrzymane w nienagannej czystości. Place udekorowane posągami i fontannami, mostami o eleganckiej i lekkiej konstrukcji; wspaniałe nabrzeża, a w oddali porośnięte pięknymi drzewami wszelkich gatunków wzgórze, które nad nimi dominują, tworząc amfiteatr ginący w łańcuchu ośnieżonych Apeninów*⁶. Nie wszyscy odwiedzający dzielili te zachwyty. Maria z Czartoryskich Wirtemberska podróżująca po Włoszech w latach 1816-1818 była rozczarowana miastem, na co wpływ mogły mieć złe warunki stacji, gdzie było według niej zimno, wilgotno, brudno i paskudnie. Ale Karol Kurpiński parę lat później, w 1823 r. odnotował: *Nie jest to wielkie miasto, ale pięciokrotnie... raj ziemski... Co za pałace, kościoły, domy, ogrody, aż mnie zazdrość brała, że to nie na naszej*

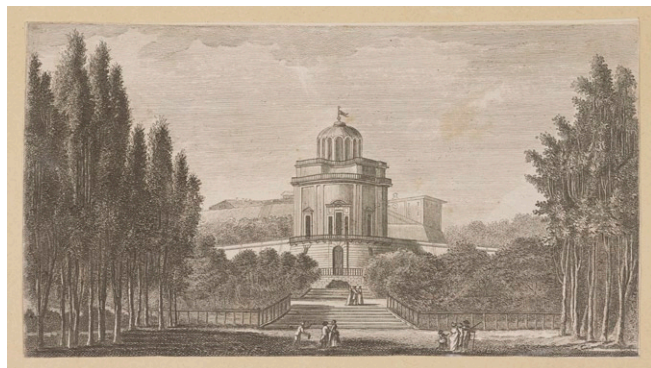
⁴ S. Dunin-Borkowski: *Podróż do Włoch w latach 1815 i 1816*. Warszawa 1820, ss. 148-149, <https://www.sbc.org.pl/dlibra/publication/11456/edition/10744/content> [dostęp: 15.05.2023].

⁵ M. Wrześniak: *Florencja-muzeum: miasto i jego sztuka w oczach polskich podróżników*. Kraków 2013, s. 231.

⁶ Ibidem, s. 248.

ziemi. Powietrze w nim pachnące jak w ogrodzie⁷. Narzekał co prawda na upały i osłabienie, ale i tak miastem zachwycił się.

Obowiązkowym punktem turystycznego programu była Galeria Uffizi. Relacje ze zwiedzania jej są z gruntu pozytywne, w dziennikach krytycznych uwag niewiele, dominują zachwyty nad wspaniałymi dziełami sztuki. Nie wszystkich zachwycił natomiast słynny ogród królewski Boboli. Waleria Tarnowska oceniła to założenie nader surowo: *nie jest w ogóle wart swojej reputacji, to dość kiepskie dzieło, w złym guście włoskim*⁸. Przeciwnego zdania byli Jan Henryk Sagatyński oraz Klementyna Wyganowska, którzy zapisali w swoich dziennikach w 1806 i 1808 r. swoje pozytywne uwagi o parku, a szczególnie o widoku z tarasu Kaffehausu, czyli rokokowego pawilonu kawowego.



Widok na Kaffehaus oraz Forte di Belvedere w Ogrodach Boboli we Florencji, grafika – akwaforta, miedzioryt, 1790-1820, (źródło: <https://polona.pl/item-view/562c0780-c821-46c1-abfe-3617e47351b6?page=1>).

Również o kościele św. Krzyża wypowiadało się niemal zawsze tylko z uznaniem. Waleria Tarnowska notowała z zapamiętaniem: *Trzeba konieczne pójść do kościoła Świętego Krzyża. To jeden z najpiękniejszych kościołów Florencji, a poza tym bardzo ciekawy ze względu na grobowce Machiavellego, Galileusza i Michała Anioła*⁹.

Polscy turyści przy okazji wizyty we Włoszech wzbogacali swoje zbiory o rzeźby, obrazy, wazy i ryciny. Oprócz wrażeń estetycznych, Flo-

rencja oferowała bowiem możliwość nabycia dzieł sztuki do własnej kolekcji. Budowa pałacu w Surhowie dobiegała końca, a ponieważ za punkt honoru stawiano sobie urządzenie wnętrza na odpowiednim poziomie, można domyślić się, że Zofia zamierzała we Włoszech nie tylko cieszyć oczy sztuką, ale też przywieźć do Surhowa jakieś interesujące artefakty. Taki cel przyświecał choćby Tarnowskiemu, a lista ich zakupów znana jest dzięki pozostawionej relacji z tej podróży.

Wyposażenie pałacu w Surhowie znane z późniejszych przekazów, pozwala wysnuć wniosek, że Cieszkowscy szczególnie interesowali się rzeźbami Antonia Canovy (lub pochodzącymi z kręgu jego pracowni). W owym czasie chlubiono się posiadaniem prac tego artysty, panowała moda na nie i ogromne zainteresowanie. Waleria Tarnowska opisała w swoim dzienniku, jak w Rzymie odwiedziła

wraz z mężem pracownię Canovy: *Fidanza nas zaprowadził do pracowni Canovy. Ujrzałam wtedy owego wielkiego mistrza w całej jego chwale, otoczonego arcydziełami własnego dłuta, a prostego, skromnego, jakby niedomyślającego się zgoła, iż stał się nieśmiertelnym. [...] Zachwyciły mnie te arcydzieła rzeźby, a oko nieraz od nich zwracało się ku zaczarowanej dłoni, która owe cuda sprawiła*¹⁰. Tarnowscy zakupili rzeźbę tego artysty nazwaną „Perseusz”, przy czym wiadomo, że była to kopia: *Dziś rano ponownie przejrzałam list Canovy: przyznaje nam kopię swojego Perseusza; repliki są zawsze lepsze od oryginałów. Ta figura będzie prawdzi-*

*wym skarbem rodzinnym i właśnie to przekonanie skłoniło nas do tego wydatku*¹¹. Autorka pamiętnika wspomniała o zabranej przez Napoleona Wenus Medycejskiej i planach zastąpienia jej kopią Canovy: *Widziałam, jak była zaczęta i mam nadzieję, że ukoji nieco Florencję*¹². O tym dziele Canovy – że „jaśniej świeżością” pisze też w swoim dzienniku Stanisław Dunin-Borkowski, porównując ją z Wenus Medycejską, która wróciła do Florencji pod koniec 1815 r.: *Wenus Kanowy [Canovy – MN] jest wyż-*

⁷ Ibidem, s. 270.

⁸ Ibidem, s. 203.

⁹ Ibidem, s. 200.

¹⁰ Ibidem, ss. 202-203.

¹¹ Ibidem, s. 203.

¹² Ibidem, s. 210.

sza od zwyczajnej wielkości kobiety, trzyma ona w prawej ręce suknię, która zasłania prawą pierś, całe ciało jest pochylone i głowa na lewy bok obrócona. Ta postawa dziwnie oznacza pierwsze wzruszenie wstydu. [...] nie ma charakteru powabnej lubieżności, jest to Bogini, ale Bogini skromności¹³. Odbiór dzieł sztuki wywoływał wiele emocji i niósł niejednokrotnie skrajne oceny. Krytycznym okiem na rzeźbę tę spojrziała Wirtemberska: *Wenus Canovy jest dość ogromna: nogi za duże. Piękna, ale nie tak jak prawdziwa*¹⁴. Z kolei Kurpiński pisał, że „ócz zdjęć nie można”¹⁵ z niej, tak jest piękna, a Rozalia Borkowska wyżej stawiała „Śpiącego Amora” Canovy o posotnym wyrazie twarzy.

Można się domyslać, że również dla Zofii i Pawła pobyt we Florencji był inspirujący, pełen zachwytów i wymiany opinii o dziełach sztuki. Dalsze plany młodych małżonków pokrzyżowała przedwczesna śmierć Zofii 17 sierpnia 1818 roku. Zofia z Kickich Cieszkowska 21 sierpnia spoczęła w kościele Świętego Krzyża, który tak zachwycił rodaków. Niestety, zachowane dzienniki polskich podróżników nie obejmują tego okresu. Wirtemberska przebywała tu wcześniej, w czerwcu, a Wojciech Stattler gościł we Florencji w pierwszej połowie października 1818 r. Nie wiadomo, czy śmierć Zofii Cieszkowskiej została odnotowana w jakichś innych, nieznanych zapiskach pamiętnikarskich.

Paweł Cieszkowski powrócił do Surhowa wraz z Gabrielą i Augustem. Towarzyszył im też włoski malarz Mikołaj Monti, który następnie ozdobił pałac licznymi freskami, tworzył też obrazy sztalugowe (m.in. portret Pawła z dziećmi, a także „Nawrócenie św. Pawła” i „Św. Zofia z córkami”). Prawdopodobnie to wówczas Paweł przywiózł zakupione rzeźby przypisywane Canovie lub będące kopiami jego dzieł. W Surhowie znalazły się popiersia Diany i Wenus oraz Wenus pełnopostaciowa (owa „Bogini skromności”), cztery popiersia symbolizujące pory roku (umieszczone w sali białej) i prawdopodobnie popiersie Zofii z Kickich Cieszkowskiej¹⁶. Nawet jeśli w rzeczywisto-

ści autorstwo było inne, to styl przypominał prace mistrza i powstały one albo w jego pracowni, albo z inspiracji jego dziełami.

Mimo przeciwności, jakie spowodowała żałoba, zarówno pałac, jak i kościół ostatecznie powstały, a serce Zofii wzorem XIX-wiecznych zwyczajów umieszczono w surhowskim kościele za epitafrum z czarnego marmuru¹⁷. Owdowieli Paweł wraz z dziećmi nadal przebywał w Surhowie i najwyraźniej zamierzał rozwijać gospodarstwo. Z tego okresu – 5 marca 1819 roku – pochodzi np. kontrakt na dzierżawę placu pod budowę spichlerza nad rzeką Wieprz, a także akt zamiany wieczystej gruntów „w dobrach dziedzicznych Jaśnie Wielmożnego Pawła Cieszkowskiego” spisany przez notariusza i konserwatora hipoteki powiatu krasnostawskiego Piotra Zagrobskiego¹⁸. Kontrakt dzierżawy placu na budowę spichlerza zawarty został z kościołem w Stężycy, natomiast zamiana gruntów miała miejsce między Pawłem Cieszkowskim a plebanem ks. Józefem Bosakiewiczem – proboszczem surhowskim i kraśniczyńskim w latach 1790-1829.

Głównym opiekunem osieroconych dzieci został ojciec Paweł Cieszkowski (zapisano, że zamieszkuje wraz z nimi w Surhowie), a opiekunem dodatkowym – dziadek August Kicki właściciel dóbr w Orłowie¹⁹.

zy. [W:] *Wierzenica Augusta Cieszkowskiego*. Red. M. Mańka, Poznań 2023, ss. 77-120.

¹⁷ Więcej na temat pałacu i kościoła w Surhowie w czasopiśmie „Nestor” 2013 nr 4, 2017 nr 2, 2019 nr 2, 3, 4, 2020 nr 1 (<http://www.nestor-krasnystaw.eu/>) i czasopiśmie „Ziarno” 2015 nr 3, 2016 nr 1, 2016 nr 2, 2017 nr 1, 2018 nr 1, 2019 nr 1/2 (<https://kultura-siennica.pl/czasopismo-ziarno/>).

¹⁸ Piotr Zagrobski w omawianym okresie był, jak wówczas mawiano, rejentem krasnostawskim. W lipcu 1827 r. zmienił miejsce zatrudnienia i został zastępcą archiwisty w Archiwum Akt Dawnych województwa lubelskiego. Wraz ze swym bratem Rochem uczestniczył w porządkowaniu ksiąg i akt lubelskiego Trybunału Koronnego, przekazanych do archiwum. W 1832 r. ukończył sporządzanie inwentarza tych dokumentów. Zob.: M. Stankowa: *Ocalałe fragmenty akt Trybunału Lubelskiego w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Lublinie*. „Archeion” 1964, nr 40, ss. 113-114.

¹⁹ Akt spisany przy okazji zebrania się Rady Familijnej znajduje się w zasobach Archiwum Państwowego w Zamościu (Hipoteka miasta Krasnegostawu i powiatu krasnostawskiego – sygnatura 88/197/0/1208).

¹³ S. Dunin-Borkowski: *Podróż do Włoch*, op. cit., s. 90.

¹⁴ M. Wrześniak: *Florencja-muzeum*, op. cit., s. 260.

¹⁵ Ibidem, s. 271.

¹⁶ Los tych artefaktów, zob.: W. Buczyński: *Zbiory hrabiego Augusta Cieszkowskiego – rzeźby i obra-*

Inwentarz pośmiertny Zofii z Kickich Cieszkowskiej – cz. 1

Ten sam notariusz, który sporządzał dokumenty dotyczące gospodarstwa – Piotr Zagrobski – spisał również inwentarz majątku pozostawionego przez Zofię. Rada Familijna, która zebrała się 23 marca 1820 roku potwierdziła wartość pozostawionych przez Zofię dóbr Surhów na 240 000 złp. Po uwzględnieniu pozostałych składników majątku i odliczeniu należności kościelnych (4000 złp), całość majątku pozostawionego przez Zofię oszacowano na 245 244 złp i przekazano na dwoje dzieci – sześciolatniego Augusta i czteroletnią Gabrieli.

Kolejny cios spadł na rodzinę 26 lipca 1820 roku wraz ze śmiercią Gabrieli. Zmarła w surhowskim pałacu i pochowano ją na przykościelnym cmentarzu (grób nie zachował się do czasów współczesnych). Część majątku należącego do Gabrieli przypadła tym samym bratu (3/4) i ojcu (1/4). W księdze hipotecznej pierwotnie właśnie tak zapisano podział spadku, ale w niewyjaśnionych okolicznościach zapis ten poprawiono, a tym samym udokumentowano, że brat Gabrieli stał się właścicielem 7/8, a ojciec 1/8 części majątku.

August Cieszkowski po tych tragicznych wydarzeniach, z uwagi na zły stan zdrowia został przez ojca wysłany do Włoch i tam powierzony opiece Heleny z Hammersów baronowej de la Haye (byłej wychowawczynie Zygmunta Krasińskiego).



Popiersie Zofii z Kickich Cieszkowskiej przypisywane A. Canovie (ze zbiorów Muzeum Narodowego w Poznaniu).

Pośmiertny spis inwentarza jest niezwykle cenną pamiątką po Zofii z Kickich Cieszkowskiej. Wartość sentymentalna nie była wówczas najważniejsza – spis miał znaczenie praktyczne i prestiżowe. Ponieważ Zofia zmarła nagle, nie zostawiła testamentu. Jej majątek nie był obciążony długami, ale też nie wykazano gotówki. Spis inwentarza jest dokumentem uporządkowanym, sporządzonym według pewnego przyjętego szablonu i grupującym pozostawiony majątek według przeznaczenia poszczególnych jego składników. Rozpoczyna go część formalna – opis sytuacji, w jakiej został sporządzony, wskazanie sukcesorów (a ponieważ są nieletni – ich opiekunów) oraz taksatorów majątku i świadków.

Inwentarz

Majątku po zmarłej JW Zofii z Kickich Cieszkowskiej pozostałego stosownie do uchwały Rady Familijnej na dzień 23 mies[iąca] marca r.b. pod powagą Sądu Pokoju Wydziału 4[ego] Powiatu i Miasta Warszawy w opiece nieletnich JWW Augusta i Gabrieli, syna i córki, Cieszkowskich po zmarłej JW. Zofii Cieszkowskiej pozostałych dzieci nastąpiony w Warszawie, tudzież wezwania JW Pawła Cieszkowskiego głównego opiekuna nieletnich dzieci swych Augusta i Gabrieli Cieszkowskich splotzonych [z oniegdy] JW Zofią z Kickich Cieszkowską.

Pod powagą i w obecności JW Augusta Kickiego Senatora Kasztelana, Kawalera Orła Białego i Św. Stanisława dziadka rodzonego, dodatkowego opiekuna nieletnich Augusta i Gabrieli Cieszkowskich przez niżej podpisanego Notariusza i Konserwatora Hipotek Powiatu Krasnostawskiego, w województwie lubelskim, mieście Krasnymstawie w domu pod nr 136, powiecie i obwodzie tegoż nazwiska, województwie lubelskim mieszkającego.

Na gruncie dóbr wsi Surhowa w powiecie i obwodzie krasnostawskim, województwie lubelskim leżących, dnia 27 czerwca r[oku] 1820 w obecności [...] przy wyrażonych, sprostowany i ukończony. JW Zofia z Kickich Cieszkowska zmarła w Toskanii mieście Florencji, dnia 17 mie[sia]ca sierpnia roku tysiąc osiemset osiemnastego.

Sukcesorowie zmarłej małoletni

1. W[ielmożny] August Cieszkowski syn zmarłej z JW Pawłem Cieszkowskim spółdżony, w dobrach Surhowie zamieszkały.
2. W[ielmożna] Gabriela córka zmarłej w tychże dobrach mieszkająca.

Opieka

JW. Paweł Cieszkowski po zmarłej pozostały małżonek pomienionych dzieci swoich ojciec i główny opiekun powołaną uchwałą Rady Familijnej ustanowiony w dobrach Surhowie w powiecie i obwodzie krasnostaw[skim] województwie lubelskim zamieszkały

JW August Kicki Senator Kasztelan rzeczonych nieletnich rodzony dziadek, rzeczoną uchwałą Rady Familijnej obrany dodatkowy opiekun w dobrach swych dziedzicznych Orłowie Murowanym powiecie i obwodzie krasnostawskim, województwie lubelskim zamieszkały, a do tego aktu w Surhowie mieszkanie obierający.

Taksatorowie przysięgli

Ur[odzony] Józef Miklaszewski we wsi Surhowie mieszkający.

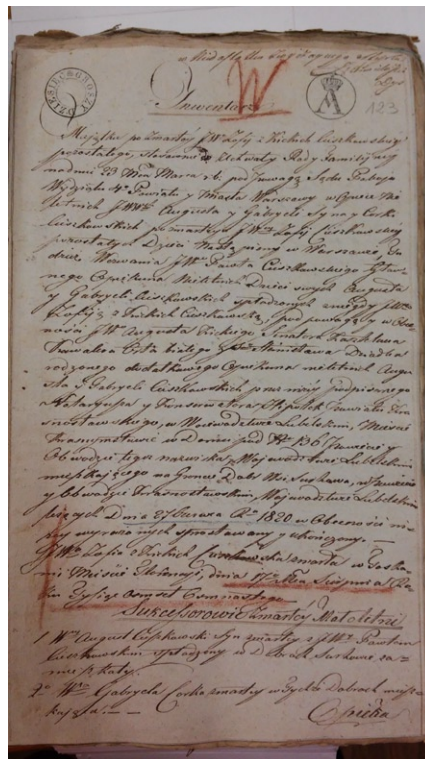
Perec [?] Leybowicz złotnik w Krasnymstawie zamieszkały.

Szłomka Horpkowicz krawiec w Krasnymstawie mieszkający.

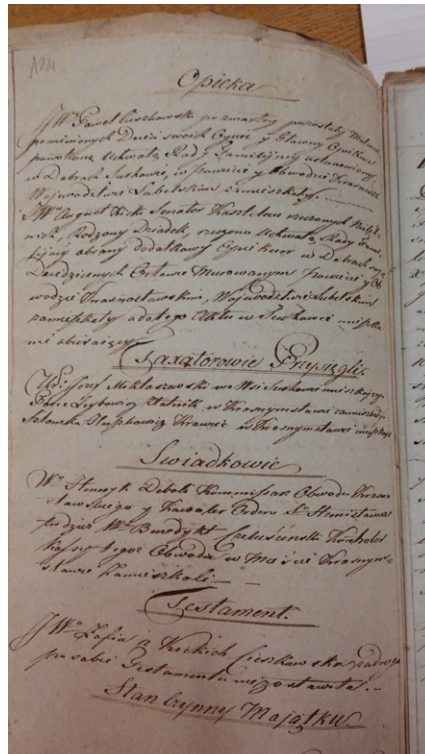
Świadkowie

W[ielmożny] Henryk Deboli Komisarz Obwodu Krasnostawskiego i Kawaler Orderu Ś[więtego] Stanisława, tudzież W[ielmożny] Benedykt Czełuściński Kontroler Kasy tegoż obwodu w mieście Krasnymstawie zamieszkał.

Oprócz faktów znanych z umowy przedślubnej, część ta przynosi ciekawe informacje na temat osób sprawujących przy sporządzaniu spisu określone funkcje. Złotnik Leybowicz i krawiec Szłomka Horpkowicz (nazwany w dalszej części – Szłoma) byli potrzebni do określenia, z jakich materiałów zostały wykonane przedmioty uznane za cenne oraz z jakich materiałów uszyto garderobę. Ich wiedza była niezbędna przy szacowaniu wartości każdej spisanej pozycji. Konieczna była też obecność kogoś, kto znał sprawy gospodar-



Inwentarz pośmiertny Zofii z Kickich Cieszkowskiej (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Zamościu, str. 1).



Inwentarz pośmiertny Zofii z Kickich Cieszkowskiej (ze zbiorów Archiwum Państwowego w Zamościu, str. 2).

cze majątku, a szczególnie ilość inwentarza żywego i jego wartość. Stąd obecność przy sporządzaniu spisu Józefa Miklaszewskiego. Dopisek „Ur[odzony]” jest wskazówką, że legitymował się on szlacheckim pochodzeniem, najwyraźniej był rządcą dóbr Surhów i to jemu Paweł Cieszkowski powierzył prowadzenie spraw majątku. Ważni w kontekście prawidłowości sporządzenia spisu byli też świadkowie – Henryk Deboli i Benedykt Czełuściński, którzy z racji zajmowanych stanowisk, zyszyli się zaufaniem i poważaniem.

Z umowy przedślubnej wiadomo, jakie wsie otrzymała Zofia od rodziców i właśnie dobra „nieruchome” otwierają spis w dziale „Stan czynny majątku”:

Dobra Surhów z przyległościami Majdan Surhowski, Łukaszówka, Augustówka, Franciszków w powiecie i obwodzie krasnostawskim województwie lubelskim leżące podług zapisu przedślubnego dnia 20 października tysiąc osiemset trzynastego roku w Dobranach w Galicji Austriackiej przez JWW Augusta i Mariannę z Kowalkowskich Kickich małżonków uczynionego, a później dnia 10 października tysiąc osiemset czterdnastego roku przez JW Augusta Hrabiego Kasztelana Kickiego przed Notariuszem Publicznym w województwie lubelskim Marcinem Kobylińskim w Lublinie urzędownie przyznanego na rzecz i osobę JW Zofii z Kickich Cieszkowskiej na wieczne czasy odstąpione, które to dobra stosownie do wniosku i woli uczynionego, a przez JW Pawła Cieszkowskiego głównego opiekuna przyjętego, zaś przez tyle razy rzeczoną uchwałę Rady Familijnej zatwierdzonego wynoszą sumę szacunkową 240 000 [złp].

Spis stanu czynnego majątku zamyka pod pozycjami oznaczonymi liczbami XVII-XIX wartość sztuk bydła, koni i owiec. W dziale XVII wymieniono 4 woły robocze o wartości 200 złp oraz 5 wołów „na gromadzie”, czyli przekazanych chłopom, jako „załoga pańska” o wartości 250 złp (po 50 złp sztuka). Buhaja wyceniono na 60 złp, a 11 jałówek w wieku 2-3 lat w sumie na 220 złp. W skład inwentarza weszło też jedno cielę o wartości 6 złp, w sumie wartość bydła pozostawionego w spadku zamykała się w kwocie 736 złp. W skład majątku weszły też trzy folwarczne konie, trzy folwarczne kłaczki i dwa konie „na gromadzie” o wartości 54 złp każdy, co łącznie stanowiło majątek równy 432

złp. W inwentarzu figurowały również owce: „skopów roczniaków [...] 400 po 3 [złp]”, co dało sumę 1200 złp. Obecność owiec w Surhowie nie jest zaskoczeniem, gdyż nawet na mapach oznaczano istnienie w majątku owczarni.

Pomiędzy dobrami nieruchomymi a inwentarzem żywym spisano kosztowności, garderobę i elementy wyposażenia. Najdroższy w tym wykazie jest szal turecki i sznury pereł oriańskich. Kosztownościom, meblom i osobistym przedmiotom Zofii – sukniom, chustkom, a nawet paczce z włóczkami – będzie poświęcona kolejna część opowieści.

Monika Nagowska

Bibliografia

- Buczyński W.: *Zbiory hrabiego Augusta Cieszkowskiego – rzeźby i obrazy*. [W:] *Wierzenica Augusta Cieszkowskiego*. Red. M. Mańka, Poznań 2023, ss. 77-120.
- Dunin-Borkowski S.: *Podróż do Włoch w latach 1815 i 1816*. Warszawa 1820, ss. 148-149, <https://www.sbc.org.pl/dlibra/publication/11456/edition/10744/content>
- Kalendarzyk kieszonkowy polski i ruski na rok 1817 z zagadkami, szaradami, pocztami i walnemi traktami itd*. Warszawa 1816, <https://jbc.bj.uj.edu.pl/dlibra/publication/691186/edition/652977/content>
- Kicińska U.: *Splendory domowe w staropolskich inwentarzach ruchomości*. „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej” 2017, nr 65 (4), ss. 461-470.
- Kowecka E.: *W salonie i w kuchni: Opowieść o kulturze materialnej pałaców i dworów polskich w XIX wieku*. Poznań 2016.
- Penkała A.: *Panieńskie ochędóstwo: kwestie posagowe i wienne w małżeństwach szlachty województwa krakowskiego w czasach saskich*. Kraków 2016.
- Penkała-Jastrzębska A.: *Mit srebrnej łyżeczki? Przedmioty prestiżowe w szlacheckich inwentarzach majątkowych z ksiąg grodzkich województwa krakowskiego w czasach saskich*. „Kwartalnik Historyczny” 2020 nr 1, ss. 33-62.
- Popielek B.: *„Manelek dwie i pereł sznurów cztery”: O szlacheckich inwentarzach posagowych i pośmiertnych z XVIII w.* „Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historica IV” 2005, fol. 28, ss. 166-173.

Waldemar Seroka

Wypad na Janów



Wojna i rekwizycja to nieodstępne towarzyski ludzkiej niedoli, idące stale ze sobą w parze. Świadczenia rzeczowe na potrzeby wojska – choć za odszkodowaniem – były prawdziwym dopustem dla ludności na terenie objętym działaniami zbrojnymi. Instytucja rekwizycji wojennej, jako norma prawna, zakładała, że odszkodowania mają być wypłacane niezwłocznie, gotówką i po ustalonych cenach.

Jednakże „za Niemców” sprawy rekwizycyjne wymknęły się spod wszelkiej kontroli. Dochodziło do sytuacji, że jedyną zapłatą był „lewy” kwit rekwizycyjny. Brak środków do życia przy łatwym dostępie do broni sprzyjał kryminalizacji życia społecznego. Namnożyło się więc różnych grup (band) zbrojnych, podszywających się pod organizacje podległe Polskiemu Państwu Podziemnemu, które łupły bezlitośnie ludność, prowadząc „rekwizycje” na własną rękę. Opis jednej z większych tego typu akcji na ziemi krasnostawskiej znajdziemy w 3(57) numerze Nestora z 2021 r.

*Stoi żołnierz na kwaterze,
ostatnią gęś babie bierze.
Choć chłodno i głodno,
żyję sobie swobodno.*

Dziś będzie o „wielkim skoku” na Janów Lubelski. O filmowej wręcz akcji Armii Krajowej, której tło i dramaturgia mogłyby posłużyć za inspirację dla polskiego kina partyzanckiego. Niestety, bitwa o Janów nie doczekała się swojej legendy. Wkrótce minie 80 lat od tych wydarzeń. Jest więc dobra okazja, by o nich przypomnieć.

Zbliżał się koniec lata 1943 roku, gdy w kręgach dowódczych Zamojskiego Inspektora-tu AK zaczęto rozważać plan przeprowadzenia na większą skalę akcji rekwizycyjnej. Wiadomo już było, że część oddziałów pozostanie na zimę w lesie i sprawą palącą było zapewnienie im fasonu – odzieży, butów, żywności itd.

Wraz z powstaniem pierwszych oddziałów leśnych, podstawą ich zaopatrzenia stały się rekwizycje dokonywane w liegenschaftach u niemieckich kolonistów i volksdeutscheów oraz przydzielane odgórnie ryczałty pieniężne. Kwatermistrzostwo zapewniało im tylko dostawę chleba i niektórych produktów, z wyjątkiem mięsa, które należało zdobyć. W sytuacjach wyjątkowych dopuszczalne były rekwizycje u Polaków, jednak za opłatą i po cenach nie niższych niż kontyngentowe. Rekwirowanie trzody i bydła niekolczykowanego było zabronione.

Ostatnią akcją, podczas której zdobyto większą ilość butów, koców i ubrań był czerwcowy napad na fabrykę terpentyny „Alwa” w Brodach Małych. Nieco wcześniej (w marcu) zarekwirowano 17 sztuk świń z niemieckiego transportu na stacji Zwierzyniec-Biały Słup. Zdobywcą ta przez dłuższy czas zaspokajała aprowizacyjne potrzeby „lasu”.

Tym razem szykowałą się akcja w odległym o 60 kilometrów Janowie. Były tu spółdzielcze magazyny „Kreiss Genossenschaft”, które wpadły w oko „Sękowi”, gdy jeszcze tam przebywał. W czerwcu 1943 roku znalazł się na Zamojszczyźnie. Przybył tu z grupą świeżo upieczonych podchorążych AK z Warszawy. Kapitan „Żegota” (Tadeusz Sztumberk-Rychter), twórca tego oddziału, chciał go sprawdzić w polu. Otrzymał na to zgodę pułkownika „Kortuma” (Antoni Sanojca) z Komendy Głównej AK, 30 tysięcy złotych na drogę i kontakt na „Sęka” w Szklarni koło Janowa¹.

Należy dodać, że urodzony we Lwowie ppor. „Sęk” znalazł się jesienią 1939 roku w Warszawie, gdzie wstąpił do konspiracji (SZP-ZWZ). W roku 1940 został oddelegowany przez Komendę Główną ZWZ na teren obwodu Łuków. Po dwóch latach przeniósł się do Leśnictwa Gołęb koło Puław. Zagrożony dekonspiracją, wyjechał do Zaklikowa w powiecie janowskim². Tutaj nawiązał kontakt ze znanym lekarzem Jeremiaszem Sowia-kowskim – dyrektorem janowskiego szpitala, który tak wspomina ten okres: *W czerwcu 1943 r. Niemcy przeczesali Lasy Janowskie i schwytali kilkaset*

¹ T. Sztumberk-Rychter *Artylerzysta piechurzem*, IW PAX 1967, s. 113.

² I. Caban *Ludzie Lubelskiego Okręgu Armii Krajowej*, Lublin 1995, ss. 206-207.

osób. Kilkunastu ludzi przywieźli na cmentarz prawosławny przed szpitalem. W biały dzień zamordowali ich i zakopali w dołach. Z naszego mieszkania widzieliśmy tę scenę. Był u nas wtedy nasz przyjaciel inżynier Zdzisław Wilusz. Widok ten tak nim wstrząsnął, że na drugi dzień poszedł do partyzantki. Przybrał sobie pseudonim „Sęk”³.

Do spotkania „Sęka” z „Żegotą” doszło w pobliżu stacji kolejowej Lipa koło Zaklikowa, leżącej na odcinku Lublin-Rozwadow. Tutaj nadeszły też skrzynie z wyposażeniem i uzbrojeniem oddziału. Po długim marszu warszawiacy przybyli na Zamojszczyznę. Oficjalne przyjęcie ich w skład zamojskich oddziałów nastąpiło 13 czerwca, w Zielone Świątki, nad rzeczką Studczek koło Tereszpola. W tym dniu została po raz pierwszy odprawiona w leśnym obozie msza święta z udziałem wszystkich oddziałów. Od tej pory grupa ta otrzymała miano „Kompanii Warszawskiej”, a „Żegota” został zastępcą „Adama” (kpt. Stanisław Prus) – dowódcy oddziałów leśnych (OP 9).

Na skutek nalegań dowódców, inspektor „Jurand” (mjr Edward Markiewicz) „klepnął” przygotowany przez „Sęka” plan wyprawy na Janów. Do wykonania akcji został wyznaczony oddział „Podkowy” (ppor. Tadeusz Kuncewicz), część oddziału „Norberta” (ppor. Jan Turowski) oraz Kompania Warszawska pod dowództwem „Sęka”.

W obozie „Podkowy” już od dłuższego czasu nie mówiło się o niczym innym, tylko o mającej nastąpić akcji. Żołnierze jeszcze nie wiedzieli co, gdzie i kiedy, ale po minach dowódców widać było, że szykuje się grubsza robota. Wreszcie 2 września po południu ogłoszono pogotowie marszowe. Zapowiadał się długi marsz. Szef kompanii sierż. „Kruk” (Teofil Bizior) fasował suchy prowiant, a kucharze sposobili do drogi kuchnię polową.

O zmierzchu opuszczamy lasy turzynieckie. Maszerujemy w kierunku na Lipowiec. Najpierw lasami, potem przez wioski, później wśród zaoranych pól i znów przez lasy. Przed nami maszeruje Kompania Warszawska, za nami toczą się wozy taborowe, kuchnia i na końcu taczanka z cekaemem⁴.

Po całonocnym marszu oddziały dotarły do wioski Korytków-Lisie Górki, przy szosie Biłgoraj-Frampol. Tutaj patrol Warszawiaków pod dowództwem „Wichury”, przebrany za gestapo, wymierzył chłostę sołtysowi pobliskiej wioski za wysługiwanie się Niemcom. Skutek był nadzwyczajny, bo rozniosło się po całej okolicy, że za nadgorliwość wobec okupanta biją nie tylko Polacy, ale i sami Niemcy.

Pod wieczór partyzanci opuścili Korytków, kierując się w Lasy Janowskie. Nad ranem osiągnęli rejon leśniczówki w Momotach. Tutaj dołączył pluton „Wiesława” z oddziału „Norberta”. Stan zgrupowania zwiększył się do ponad 100 ludzi uzbrojonych w 2 ciężkie, 12 lekkich i ręcznych karabinów maszynowych, broń osobistą (kabeki + 1 peem) i granaty. Dowództwo nad całością sił objął „Podkowa”.

Trzydniowy postój w Momotach i Szklarni wykorzystano do nawiązania współpracy z miejscową konspiracją. Stare kontakty „Sęka” pozwoliły na szybkie złapanie łączności z terenem. Dalszy bieg zdarzeń przedstawia doktor Sowiakowski: *W listopadzie 1943 r. przybył „Sęk” ze swym oddziałem w okolice miasta, a jego oficerowie sztabowi trzy dni przebywali u nas i razem ze mną układali plan zdobycia Janowa. W mieście było około tysiąca Niemców. Oddział „Sęka” liczył 140 ludzi. Zaopatrzyłem go w leki, opatrunki, mydło, tytoń, wódkę, żywność, bieliznę, buty⁵.*

Mimo pewnych nieścisłości, relacja ta rzuca nowe światło na mało dotąd znane kulisy przygotowań do wspólnej akcji dwóch odrębnych obwodów Armii Krajowej. Wróćmy jednak do lasu... Jest środa, 7 września – wszyscy już wiedzą, że szykuje się robota w Janowie. Bezpośredni udział w akcji bierze 35 ludzi „Podkowy”, tyłu samo „Warszawiaków” i 15 od „Norberta”. Kucharze, chorzy i obstawa zostają w obozie.

Przed południem porucznicy „Woyna” (Adam Haniewicz) i „Podkowa”, przebrani po cywilnemu, pojechali bryczką do Janowa zapoznać się z topografią miasta i dokonać ostatecznych uzgodnień z miejscową placówką. Wieczorem podciągamy pod samo miasto, gdzie zastaliśmy czekających już na nas miejscowych przewodni-

³ J. Sowiakowski *Okupacyjne wspomnienia z Janowa Lubelskiego*, „Przegląd Lekarski” 1/1968, s. 141.

⁴ C. Tchórz *Z kowala – „Kowal”*, LSW Warszawa 1974, s. 175.

⁵ J. Sowiakowski, dz. cyt., s. 141.

ków⁶. O 22.00 „Podkowa” wysłała zwiad – miasto śpi. Ubezpieczenia trzymają już drogi od Kraśnika, Niska i Frampola. Łączność zerwana. Jeszcze parę uwag i... „Na stanowiska!”.

Grupa czołowa „Sępa” (ppor. Tadeusz Ośko) otacza wartownię straży leśnej. Żołnierze zajmują pozycje w mrocznych zaułkach i tak przygotowaniu trzymają na muszkach oddział „forstschtützów”.

Grupa uderzeniowa „Woyny” oskrzydla skrycie budynek gimnazjum, a wydzielona z niej sekcja szturmowa szykuje się do „zdjęcia” wartownika i zniszczenia granatami stanowisk ogniowych w podpiwniczeniu. Plan jednak spalił na panewce i „Woyna” od razu musi ryglować ogniem zaporowym kwaterującą tu żandarmerię i Schutzpolizei.

Grupa rekwizycyjna „Doliny” (ppor. Adam Piotrowski) „czyści” teren i z marszu zajmuje magazyny, pocztę i magistrat, gdzie niszczy akta.

Wokół nas panuje cisza. Napięcie wzrasta, serce tłucze się w piersi. Boję się, to moja pierwsza bitwa. Nagle seria z automatu przerywa tę niepokojącą ciszę. Pada rozkaz: „Naprzód!” – Ruszamy. Ogień stopniowo wzmaga się. Za rynkiem, w rejonie siedziby żandarmerii, słychać dudnienie naszego cekaemu, wspierają go erkaemy. Bez przeszkód dopadamy rynku i tu rozdzielamy się na mniejsze patrole. Patrol „Zająca” rozbija granatowego policjanta, patrol „Nadolnego” dopada nocną straż, ktoś dobija się do poczty. Nasza czwórka mocuje się z żelazną sztabą do składu z obuwiem „Bata”, inne grupki wyłamują drzwi do składu tekstylnego, monopolowego i mleczarni. Wokół trzaski wyłamywanych zasuw, brzęk tłuczonego szkła i rozkazy dowódców patroli. Wjeżdżają na rynek furmanki, ładujemy towar na wozy. Panujemy nad miastem. Lecz cenne minuty zaskoczenia szybko upływają. Minęło pół godziny, a karabiny maszynowe grają bez przerwy. Zaskoczeni Niemcy próbują kontrataku. Obrzuceni granatami uciekają do budynku, pozostawiając na bruku zabitych i rannych. Zabarykadowani wewnątrz gmachu biją z granatników na wszystkie strony⁷.

W ten oto sposób czterdziestu śmiałków trzymało w szachu 400-osobowy garnizon przez prawie pół nocy. Obraz tej prowadzonej z niezwykłym rozmachem batalii dopełnia swą narracją „Kaktus”: *Niemcy z dwóch miejsc wystrzelili białe rakiety i otworzyli ogień. Zrobiło się jasno jak w dzień. Po zajęciu stanowiska przy poczcie, przewodnik wskazał mi szkołę, aby tam kierować ogień erkaemu. Rozległa się strzelanina przy akompaniamencie granatników, które rozrzucały granaty we wszystkich kierunkach. W tym zgiefku, od czas do czasu dał się słyszeć turkot odjeżdżających spod magazynów furmanek. Tak to wszystko trwało z półtorej godziny, zanim usłyszeliśmy głos trąbki wzywający do odskoku. Prowadzeni przez przewodników, wycofujemy się na punkt zborny. Lecz strzelanina wciąż trwa, wybuchają granaty, a rakiety oświetlają teren. Na miejscu okazało się, że brakuje patrolu „Wiesława”. Na rozkaz „Podkowy” podrywam dwóch kolegów i ruszamy biegiem w stronę strzelaniny. Po przebiegnięciu kilkuset metrów, słyszę znajomy głos „Huzara”. Domyślam się, że to cały patrol zmierza w kierunku punktu zbornego. Okazało się, że nie usłyszeli głosu trąbki i trwali na stanowiskach, aż domyślili się, że pora na odskok. Podczas powrotu dowiedziałem się, że chłopcy „Wiesława”, w drodze na wyznaczone stanowiska, skosili niemiecką „Wachę” (nocny patrol), idącą środkiem ulicy. Na punkcie zbornym dotarło do mnie, że trzech naszych zostało rannych⁸.*

Zaraz po wykonaniu zadania przez grupy rekwizycyjne, „Podkowa” kazał odpalić czerwoną racę jako sygnał do odwrotu. Ale, jak to w partyzantce, rakiety okazały się niewypałami, a głos trąbki nie do wszystkich dotarł. Sytuacja stawała się niebezpieczna z powodu przeciągającej się akcji. Dopiero obawa przed pełnym wyczerpaniem amunicji, zmusza dzielnego por. „Woynę” do opuszczenia stanowisk.

Furmanki wyładowane zdobycznym towarem osiągnęły już zbawczą ścianę lasu. Zgrupowanie śpiesznym marszem opuszcza miasto, by po chwili być poza zasięgiem granatników. Niemcy, mimo ogromnej przewagi, nie odważyli się na pościg. Dopiero o świcie zwiadowczy „Storch” przeprowadził rekonesans.

⁶ Z. Czernicki *Opanowanie Janowa Lubelskiego – relacja „Kaktusa”*, Biblioteka KUL, ze zbiorów J. Gieysztor. Rękopis, sygn.4304/2.

⁷ C. Tchórz, dz. cyt., s. 178.

⁸ Z. Czernicki, dz. cyt.

Jesteśmy na skraju lasu. Dowódcy sprawdzają stany osobowe. Są wszyscy, ale kilku rannych potrzebuje pomocy lekarskiej. Kto jej udzieli? Nie mieliśmy lekarza, ani sanitariusza. Tymczasem ciężką ranę odniósł „Zapalnik” z mojej drużyny. Przy świetle latarki elektrycznej obejrzelśmy ranę spowodowaną odłamkiem granatu. Ranny, mocno krwawił i tracił przytomność. Z braku wody, czoło i samą ranę, obmyliśmy mu zdobyczną wódką. Kilka opatrunków osobistych, które koledzy oddali rannemu, natychmiast nasiąkły krwią. Nie można było zatamować krwotoku. Zmarł w drodze do pobliskiej placówki, gdzie miał być operowany. Rany dwóch pozostałych były niegroźne i po opatrzeniu, szli o własnych siłach. Po dwóch godzinach marszu zaczyna świtać. Przed nami ciągle lasy i lasy. W górze nad drzewami warkot samolotu. Odskakujemy na chwilę w bok i znowu monotonny marsz. Wreszcie rozwidniło się. Od tyłu dobiega rozkaz: „Czoło stój!”. Odpoczynek. Ten i ów lekko zawiany, a jeszcze pociągą z manierki. Wozy wyładowane skrzyniami z wódką, belami materiałów, beczkami z masłem, kartonami z obuwem, ale tylko jeden bochenek chleba. „Podkowa” osobiście kroi bochen i rozdziela po pajdzie na drużynę. Dowódcy drużyn dzielą pajdę na 8 kawaleczków, dodają po kostce masła i rozdzielają wśród żołnierzy. Ponadto na każdą drużynę przypada pół litra wódki. Połykamy masło z chlebem i dopiero teraz czujemy głód⁹.

Słońce już wzeszło, gdy kolumna ruszyła dalej. Droga powrotna wydłużyła się trochę, bo wiodła teraz przez Łązek Ordynacki. Emocje nieprzespanej nocy i zmęczenie forsownym marszem stały się zapewne przyczyną tragicznego wypadku. Śmiertelny postrzał otrzymał celowniczy elkaemu „Szapiro”. Jego amunicyjny, nie wiedząc, że w lufie pozostał uszkodzony nabój, nacisnął spust. Jakby tego było mało, to jeszcze przed wieczorem, podczas gwałtownej sprzeczki plut. „Osa” zastrzelił plut. „Puchacza”.

Na drugi dzień, gdzieś między Momotami a Korytkowem, zostali pochowani „Puchacz” i „Szapiro”. Egzekwie odprawił ksiądz Jan Klukaczyński z Momot, przysłany tu specjalnie przez janowiaków, którzy przywieźli też trumnę dla „Szapiry”. Pochowano w niej – z racji starszeństwa – „Puchacza”,

a ciało „Szapiry” owinięto w koc. Po nabożeństwie koledzy pożegnali ich salwą honorową. Wcześniej pochowano „Zapalnika”. Jego prochy spoczywają na olszynowym cmentarzyku przy bocznym trakcie z Janowa do Łążka.

Jeszcze tego samego dnia partyzanci dotarli do Korytkowa. Tutaj poczuli się jak u siebie. Witani z radością przez mieszkańców tej biednej wioski, dzielili się swymi przeżyciami z Janowa. Jeden z mieszkańców wręczył im polski erkaem, pamiętający jeszcze wrześniowe walki. W rewanżu „Podkowa” obdarował go belą materiału ubraniowego i kilkoma parami zdobycznych kamaszy.

Po dziesięciu mozolnych dniach oddziały powróciły na swój teren. Janowska wyprawa przeszła do historii jako jedna z najbardziej zuchwałych akcji AK w okupowanej Polsce. Niemcy, oprócz strat materialnych, mieli co najmniej 3 zabitych i 12 rannych. Mimo trzykrotnej przewagi w ludziach i jeszcze większej w uzbrojeniu, zostali zmuszeni do „gry” na warunkach garstki chojraków.

*Garstka nieduża silnych jak burza,
Komendant „Adam” zebrał hufce swe.
Deszcze czy błoto, naprzód z ochotą,
My zawsze dążymy do wolności bram.*

*Hej! ha! Świat przed sobą masz,
Naprzód marsz, komendancie nasz.
„Norberta” zuchy rzuciły poduchy,
Tylko chwyciły do ręki swą broń.*

*„Podkowy” chłopcy, silne jak młoty,
Bagnetem kłują twardą szwabską skroń!
„Ciąg”, ciąg, wystarczy ci rąk,
Prowadź w bój dzielny hufiec swój!*

*Nasz porucznik „Woyna” swym ludziom dogadza,
Każydy przy okazji nos do kuchni wsadza!
Z dała od swych domów wiedzie ich „Żegota”,
Wszyscy dobrze wiedzą, co to jest Golgota.*

*Marsz, marsz, dumni Warszawiacy,
Idźcie w bój, jak dawni „Czwartacy”...*

Akcja przeprowadzona przez młodych, nieostrzelanych żołnierzy, w obcym, miejskim terenie, okazała się prawdziwym majstersztykiem.

⁹ C. Tchórz, dz. cyt., ss. 181-182.

Więc naprzód partyzanci!
„Żegota” prowadź nas!
Niech Niemiec dziś zatańczy,
Tak jak mu zagra las.

(ze śpiewnika oddziałów partyzanckich Zamojszczyzny)

Takiego „spektaklu” nikt dotąd jeszcze nie urządził. Znaczący w nim udział miała konspiracja janowska. Niech więc fragmenty wspomnień mieszkańców tego miasteczka posłużą za rekapitulację: *Wszystkie budynki, w których kwaterowali Niemcy, były zablokowane karabinami maszynowymi. Największy oddział niemiecki – Schutzpolizei, miał około 800 ludzi. Szosa do Kraśnika była zablokowana, przewody telefoniczne zostały przecięte. Szosa do Frampola nie została zabezpieczona, ponieważ nikt z nas nie spodziewał się z tej strony pomocy dla Niemców. W środę wieczorem, o godzinie 22 wjechały na rynek furmanki z partyzantami. Oficerowie otrzymali ode mnie latarki elektryczne. Nocnych wartowników niemieckich zlikwidowano, cywilnych odesłano do domu. Od godziny 22 do 5 rano całe miasto było zajęte przez partyzantów. Przez całą noc trwała strzelanina. Partyzanci wywozili zapasy z niemieckich magazynów. Szkoła, w której kwaterował batalion Schupo, była obstawiona kilkoma karabinami maszynowymi; ostrzeliwały one równocześnie żandarmerię i policję. Na odgłos strzelaniny, o godzinie 5 rano przybyło z Frampola 50 żandarmów, którzy zaatakowali partyzantów od strony więzienia. W ten sposób uwolnili batalion Schupo. Wilusz dał rozkaz do odwrotu w kierunku wsi Łązek. Pościgu Niemcy nie organizowali, gdyż byli oszołomieni tak nagłą i precyzyjnie wykonaną akcją partyzantów. Dwóch rannych żołnierzy Wilusza opatrzyli moi pracownicy (...). W czasie akcji ktoś z mieszkańców poznał głos Wilusza i poinformował o tym Niemców. Na czas akcji żona Wilusza, lekarka dentystka, wyjechała do Żyrzyna pod Puławami. Niemcy wysłali za nią listy gończe. Na drugi dzień starostwo przeniosło się do Kraśnika. W Janowie pozostał Landkommissariat. Sekretarką tego urzędu była młoda urodziwa kobieta, prawdopodobnie Żydówka. Podawała się za Niemkę. Była moją stałą pacjentką. Od niej dowiedziałem*



Kpt. „Żegota” jako porucznik 5 DAK, Kraków 1937 r.



Profesor Zdzisław Wilusz, Turew k. Kościana 1962 r.



Ppor. Tadeusz Ośko
– „Sęp”.



Ppor. Adam Piotrowski
– „Dolina”



Widok z Rynku na kościół św. Jana Chrzciciela w Janowie Lubelskim (źródło: <https://www.facebook.com>).



Od lewej: kpt. „Wacław”, por. „Woyna” i ppor. „Sęp”. Obóz w turzyńskim lesie, październik 1943.



Od lewej: kpt. „Wacław”, por. „Woyna” i ppor. „Sęk”.
Obóz w turzynieckim lesie, październik 1943.

się o planowanych przez Niemców akcjach represyjnych. Poinformowała mnie, że Niemcy poszukują Wiluszowej. Wysłałem kuriera, aby ją wstrzymał przed powrotem¹⁰.

Drugi narrator, młodociany przesiedleńca z Wielkopolski, to syn głównego magazyniera rze-
czonych magazynów: *W czwartą rocznicę zniszczenia miasta przez lotnictwo hitlerowskie, w nocy z 7 na 8 września 1943 roku, oddziały partyzantów AK opanowały Janów. Niemcom nie pozwolono opuścić siedzib. Jedno ze stanowisk ogniowych partyzantów znajdowało się za rogiem naszego budynku. Po całonocnej walce, zabierając z magazynów potrzebne im w lesie produkty, opuścili miasto. Rano przyszli Niemcy. Nas – wszystkich mieszkańców posesji wyprowadzono z mieszkań, poszukując partyzantów. Znaleźli dużą ilość łusek z karabinu maszynowego. Prowadzący śledztwo grozili nam śmiercią. Przez parę godzin drżeliśmy o swoje życie. Gestapo domagało się, by egzekucja została wykonana natychmiast. Stanowisko dowódcy Schupo było w tej sprawie odmienne. Ostatecznie pozwolono nam wrócić do mieszkań. Przeżyliśmy największą traumę swojego życia. Po tym wydarzeniu Niemcy, czując się zagrożeni, wzmocnili załogę poprzez przysłanie dodatkowych żołnierzy. Nosili niemieckie mundury, lecz swym wyglądem bardzo się różnili. Ich śniada cera i skośne oczy świadczyły o azjatyckim pochodzeniu. Używali języka, który także był trudny do rozszyfrowania. Jedynie ich śpiew świadczył o wpływie kultury rosyjskiej. Mieszkali w barakach na terenie*

jednostki niemieckiej, a wieczorami swym melodyjnym śpiewem przyciągali często wielu słuchaczy. Po około trzech miesiącach opuścili Janów¹¹.

W listopadzie 1943 roku Kompania Warszawska została rozwiązana. „Sęk” opuścił Zamojszczyznę. Wraz z „Żegotą” wyjechał do Warszawy, gdzie przez kilka miesięcy był w dyspozycji Komendy Głównej. Swoją działalność partyzancką zakończył udziałem w akcji „Burza” na Lubelszczyźnie – w Dęblinie. Po wojnie wrócił do pracy w leśnictwie. W roku 1951 doktoryzował się, a w 1962 otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego. Zmarł nagle w roku 1963. Pochowany jest w Puławach¹². Kapitan „Żegota”, wraz z nieodłącznym „Wichurą” (ogniomistrz Wincenty Lempart), został wysłany na Wołyń, gdzie objął stanowisko szefa sztabu 27. Wołyńskiej Dywizji AK.

*

Tymczasem „Ose” czekała rozprawa przed Wojskowym Sądem Specjalnym (WSS), a w konsekwencji nawet i „czapa”. Lecz wstawił się za nim u samego „Adama” – „Podkowa”. Komendant, wbrew różnym opiniom, miał do „Podkowy” wielką słabość. Cenił też zasługi „Osy”, słynącego z szaleńczej odwagi, ale i gwałtownej zapalczywości. Zapach prochu tak go „nakręcał”, że tracił instynkt samozachowawczy.

Podczas ataku na posterunek ukraińskiej policji w Łukowej, nie mając zapalek do odpalenia lontu, zdecydował się na szaleństwo – odbezpieczył granat i położył go na spłonce ładunku wybuchowego! Nie miał prawa wyjść z tego żywy. Ale przeżył! Podmuch eksplozji odrzucił go tylko jak szmacianą kukłę, lecz zaraz doszedł do zmysłów – jak gdyby nigdy nic. W warunkach konspiracyjnych WSS miał trzy możliwości: wydanie wyroku śmierci, uniewinnienie lub zawieszenie sprawy do odzyskania niepodległości. Z której z tych możliwości skorzystał „Osa”, wiedział tylko sam „Adam”.

Waldemar Seroka

Zdjęcia ze zbiorów autora.

¹¹ T. Wlekiński *Moje wspomnienia z Janowa Lubelskiego 1940-1945*, „Janowskie Korzenie” nr 29 z 11.11.2017 r.

¹² I. Caban, *dz. cyt.*, s. 207.

¹⁰ J. Sowiakowski, *dz. cyt.*, s. 142.

Elżbieta Kmieć

Grób partyzanta



Był szósty lub osiemnasty dzień czerwca, a może trzydziesty maja 1943 roku. Brzeg lasu przy drodze prowadzącej z Izbicy na Zalesie bieleł się od kwitnących akacji. Prawdopodobnie siedmiu partyzantów, furmanką zaprzężoną w dwa konie, wybrało się na wieś po prowiant. Jechali z Orłowa lub Zalesia, a być może ze Stryjowa, do Izbicy, choć niewykluczone, że w kierunku zupełnie przeciwnym. Większość młodych chłopaków siedziała na wozie, jeden szedł obok. Kwiaty akacji girlandami zwieszały się nad drogą. Znienacka rozległ się jazgot seriami. Z krzaków wyskoczyli Niemcy, prując seriami w stronę zaprzęgu. Zasadzka, w jaką niespodziewanie wpadli partyzanci, nie dawała czasu na myślenie. Powożący ściął batem konie. Zerwały ostro do przodu i wtedy wóz rozpadł się na dwie części. Konie popędziły przed siebie, ratując przy okazji życie woźnicy. Drugiemu udało się uciec, kolejny został ranny, ale także zdołał uciec z życiem. Siedzący na zadzie fury czterej chłopcy nie mieli żadnej szansy na ratunek. Zginęli wszyscy. Na rozkaz Niemców w miejsce tragedii spędzono z okolicy ludzi w celu identyfikacji zabitych. Nikt, choć prawie wszyscy znali ofiary i mogli podać nazwiska, nikogo nie rozpoznał. Podobno wśród zgromadzonych był też volksdeutsch ze Stryjowa. Dyskretnie dano mu do zrozumienia, czym może się dla niego skończyć milczenie. Niemcy nie pozwolili zabrać ciał. Partyzanci mieli być zakopani w lesie, w pobliżu miejsca wpadki. Komuś miejscowemu nakazano wykopać grób. Dół wymoszczono gałązkami świerkowymi, by w majestacie śmierci przydać nieszczęśnikom choć namiastkę godności. Woń kwiatów akacji mieszała się teraz z zapachem krwi. Jednak zanim czterech partyzantów pochowano, hitlerowcy zrobili sobie pamiątkowe zdjęcie¹. Ujęcie jak po udanym polowaniu – leżące pokotem cztery ciała i zadowoleni myśliwi z bronią skierowaną w kierunku ofiar.

Grób partyzanta

W zasadzce tej, która była skutkiem zdrady² zginęli: niespełna 23-letni Józef Jarocki z Tarnogóry, 21-letni Czesław Przepiórka, 20-letni Stanisław Wiśniewski i Bolesław Parol, wszyscy trzej z Kolonii Orłów Murowany. Z beznadziejnej sytuacji życie uratowało co najmniej trzech partyzantów. Julian Siembiga, pochodzący także z Kolonii Orłów Murowany, został tylko draśnięty niemiecką kulą w połe marynarki i zdołał uciec cało³. Janusz Andruszewski, choć został ranny, to z czasem udało mu się „wylizać”



Józef Jarocki. Zdjęcie z 1939 roku.

i wrócić do pełni sił. Był on czerwonoarmistą, który zbiegł z niemieckiego transportu do niewoli i przyłączył się do oddziału. Woźnica, którego znarowiła konie poniosły na przodku fury, to najprawdopodobniej Stanisław Suszek⁴, mieszkający później w Izbicy.

W tym roku mija okrągła, osiemdziesiąta rocznica tamtych wydarzeń. Jest więc dobra okazja, by przywrócić pamięć bohaterom i ofiarom. A także, by symboliczny, obrosły legendami grób partyzanta na skraju lasu, odzyskał swoją historię. Dzięki uprzejmości Pani Elżbiety Pazery, z domu Kowalczyk, której dziękuję za życzliwą pomoc przy

² Czas i miejsce przejazdu partyzantów zdradził Niemcom niejaki Gac, także działający w konspiracji. Podobno był wtyczką niemiecką i niejedno miał na sumieniu. Wedle wspomnień Stanisława Suszka, spotkała go za to sroga kara. Został sprowadzony na Zalesie, w miejsce śmierci partyzantów i tam stracony.

³ Julian Siembiga ożenił się z siostrą zabitego Bolesława Parola. Synem tego małżeństwa jest Kazimierz Siembiga, który podzielił się wspomnieniami na temat swojego ojca oraz wuja.

⁴ Stanisław Suszek przetrwał wojnę, zamieszkał z rodziną w Izbicy i pracował w klinkierni. Przeżycia z czasów okupacji i działalność w partyzancie rezonowały w nim przez całe życie. Często wspominał pobyt w konspiracji i akcje bojowe, w których brał udział. Najbardziej wstrząsające związane były z akcjami odwetowymi przeciwko UPA, w których uczestniczył ze swoim oddziałem, m.in. pod Sarnami. W roku 1979 za działalność partyzancką został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

¹ Zdjęcie było w posiadaniu rodziny Józefa Jarockiego. Niestety, nie zachowało się do dziś.

zbieraniu materiałów, udało się przybliżyć los jednego z zabitych, Józefa Jarockiego, który był bratem jej mamy Marii. Urodził się on 21 grudnia 1920 roku w Tarnogórze. Mieszkał przy ulicy Kowalskiej, gdzie do tej pory stoi rodzinny dom Jarockich. Miał sześcioro rodzeństwa – cztery starsze siostry Bronisławę, Zofię, Konstancję i Marię oraz młodszą od siebie Barbarę i brata Konrada. Od młodych lat Józef chciał zostać marynarzem i marzył, by dostać się do służby w marynarce wojennej. Nie poprzestał jednak tylko na marzeniach. Jako że był szczupły i nie wyglądał dojrzałe, robił, co mógł, by poprawić swoją formę fizyczną. Wytrwale ćwiczył kondycję, pracował nad rzeźbą ciała, samemu przygotowując odpowiedni sprzęt, swego rodzaju siłownię. Jego wytrwałość, upór i konsekwencja przyniosły oczekiwany skutek. W 1939 roku rozpoczął służbę na morzu jako członek załogi ORP „Gryf”. Wiek poborowy w II Rzeczypospolitej rozpoczynał się w 1 stycznia roku, w którym obowiązany do służby kończył 21 lat życia. Na ochotnika do służby wojskowej mógł być przyjęty obywatel polski, który ukończył 17 lat, był zdolny do pełnienia służby, nienagannie się prowadził oraz przedstawił pozwolenie ojca na wstąpienie do wojska lub marynarki wojennej⁵. Ponieważ w 1939 roku Józef nie miał wymaganych do poboru 21 lat, dowodzi, że musiał przejść pozytywnie rekrutację i spełnić warunki stawiane ochotnikom. Wybuch wojny zastał go na okręcie. Stawiacz min „Gryf” był największym okrętem bojowym Marynarki Wojennej II Rzeczypospolitej. Zbudowany we Francji, w 1938 przybył do Gdyni i początkowo wykorzystywany był jako okręt szkolny. Załogę stanowiło 12 oficerów i blisko 180 podoficerów i marynarzy. Na wypadek przewidywanych działań wojennych ORP „Gryf” miał za zadanie postawić zagrodę na linii Gdynia-Hel, złożoną z około 300 min, w celu uniemożliwienia swobody ruchów okrętów przeciwnika. Od początku jednak wszystko poszło niezgodnie z planem. Już pierwszego września, kiedy jednostka wyszła z basenu portu na Oksywiu, by uzupełnić zapas min, została wykryta i ostrzelana przez Luftwaffe. Poległo kilku marynarzy i dowódca okrętu komandor Kwiatkowski. Zmiana dowódcy skutko-

wała kontrowersyjną decyzją o wyrzuceniu z okrętu do Zatoki Gdańskiej prawie 300 nieuzbrojonych min. Drugiego września, po przekształceniu „Gryfa” w pływającą baterię, broniącą cypla od strony zatoki, na okręcie pozostała część załogi, a reszta weszła w skład lądowej obrony Helu. Całą kolejną noc trwały naloty nękające. Od rana trzeciego września, wskutek wymiany ognia, „Gryf” był kilkakrotnie trafiony i zginęło kilku kolejnych marynarzy. Naloty junckowskich spowodowały dalsze uszkodzenia i pożar zagrażający eksplozją rufowych komór amunicyjnych. Po godz. 18, przebita burta spowodowała wyciek paliwa i pożar, którego nie udało się opanować. Po ewakuacji załogi, okręt osiadł na dnie basenu portowego i płonął jeszcze przez dwa dni⁶.

W historię okrętu wpłatają się losy jednego z członków załogi, bohatera niniejszego tekstu – Józefa Jarockiego. W rodzinie zachowała się pamięć o tym, że kiedy opuszczał on rodzinny dom i wyruszał w nieznane spełniać swoje marzenia o służbie w marynarce, matka dała mu medalik z łańcuszkiem, który miał go strzec. Nocą, w czasie bombardowania „Gryfa”, Józef akurat wyszedł na pokład. Kiedy uderzyła bomba i młody marynarz znalazł się w wodzie w beznadziejnej sytuacji, ścisnął w ręce medalik otrzymany od matki, prosząc o pomoc. Udało mu się namacać cumę. Potem ktoś z brzegu dostrzegł, że cumę się rusza i pospieszożono mu na ratunek. Tak znalazł się na lądzie, a potem w składzie załogi obrońców Helu. Z końcem września, po upadku Warszawy i Modlina, wobec braku amunicji i żywności, dowództwo obrony Wybrzeża, na czele z kontradmirałem Józefem Unrugiem podjęło decyzję o kapitulacji z dniem 2 października. Stosowny akt, podpisany w Grand Hotelu w Sopocie, oznaczał niewolę jeniecką dla jego obrońców. Józef także trafił do obozu. Trudno sprecyzować, gdzie konkretnie się znalazł. Dowodem jego pobytu w niewoli jest sfatygowana czapka obozowa i łyżka, które zabrał ze sobą, uciekając z obozu jenieckiego. Są one do dziś, z pokolenia na pokolenie, przechowywane w rodzinie jak relikwie. Po ucieczce z niewoli, pokonując wiele trudów, na piechotę wrócił do Tarnogóry. Nie mógł jednak w domu rodzinnym czuć się bezpieczny. Niemcy zaczęli nacho-

⁵ Na podstawie art. 59 Ustawy z dnia 9 kwietnia 1938 r. o powszechnym obowiązku obrony. (Dz.U.R.P. z 1938 r., Nr 25, poz. 220).

⁶ Informacje na temat ORP „Gryf” na podstawie [https://pl.m.wikipedia.org/ORP_Gryf_\(1936\)](https://pl.m.wikipedia.org/ORP_Gryf_(1936)).



Obozowa czapka oraz łyżka.

dzić dom, wypytywać, grozić, co stawało się coraz bardziej ryzykowne dla niego, a także dla bliskich. W tych okolicznościach zmuszony był się ukrywać.

Tymczasem w Tarnogórze zaczynał się zawiązywać ruch oporu. Zbiórki odbywały się między innymi na ul. Szkolnej, w rogu za budynkiem szkoły, w tak zwanym „kącie partyzanckim”. Spotkania młodych ludzi, choć odbywały się w celach konspiracyjnych, sprzyjały budzeniu się pierwszych sympatii i uczuć. Józef podobał się dziewczynom. Jedna z nich obiecała, że będzie na niego czekać. I choć po wojnie wyszła za mąż, to jeszcze przez wiele lat wspominała swoją niespełnioną miłość. Józef, pomimo błagań i rozpaczliwej prośby swojej matki, poszedł do partyzantki. Trafił do oddziału stacjonującego w okolicach lasów orłowskich. Tymczasem, po krótkiej chorobie, w lipcu 1942 roku zmarła matka. Kłopoty rodziny nie miały jednak końca. Niemcy nadal nachodzili dom i szukali zbiegów z obozu. Z czasem siostra Maria, nie czując się bezpiecznie, zaczęła ukrywać się w Orłowie Drewnianym. Ją dodatkowo spotkało nieszczęście, które na dłuższy czas zawiesiło ją między życiem a śmiercią. Na skutek urazu zadanego przez niemieckiego żandarma straciła całkowicie władzę w rękach i nogach. Po kilku miesiącach cudem odzyskała zdrowie.

Wiadomość o śmierci brata do sióstr Jarockich dotarła w 1944 roku, kiedy Niemców już nie było na naszym terenie. Ekshumacja ciał z leśnego grobu odbyła się w październiku 1944 roku. Bliscy ofiar byli wzywani do identyfikacji i Józef Jarocki został rozpoznany przez siostry po jakimś detalu. Pogrzeby partyzantów odbyły się tego samego dnia. Bolesław Parol, Stanisław Wiśniewski i Czesław Przepiórka zostali pochowani na cmentarzu w Or-



Nagrobek Józefa Jarockiego na cmentarzu w Tarnogórze.



Grób partyzanta na skraju lasu między Izbicą a Zalesiem.

łowie Murowanym. Ich groby znajdują się obok siebie pośrodku cmentarza. Na wszystkich tabliczkach widnieje ta sama data śmierci: 30 maja 1943 roku. Józefa Jarockiego pochowano w Tarnogórze, przy głównej alei cmentarza. Z relacji rodziny wynika, że pogrzeb miał charakter wojskowy. Pochowany został z honorami, a w pogrzebie uczestniczył jego dowódca. Od 2006 roku grób zdobi kamienna rzeźba Jezusa z koroną cierniową na głowie i liściem

palmowym w ręce. Poza oczywistą wymową korony cierniowej, palma jest symbolem zarówno grobu męczennika, jak i pokoju, a także zbawienia. W inskrypcji wykuty jest rok śmierci – 1942. Powtórzony on został za napisem na tablicy znajdującej się w kruchcie tarnogórskiego kościoła. Istnieją jednak dwa źródła będące w posiadaniu rodziny, potwierdzające rok 1943, jako rok śmierci, choć podające różne daty dzienne. Zaświadczenie z 5 lutego 1946 roku o treści: *Zaświadczam, że ob. Jarocki Tomasz-Józef zginął w walce zbrojnej z Niemcami dnia 6-go czerwca 1943 roku w Zalesiu pow. Zamość. Zarazem stwierdzam, że wyżej wymieniony miał na swoim utrzymaniu siostrę Marię, która obecnie znajduje się bez środków do życia. Powyższe zaświadczenie wydaje się Jarockiej Marii celem przedłożenia odnośnym władzom. B. Komendant Podokr. IV. B.Ch. w/m Janusz – Kukielka Bolesław.* (i odręczny podpis). Dalej znajduje się odręczny podpis (-) *Konstanty Telejko* oraz ręczna adnotacja: *Własnoręczność podpisu Janusza – Kukielki Bolesława stwierdzam Izbica 6 II 1946 Wójt Gminy Tarnogóra (-)Hałas.* Niżej pieczęć urzędowa gminy Tarnogóra. Drugie zaświadczenie zostało wydane przez Zarząd Gminy Tarnogóra 29 lipca 1947 roku. Z jego treści wynika m.in., że Józef Jarocki zginął jako partyzant 18 VI 1943 r. Oprócz pieczęci i podpisu wójta gminy Żyłowskiego, na dokumencie jest odręczny dopisek: *Podpis naocznego świadka Stanisław Wołos.* Biorąc pod uwagę datę wystawienia powyższych zaświadczeń, w krótkim czasie po wojnie oraz dodatkowe potwierdzenie przez naocznych świadków, a także treść tabliczek na grobach partyzantów z Orłowa, należy przyjąć, że rok 1942, wpisany na tablicy w kościele jako rok śmierci Józefa Jarockiego, został podany błędnie, a bardziej może wskutek pomyłki. Co wydaje się o tyle prawdopodobne, że wśród nazwisk trzydziestu ofiar, dwadzieścia dwie (bez Jarockiego) zmarły w 1942 roku. I o ile nie ma wątpliwości, że czterej partyzanci zginęli w 1943 roku, to ustalenie, która z dat dziennych ich śmierci jest prawdziwa, dziś już nie jest możliwe.

Niestety, upływający czas zrobił swoje. Brak żyjących świadków, którzy aktywnie działali w ruchu oporu na ziemi krasnostawskiej, a zwłaszcza na terenie gminy Izbica, nie pozwala poszerzyć niniejszego szkicu o zagadnienia równie interesujące i dopełniające powyższych informacji a związane

z przynależnością organizacyjną partyzantów, którzy wówczas zginęli z niemieckiej zasadzce. Pomińmy starań, nie udało mi się dotrzeć do opracowań historycznych, popularnonaukowych lub wspomnieniowych, które obejmowałyby działalność oddziałów partyzanckich we wschodniej części gminy Izbica. Skromne źródła pisane fragmentarycznie dotyczą struktur formalnoprawnych, terenu i zakresu działania oraz składów osobowych i nazwisk dowódców. Być może zasoby archiwalne IPN pomogłyby odpowiedzieć na wiele pytań, jednak wymaga to czasochłonnej kwerendy. Akcje sabotażowe i dywersyjne, jakie miały miejsce na terenie gminy, przypisywane są zarówno oddziałom Batalionów Chłopskich, jak i Armii Krajowej. Często przeprowadzane były wspólnie. Najczęściej powtarzającymi się nazwiskami dowódców różnego stopnia i różnych formacji, operujących na omawianym terenie, zarówno w literaturze, jak i w ustnych relacjach, są między innymi: Bolesław Kukielka ps. „Janusz” i „Żandarm”, Aleksander Soboń ps. „Wicher”, Pankracy Gałka ps. „Orwid”, Tadeusz Kuncewicz ps. „Podkowa”, Roman Szczur ps. „Urszula”, Jan Ostrowski ps. „Orzeł”, Jan Stankiewicz ps. „Topór”, Jan Małek ps. „Zrąb”, a także Julian Wilczyński ps. „Miecz”.

Różnie potoczyły się ich losy w czasie działalności ruchu oporu, jak i po wojnie. Przed większością z nich była jednak przyszłość. Dla czterech chłopców z pokolenia Kolumbów wszystko skończyło się osiemdziesiąt lat temu na przyleśnej drodze. Do dziś o miejscu ich śmierci przypomina symboliczny grób partyzanta. Skromny, ale zadbane. Czasami ktoś zapala znicz, ktoś inny przynosi kwiaty⁷. Pod odnowionym ostatnio krzyżem, na tabliczce jest umieszczony tekst nieznanego autora, zaczynający się od słów: *Ojczyzna nasza, Polsko powstań, tu leżą nasi bohaterowie...* Niedługo znowu zakwitną leśne akacje.

Elżbieta Kmiec

Dziękuję Pani Elżbiecie, Panu Kazimierzowi, Panu Czesławowi, Panu Waldemarowi i Jankowi za pomoc i wsparcie przy zbieraniu informacji do niniejszego tekstu.

⁷ Wśród osób, które opiekują się grobem partyzanta, jest pan Andrzej Domina pochodzący z Zalesia.

Arkadiusz Kostecki

Krótki poczet organistów borowickich



W poprzednim artykule pochyliłem się nad postaciami organistów posługujących na przestrzeni prawie trzech ostatnich stuleci w kościele w Łopienniku. Tym razem chciałbym się przyjrzeć organistom, którzy swego czasu związani byli z kościołem w Borowicy. Borowica to niewielka wioska położona w centralnej części województwa lubelskiego. Posiada dość długą historię (istnieje ponad pięćset lat) i wiekowy kościółek (powstały w latach 1797-1799). Pomimo tego, tutejsza parafia rzymskokatolicka jest dość młoda, gdyż formalnie powstała dopiero w 1924 r. Podczas swoich badań ponownie skorzystałem z bazy indeksów portalu genealogicznego Lubelskie Korzenie¹ oraz skanów ksiąg stanu cywilnego dostępnych na portalach Archiwum Państwowego w Lublinie oraz „Family Search”. W nawiasach podałem namiary do źródeł (nazwa parafii; rodzaj dokumentu: U – akt urodzenia, M – akt ślubu, Z – akt zgonu; numer aktu w księdze; rok sporządzenia aktu).

Przez pierwsze lata istnienia kościoła borowicki był obsługiwany przez oo. augustianów z Krasnegostawu, a następnie (od 1864 r.) przez księży z Pawłowa. Wówczas w kaplicy nie posługiwał żaden stały organista, zaś przez szereg lat msze były odprawiane bardzo rzadko, niekiedy raz do roku (przy okazji odpustu św. Stanisława). Sytuacja zaczęła się zmieniać od momentu, kiedy przy miejscowej świątyni zaczął na stałe urzędować ksiądz. Był nim ks. Wacław Chojecki, wikariusz parafii w Pawłowie, który zamieszkał w Borowicy w 1918 r. Jego działania położyły fundament pod powstanie nowej parafii, co miało swój finał w 1924 r. Prawdopodobnie właśnie z początku XX w. pochodzi pierwszy instrument znajdujący się w kościele – fisharmonia wyprodukowana w austriackim zakładzie Teofila Kotykiewicza.

Dwudziestolecie międzywojenne to okres powołania i rozwoju Kolegium Organistów Okręgu Lubelskiego, które kierowało młodych orga-



Starsza z dwóch znajdujących się w świątyni fisharmonii, pochodząca z manufaktury T. Kotykiewicza (źródło: zbiory prywatne autora).

nistów diecezji lubelskiej do mniejszych wspólnot w celu zdobycia doświadczenia zawodowego. Dzięki temu w Borowicy pojawiali się młodzi i pełni energii muzycy, animujący życie kulturalne tej niewielkiej i w większości ubogiej społeczności. Warunki bytowe w Borowicy były wówczas trudne – brak przemysłu i piaszczyste gleby nie pozwalały na szybki rozwój i bogacenie się. Dodatkowo w burzliwym okresie odradzania się państwa polskiego nie przywiązywano uwagi do rozwoju gospodarczego prowincji. Zrozumiały zatem może być fakt, że w pierwszych latach funkcjonowania wspólnoty, niewielu muzyków chciało tu posługiwać. Jak wspomina „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, już w 1926 r. do pracy w Borowicy skierowany został **Józef Jarzyna**, aczkolwiek najprawdopodobniej pracował tam bardzo krótko – niespełna rok. Już w 1927 r. mianowany na organistę kościoła w Brzeźnicy Bychawskiej², w którym pełnił obowiązki organisty już wcześniej, począwszy od 1924 r.³. Prowadził w Brzeźnicy chór parafialny, choć niezbyt udanie – problemem były tu warunki bytowe, brak fisharmonii i miejsca do prowadzenia prób, oraz mieszkanie półtora kilometra od kościoła⁴. Był

² „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1927 nr 4, s. 34.

³ G. Misiura, *Środowisko organistów diecezji lubelskiej w latach 1918-1992*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2019, s. 265.

⁴ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1930 nr 1 (12), s. 17.

¹ <https://registry.lubgens.eu>.

tam jeszcze w 1932 r.⁵. W 1929 r. odbył miesięczny kurs dokształcający dla organistów lubelskich⁶.

Warto zwrócić uwagę, że w tym samym czasie na terenie diecezji posługiwał drugi organista o bardzo podobnie brzmiącym nazwisku – **Józef Jeżyna**, który pracował kolejno w parafiach: Krynice, Klesztów i Podgórze⁷. Ów organista również odbył kurs dokształcający dla organistów, ale nieco później, w lipcu 1930 r.⁸.

Drugim borowickim organistą, o którym wspomina „Kronika...” w 1927 r., był **Ignacy Kapica**⁹. Jak wspominają starsi mieszkańcy wioski, pomimo małego wzrostu, Ignacy był wielkim człowiekiem – chodziło tu przede wszystkim o jego dobroduszość i gotowość do działania. Urodził się 18.01.1869 r. w Boiskach jako syn Bartłomieja Kapicy i Marianny z Cieślaków (Boiska, U/4/1869). 29 stycznia (10.02.) 1895 r. wziął ślub z Katarzyną Koter z Włostowic (obecnie dzielnica Puław). Akt ślubu określa Kapicę już jako organistę z zawodu, ale nie precyzuje, czy pełnił on wówczas posługę we Włostowicach, czy raczej w Kluczkowicach, gdzie wówczas mieszkali jego rodzice, co także zaznaczono w akcie ślubu (Włostowice, M/14/1895). Po śmierci Katarzyny ożenił się z Reginą Marianną Malinowską z Nowej Aleksandrii (Puławy). Cereemonia także odbyła się we włostowickiej świątyni, 27.02.1906 r. (Włostowice, M/19/1906). Z drugą żoną doczekał się dwóch córek – Władysławy (ur. 1910 r, Włostowice, U/143/1910) oraz Jadwigi Katarzyny (ur. 1914 r., Turobin, U/300/1914). Akt chrztu młodszej z córek świadczy, że w czasie I wojny światowej Kapica był organistą właśnie w Turobinie. Warto jednak wspomnieć, że w 1909 r. pojawia się także jako świadek chrztów w księgach parafialnych parafii Wilków n. Wisłą, gdzie wówczas też był organistą.

Do pracy w Borowicy Kapica został skierowany w 1927 r. Trudno jest ocenić, czy było to

wskazanie Kolegium Organistów Okręgu Lubelskiego, czy też jego własna inicjatywa. Muzyk postanowił skoncentrować swe siły na rozwoju tej małej społeczności. Osiedlił się w okolicy i zakupił dość spore gospodarstwo w pobliskiej Nikodemówce (obecnie część wsi Gołąb-Kolonia), obejmujące około 40 mórg (ponad 22 ha)¹⁰. Wydaje się, że gospodarstwo to zostało zakupione przez Kapicę dopiero po 1936 r., lub też – ze względu na uprawę roli – Kapica w kościele posługiwał dorywczo, gdyż w latach 1929-1936 Kolegium Organistowskie kierowało do Borowicy innych muzyków. Dopiero po 1936 r. Ignacy Kapica znów występował jako miejscowy organista, aż do śmierci – która nastąpiła 20.12.1949 r. Jego doczesne szczątki spoczywają na cmentarzu w Borowicy. Do dziś w okolicy żyją jego potomkowie.

W 1929 r. na praktykę muzyczną do Borowicy skierowany został **Jan Mazurkiewicz**. Wcześniej pracował w kościele w Motyczu¹¹, przy czym w 1926 r. odbył organistowski kurs dokształcający¹². W 1930 r. przeniesiony z Borowicy do Olchowca¹³, rok później do Cycowa¹⁴, zaś w 1932 r. był już organistą w Wiszniewicach¹⁵. Niestety, dotychczas nie udało się ustalić więcej faktów z jego życia. Po nim na stanowisko organisty borowickiego do 1932 r. powrócił Ignacy Kapica.

O kolejnym artyście posługującym w miejscowym kościółku „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej” milczy, jednakże jego działalność znacząco wpłynęła na kształt kultury muzycznej wioski w kolejnych dekadach. Tym muzykiem był **Roman Machura**, który pracował w Borowicy w latach 1932-34, za czasów ks. Stanisława Grzebalskiego i ks. Ludwika Olechowskiego.

¹⁰ P. Sawa, *Nasza wieś Borowica*, maszynopis kroniki, Borowica 1979, s. 38.

¹¹ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1929 nr 3 (11), s. 20.

¹² „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1927 nr 4, s. 31.

¹³ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1930 nr 3 (14), s. 25.

¹⁴ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1931 nr 3 (17), s. 20.

¹⁵ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1932 nr 2 (19), s. 9.

⁵ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1932 nr 2 (19), s. 9.

⁶ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1929 nr 3 (11), s. 15.

⁷ G. Misiura, dz. cyt., s. 265.

⁸ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1930 nr 3 (14), s. 18.

⁹ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1927 nr 2 (5), s. 8.

Roman Machura urodził się w 1911 r. we Włodowicach k. Zawiercia jako najmłodszy syn Franciszka i Marianny Machurów. Ukończył szkołę podstawową we Włodowicach, a następnie czteroletnią szkołę muzyczną w Częstochowie. W 1930 r. przeniósł się na Lubelszczyznę, gdzie został mianowany na stanowisko organisty w Świerszczowie k. Chełma¹⁶. Poznał tam Genowefę Dudzik, która w 1930 r. została jego żoną. Posługiwał tam do 1932 r.¹⁷, kiedy to przeszedł do wspólnoty w Borowicy.

Jeden z mieszkańców Borowicy, Piotr Sawa, spisał pod koniec lat 70. XX w. historię miejscowości. W swojej kronice wspominał także o Romanie Machurze: *dużo było przed nim i po nim organistów, ale żaden nie pozostawił tyle wkładu i pamiętki w utworzeniu chóru kościelnego. Był niecałe dwa lata tylko, ale (...) wyuczył około 30-osobowy chór 4-głosowy, który tak pięknie śpie-*

*wał, że podziwiali mieszkańcy innych wiosek*¹⁸. Słowa te wymownie świadczą o zaangażowaniu Romana Machury w pracę. To właśnie jego działalność była impulsem do rozwoju kultury muzycznej wsi na przestrzeni kilku kolejnych dekad. Warto wspomnieć, że to właśnie w Borowicy, dokładnie 14.08.1933 r. urodził się jego syn, Marian Machura – wybitny kompozytor, pedagog, wieloletni organista opactwa benedyktyńskiego w Tyńcu.

W 1934 r. Roman Machura wraz z rodziną przeniósł się do Tarnawatki, gdzie również prowadził chór¹⁹ i udzielał się społecznie aż do 1946 r. Umiejętność gry na organach i pianinie wręcz ocalała mu życie. Podczas okupacji dwóch niemieckich żołnierzy stacjonujących w Tarnawatce usłyszało grę organisty, gdy ten ćwiczył na pianinie w swoim domu. Ku przerażeniu całej rodziny, żołnierze niespodziewanie zapukali do ich domu. Jeden z nich okazał się być niemieckim duchownym. Słyszac



Chór parafialny z Borowicy, prowadzony przez Romana Machurę, około 1933 roku (źródło: zbiory prywatne Stanisławy Śmigasiewicz, mieszkanki Borowicy).

¹⁶ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1930 nr 3 (14), s. 25.

¹⁷ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1932 nr 2 (19), s. 9.

¹⁸ P. Sawa, dz. cyt., s. 38.

¹⁹ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1936 nr 1 (26), s. 14.

pieśni kościelne, postanowił uprzedzić muzyka o planowanej nazajutrz wywóźce mieszkańców wioski do obozu na Majdanku. Dzięki temu Roman Machura mógł się w porę ukryć. W 1942 r. miejscowa ludność pochodzenia ukraińskiego przejęła kościół na użytek cerkwi prawosławnej, przez co przez kilka lat katolicy byli zmuszeni modlić się w tymczasowej kaplicy urządzonej w jednym z pomieszczeń plebanii. W 1946 r. Roman Machura wraz z rodziną przeniósł się do parafii Zagłoba k. Opola Lubelskiego. Dwa lata później został organistą w oddalonym o 15 km Piotrowinie.

W 1955 r. powrócił w rodzinne strony – został organistą parafii Łagisza (obecnie dzielnica Będzina). W tym samym roku poddał się operacji jedyne go oka (drugie utracił w latach dziecięcych). W Łagiszy posługiwał aż do śmierci, dokładnie 20.12.1978 r. Wraz z żoną spoczywa na cmentarzu w Będzinie-Łagiszach²⁰.

O następach Romana Machury nie wiadomo zbyt wiele. Pierwszym z nich był **Piotr Żurkowski**, który pracę w Borowicy rozpoczął w 1934 r.²¹. Urodził się w 1911 r. w Kurowie jako syn Stanisława i Józefy z d. Księżniak. Pracę jako organistę rozpoczął prawdopodobnie około 1930 r. Już w 1935 r. opuścił Borowicę i został skierowany do posługi w Brzeźnicy Książęcej²². W latach 1937-38 pracował w kościele w Klesztowie, później w Pawłowie (1938-45?), Kurowie (1946-55?), Jastkowie (1955?-58) i Karczmiskach (od 1958 r.). Zmarł 10.01.1960 r. Uroczystość pogrzebowa odbyła się w kościele pw. Niepokalanego Poczęcia NMP w Lublinie. Został pochowany w Lublinie²³.

W 1935 r. organistą borowickim został mianowany **Edmund Kotowski**²⁴. W 1936 r. przeniósł się do diecezji podlaskiej²⁵. Wówczas do pracy

w Borowicy został skierowany **Edward Landman**²⁶. Urodził się 26.07.1911 r. w Targowisku k. Wysockiego jako syn Stanisława Landmana i Małgorzaty ze Ściborków (Targowisko, U/147/1911). W latach 1936-38 pracował w parafii w Borowicy, a od 1938 r. posługiwał w parafii Krynice k. Tomaszowa Lubelskiego. Tam też 5.09.1942 r. poślubił Sabinę Wojczuk. Od 1.05.1952 r. do 1960 r. posługiwał w parafii w Komarowie²⁷. Prowadził tam chór parafialny oraz orkiestrę dętą²⁸. W latach 1960-73, będąc już na rencie, posługiwał w parafii w Fajslawicach²⁹. Ostatnie lata życia spędził w Szczepieszynie³⁰.

Tuż przed II wojną światową w Borowicy pojawił się kolejny, dość leciwy organista, **Konstanty Strupiechowski**, urodzony około 1878 r. w Strupiechowie (par. Czerwonka Liwska, obecnie woj. mazowieckie). Był synem Jakuba i Tekli z Wilądków. 4.11.1906 r. w kościele w Rybitwach zawarł związek małżeński z Cecylią Tracz z Józefowa n. Wisłą³¹. Jak wspomina dr Grzegorz Misiura, jeszcze po 1908 r. posługiwał jako organista w swojej rodzinnej parafii w Czerwoncu, zaś później pojawił się w źródłach jako organista parafii w Boiskach (od 1929 r.) oraz Borowicy (od 1938 r.)³². W późniejszym czasie nie pojawia się w źródłach.

Jego następcą był **Antoni Stanisław Sułowski**, urodzony 5.05.1897 r. we wsi Boża Wola, syn Wojciecha i Jadwigi z Saganów³³. Od 1922 r.

²⁶ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1936 nr 3 (28), s. 24.

²⁷ G. Misiura, dz. cyt., s. 272.

²⁸ H. Kulik, R. Kulik, „Grabowiecki słownik biograficzny: Tom 5, biogramy L-Ł”, s. 10. Dostęp online: https://www.rodzinaulik.eu/grabowiecki_sownik_biograficzny/grabowiecki_sownik_biograficzny_t_5_l_we.pdf, z dn. 10.06.2023.

²⁹ G. Misiura, dz. cyt., s. 272.

³⁰ H. Kulik, R. Kulik, dz. cyt.

³¹ Akta małżeństw z parafii rzymskokatolickiej w Rybitwach, akt nr 32 z 1906 r., źródło: <https://www.familysearch.org/ark:/61903/3:1:939K-RH44-2P?i=378>, dostęp z dn. 10.06.2023 r.

³² G. Misiura, dz. cyt., s. 272.

³³ Akta chrztów parafii rzymskokatolickiej w Bożej Woli, akt nr 35 z 1897 r., źródło: <https://www.szukajwarchiwach.gov.pl/skan/-/skan/00f3c7d0945a06649a89e1191f65961a3e3e0fab5c6f2339e4f7ea14f58a1>, dostęp z dn. 10.06.2023 r.

²⁰ D. Sprada, *Marian Machura (1933-2016). Biografia*, Wydawnictwo Benedyktynów TYNIEC, Kraków 2022, ss. 35-64.

²¹ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1934 nr 3 (22), s. 18.

²² „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1935 nr 3 (25), s. 23.

²³ G. Misiura, dz. cyt., s. 295.

²⁴ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1935 nr 3 (25), s. 23.

²⁵ „Kronika Muzyczna Organistów Diecezji Lubelskiej”, 1936 nr 3 (28), s. 24.

osługiwał jako organista w kościele w Kurowie³⁴. 28.04.1931 r. zawarł związek małżeński z Cecylią Maśną z Klementowic. W akcie zapisano, że nadal posługiwał w Kurowie³⁵. W latach 1946-48 był organistą w Borowicy, a następnie w Siennicy Różanej (do 1952?) i Łubkach (1955-56?)³⁶.

Kolejnym organistą borowickim był **Józef Mieczysław Siek**, urodzony w 1920 r. Początkowo pomagał jako organista w kościele św. Michała Archanioła w Lublinie (około 1946 r.), a następnie w Rogóźnie (1946-48), Borowicy (1948-50?) i Orłowie Murowanym (1950?-52). 3.04.1952 r. rozpoczął pracę w parafii Świerże, gdzie pracował do 1958 r. Później pełnił jeszcze posługę w kościele w Wysokiem (1958-63) oraz w Annopolu (1963?-1979?)³⁷.

Po 1950 r. warunki bytowe w Borowicy były na tyle ciężkie, że organiści nie chcieli podejmować tutaj pracy na stałe. Na ważniejsze święta sprowadzano tu organistów z Żulina, Łopiennika i Krasnegostawu. Jak wspominają starsi mieszkańcy wsi, jednym z najczęściej odwiedzających wówczas Borowicę organistów był **Edmund Niścior**, późniejszy organista w kościele pw. św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie (w latach 1996-2009). Zmarł on w 2009 r.³⁸.

W latach 60. XX w. funkcję organistki w Borowicy objęła **Halina Maśluch**, z domu Majstruk. Z pomocą Mieczysława Bieleckiego z Łopiennika Podleśnego poprowadziła chór parafialny, który w okolicy znany był ze swego pięknego śpiewu. W porównaniu do przedwojennego chóru Romana Machury obsada chóru była mniejsza (utwory w opracowaniach jedno- i dwugłosowych), lecz repertuar był znacznie szerszy. Do chóru należały przeważnie osoby śpiewające także w miejscowym zespole ludowym „Polesie”. W 1985 r. Halina Maśluch przeniosła się do parafii w pobliskim Ka-

niem, gdzie następnie przez prawie trzydzieści lat pełniła funkcję organistki. Aktualnie przebywa na emeryturze³⁹.

Od 1985 r. Borowica nie ma stałego organisty, a za oprawę muzyczną większych uroczystości odpowiedzialni są okoliczni muzycy z Kaniego, Rejowca, Łopiennika czy Krasnegostawu. W 2006 r. w borowickim kościółku rozpoczęła się także moja przygoda z muzyką kościelną, która trwa do dziś. To tutaj stawiałem pierwsze kroki jako muzyk (grywając przeważnie na keyboardzie, gdyż tutejsze instrumenty wymagają generalnego remontu). Ze względu na liczne wspomnienia związane z borowicką świątynią, darzę ją ogromnym sentymentem.

Jako autor podkreślam, że zaprezentowany wyżej spis organistów parafii rzymskokatolickiej w Borowicy stanowi jedynie przyczynek do badań nad działalnością muzyków na tych terenach i może zawierać niepełne informacje – dlatego będzie mi niezmiernie miło, jeżeli po zapoznaniu się z artykułem, Czytelnicy zaangażują się w uzupełnianie wiedzy o muzykach z Borowicy i ziemi krasnostawskiej.

Arkadiusz Kostecki

Jan Henryk Cichosz

Z pamięci

Już takiej drugiej soboty nie będzie
Ojciec tuż przed zmierzchem czyści
na jutro do kościoła i tak już czyste oficerki.
Matka wyjmuję z chlebowego pieca pachnące
drożdżowe bułeczki. Brat pierwszy raz
próbuję się ogolić. Starsza siostra rysuje
dzbaneł pełen kwiatów, które przed chwilą
przyniosła z łąki. Młodsza siostra układa
do snu pluszową lalkę. Ja gapię się na
zachodzące słońce.
Wszystko dookoła jest jak na
przysłowiowym miejscu, tak jakby
miało nie być upływu czasu...

³⁴ G. Misiura, dz. cyt., s. 286.

³⁵ Akta małżeństw z parafii rzymskokatolickiej w Klementowicach, akt nr 9 z 1931 r., źródło: <https://www.familysearch.org/ark:/61903/3:1:9396-WJ9Z-97?i=231>, dostęp z dn. 10.06.2023 r.

³⁶ G. Misiura, dz. cyt., s. 286.

³⁷ Tamże, s. 284.

³⁸ J. Kawęcki, *Kultura muzyczna Krasnegostawu na przestrzeni ostatniego stulecia*, [w:] „Nestor. Czasopismo artystyczne” nr 4/2017 (42), s. 4.

³⁹ Na podstawie informacji uzyskanych od Haliny Maśluch.

Arkadiusz Kostecki

Krótki poczet organistów łopiennickich – uzupełnienie



W poprzednim numerze „Nestora” (nr 1(63)2023) opublikowany został artykuł o dawnych organistach parafii rzymskokatolickiej w Łopienniku Nadrzecznym. Po publikacji artykułu otrzymałem prośby o zbadanie i uzupełnienie niektórych informacji, w związku z czym kontynuuję wątek. W tym artykule postaram się odnieść do informacji przekazanych mi przez Czytelników. Pragnę przy tym bardzo serdecznie podziękować wszystkim, którzy do mnie w tej sprawie napisali – osobiście lub za pośrednictwem Redakcji.

Jedną z osób, które się ze mną skontaktowały, jest miejscowy organista, Paweł Suryś. Przesłał do mnie sporo materiałów dotyczących jego posługi w Łopienniku. Jego informacje pozwoliły mi znacznie uzupełnić niniejsze opracowanie. **Paweł Suryś** został zatrudniony na stanowisku organisty parafialnego w Łopienniku w kwietniu 2013 r. Wcześniej posługiwał w parafii pw. Nawrócenia św. Pawła Apostoła w Lublinie (w latach 2010-12) oraz w parafii pw. Miłosierdzia Bożego w Łucce k. Lubartowa (2012-13). Ponadto grywał na zastępstwach w wielu innych kościołach Lubelszczyzny.

Studiując na kierunku muzykologia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ukończył klasę organów specjalnych u dr Jadwigi Kowalskiej. W trakcie studiów prowadził wzmoczoną aktywność naukową, biorąc udział w konferencjach i publikując liczne artykuły. Ponadto, w 2012 r. wziął udział w Międzynarodowym Festiwalu Organowym w Ružomberku na Słowacji. Paweł Suryś jest także absolwentem Archidiecezjalnego Studium Organistowskiego w Lublinie. Doksztalał się również u Rudolfa Steinera, wieloletniego lubelskiego organisty archikatedralnego.

Oprócz pełnienia posługi organistowskiej, pracuje jako nauczyciel muzyki oraz udziela lekcji gry na pianinie. Prowadzi także działalność kompozytorską – jest m.in. twórcą muzyki do tekstów o św. Bartłomieju Apostole, patronie łopiennickiej parafii. Muzyk stara się popularyzować twórczość

miejscowych kompozytorów. Przejawem tego był chociażby koncert muzyki organowej prof. Mariana Sawy, który odbył się w Łopienniku w dniu odpustu parafialnego, 28 sierpnia 2022 r. Warto wspomnieć, że Paweł Suryś pieczołowicie dokumentuje historię i stan techniczny łopiennickich organów, prowadząc od 2013 r. kronikę dla tego instrumentu. W 2021 r. brał czynny udział w prowadzonych pracach konserwacyjnych instrumentu. Prace te miały na celu uratowanie zabytkowych organów przed inwazją drewnojadów.

Opierając się na wiadomościach uzyskanych od byłych chórzystów, w poprzednim numerze zamieściłem informację, że działalność chóru została zakończona przez Pawła Sursysia. Tymczasem on sam informuje, że umowa zawarta z parafią w Łopienniku nie zobowiązywała go do prowadzenia zespołu. Stąd też, pomimo okazjonalnych występów chóru „Lutnia” (które trwały aż do 2016 r.), w świetle istniejących dokumentów ostatnią osobą prowadzącą chór był poprzedni organista Stanisław Miciuła pracujący formalnie w parafii do końca 2012 r.

Jako osoba interesująca się chóralistyką, osobiście ubolewam, że na terenie parafii i całej gminy nie funkcjonuje obecnie żaden chór religijny – choć tradycje chóralne są tu bardzo silne (w Łopienniku i Borowicy przez lata istniały chóry), a ilość kompozycji chóralnych stworzonych przez miejscowych organistów jest imponująca. Patrząc jednak na pozostałe działania obecnego organisty, nie da się ukryć, że w miarę swoich możliwości działa on na korzyść rozwoju kultury muzycznej w Łopienniku, a jego praca zasługuje na docenienie i szacunek.

Kolejną informacją, tym razem dostarczoną do Redakcji przez Pana Tomasza K. z Krasnegostawu, jest przypomnienie, że pod koniec lat 80. XX w. i na początku lat 90. pracowała w parafii jako organistka/katechetka **s. Faustyna (Elżbieta Goś)**. Mieszkała z siostrą Salomeą, która pełniła funkcję zakrystianki¹. Uzupełnia to wiedzę zawartą w folderze wydanym przez bibliotekę gminną w porozumieniu z parafią² oraz w publikacji dra

¹ Na podstawie informacji uzyskanych od Tomasza K.

² M. Socha, G. Skrzypa (red.), *Na cześć i chwałę Bogu: Kościół pod wezwaniem Świętego Bartłomieja*

Grzegorza Misiury z KUL-u, do której przez przypadek udało mi się w ostatnim czasie dotrzeć. Co ciekawe – jak wskazuje dr Misiura, od 1986 r. organistką w Łopienniku była **s. Izabella Chmielowica CFSF**, (ur. w 1954 r.³) a posługiwała tu przynajmniej do 1988 r.⁴. Jeszcze inną wersję wydarzeń prezentują członkowie chóru w Łopienniku, którzy wskazują, że po śmierci Franciszka Sawy muzyką w kościele zajmowała się wspomniana w poprzednim artykule s. Barbara Łyżwa, zaś s. Izabelli Chmielowicy sobie nie przypominają. Ponadto wymieniają imiona dwóch innych sióstr, które zamieszkiwały w dawnej „organistowce” i zajmowały się porządkiem wewnątrz i wokół świątyni – były to s. Hiacynta i s. Gabriela. Wspominają również siostrę Faustynę, która pracowała w parafii bezpośrednio po s. Barbarze przez około dwa lata⁵. Być może po śmierci Franciszka Sawy s. Izabella Chmielowica zajmowała się muzyką w łopiennickim kościele przez krótki czas i nie została zapamiętana przez miejscowych, zaś po niej posługę w kościele pełnili kolejno: s. Barbara Łyżwa, s. Faustyna Goś, Stanisław Miciuła i Paweł Suryś. Jednakże w świetle dostępnych mi dokumentów obecnie nie jestem w stanie ustalić, czy tak rzeczywiście było.

Jako rodowity „Łopieńczyk” mam nadzieję, że pomimo różnych nieporozumień uda się w końcu precyzyjnie ustalić dzieje organistów z Łopiennika, dorobek tutejszych muzyków zostanie ocalony od zapomnienia i rozpowszechni się poza naszą miejscowością, zaś kultura muzyczna w Łopienniku będzie rozkwitać.

Arkadiusz Kostecki

Jacek Kiszczak

Fenomen Podziemi Kredowych. Zabytkowa kopalnia kredy w Chełmie



W województwie lubelskim, w Chełmie znajduje się jedna z kilku na świecie, a jedyna w Europie zabytkowa kopalnia kredy. Kopalnia stanowi unikat na skalę światową. Cieszy się dużym zainteresowaniem, ponieważ co roku odwiedza ją ponad 30 tys. turystów. Miasto Chełm o metryce średniowiecznej¹ położone jest na Pagórach Chełmskich, w całości zbudowanych ze skał kredowych, przykryte trzeciorzędowymi piaskami i piaskowcami. Kreda pisząca należy do skał osadowych będących produktem wytworzonym przez niegdyś żywe organizmy. Jej skład to głównie dendrytyczna masa wapienna i węglanowe szczątki organiczne, gdzie przeważają otwornice, rzadziej glony jednokomórkowe kokolity, inoceramy, ramienionogi czy ślimaki. Kreda jest barwy od białej, białozółtawej do białoszarej. W przełomie matowa, ziemista, bieląca, na mokro miękka, po wyschnięciu krucha. Najogólniej można stwierdzić, że jest to skała organogeniczna odznaczająca się wysoką porowatością, dużą wodochłonnością, małą wytrzymałością i ciężarem². Pokłady kredy w Chełmie i okolicy należą do największych w Polsce. Grubość pokrywy kredowej wynosi ponad 800 m.

¹ Lokacja miasta na prawie niemieckim miała miejsce 7 bądź 14 stycznia 1392 r. Dokument lokacyjny został wystawiony na zamku w Lubomlu (obecna miejscowość na Zachodniej Ukrainie) na wyraźną prośbę wójta, rajców i mieszkańców Chełma (Zbiór Dokumentów Małopolskich, cz. VIII, wyd. I. Sułkowska-Kurasiowa i S. Kuraś, Wrocław 1976, nr 2547). Problematykę Chełma przedkolacyjnego i lokacyjnego możemy prześledzić w publikacjach prof. Ryszarda Szczygła, m.in. *Etapy lokacji miast nadbużańskich w XIV-XV wieku. Jedna czy dwie lokacje Chełma na prawie niemieckim?*, [w:] *Ojczyzna bliższa i dalsza. Studia historyczne ofiarowane Feliksowi Kyrkowi w sześćdziesiąt rocznicę urodzin*, (red.) J. Chrobaczyński i inni., Kraków 1993, ss. 125-130; *Chełm i chełmskie w dziejach*, (red.) R. Szczygieł, Chełm 1995 – tam dalsza literatura.

² J. Tworek, *Chełmskie Podziemia Kredowe. Wyjątkowy zabytek górnictwa kredy*, wyd. II uzupełnione, Chełm 2016, s. 21.

Apostoła w Łopienniku Nadrzecznym na przełomie wieku, Łopiennik 2014, s. 17.

³ G. Misiura, *Środowisko organistów diecezji lubelskiej w latach 1918-1992*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2019, s. 257.

⁴ G. Misiura, dz. cyt., s. 314.

⁵ Na podstawie wspomnień dawnych chórzystów – Feliksa Kowalskiego i Teresy Ciołek.

Kreda ma szerokie zastosowanie. Używana jest do produkcji kosmetyków, w przeszłości pudru nazywanego bielidłem, past do zębów, farb, kredek pastelowych, jako proszek czyszczący przedmioty metalowe i wyroby z metali kolorowych. Stosuje się ją w medycynie, przemyśle farmaceutycznym, papierniczym, gumowym, chemicznym, cementowym, metalurgii³. Podczas badań wykopaliskowych prowadzonych w Chełmie, często są odnajdywane różnego rodzaju przedmioty wykonane z kredy o charakterze gospodarczym, jak przęśliki, ciężarki tkackie czy formy do odlewu ozdób z brązu⁴. Bloki kredowe doskonale nadają się do rzeźbienia różnych elementów wystroju kościołów, dekoracji ich wnętrza. Przykładami są sztukaterie w Uchaniach, Lublinie, Zamościu czy Krakowie⁵. Kreda stanowiła w przeszłości (a niekiedy i dziś) najważniejszy dodatek do różnego rodzaju zapraw budowlanych. W krakowskiej Bibliotece Jagiellońskiej znajduje się dokument stwierdzający o wysłaniu w XVII wieku z Krakowa do Chełma 17 furmanek po kredę, z której prawdopodobnie wykonano część Sukienic. Główną funkcją kredy, do dzisiaj stosowaną, jest pisanie po tablicy w szkole. Starsi chełmianie często wspominali, że [...] w chełmskich szkołach, jeszcze w latach 60. XX wieku, nikomu do głowy nie przychodziło, by kredę do szkoły kupować w sklepie, a jeszcze w latach 50. funkcjonował w Chełmie warsztatik wyspecjalizowany w odpowiednim przycinaniu kredy dla szkół⁶.

Historia

Górnictwo kredowe w Chełmie ma długą tradycję, począwszy od wczesnego średniowiecza. Najstarsze wyrobiska kredowe, datowane na XIII wiek znajdują się pod obecną Górą Katedralną (Zamkową) i jej bezpośrednim otoczeniem. Początkowo powstawały one w celach obronnych, jako

miejsca schronienia przed obcym najeźdźcą (m.in. Mongołów, Tatarów) i sakralnych⁷. Burzliwy rozwój kopalnictwa kredowego nastąpił w XVI-XVIII wieku. Zwiększyło się wówczas zapotrzebowanie na kredę piszącą, która była rozprowadzana po wielu miastach Rzeczypospolitej. Chełmianie, większości starozakonni⁸, zajmowali się wydobywaniem i handlem kredą (niekiedy także nazywaną „białym złotem”). Jednym z pierwszych i najważniejszych dokumentów potwierdzającym kopalnictwo kredowe jest siedemnastowieczne dzieło biskupa unickiego, bazylianina Jakuba Suszy *Phoenix tertio redivivus albo Obraz starożytny chełmski*, Zamość 1684 (maszynopis wykonany przez Józefa Kaczorka w 1974 r.): [...] *kopię kredę i rozwożę po całej Polsce* (s. 34), [...] *Pod całym miastem, mianowicie pod domami żydowskimi ciągną się podziemne lochy, z których ciągle wybierają kredę, i ta stanowi największy handel w całym mieście*⁹. Innymi źródłami zawierającymi informacje o podziemnym kopalnictwie kredowym i handlu kredą są księgi miejskie z XVII i XVIII wieku, z których pochodzą także charakterystyczne zapisy: *lochy wybrane w skale kredowej, lochy wycinane w krydzie* czy *lochy w skale wycinane*¹⁰. Wydobywanie kredy i drażnienie podziemnych wyrobisk odbywało się z murowanych piwnic (rzadziej kredowych) znajdujących się pod drewnianymi domami mieszczan chełmskich. Potwierdza to informacja pochodząca z XVII wieku, że na 100 domów znajdujących się w obrębie zabudowy staromiejskiej, 80 posiadało piwnice z wejściami do kredowych korytarzy. Służyły one przede wszystkim do przechowywania różnego rodzaju towarów – owoców, warzyw, ryb czy win¹¹. Proceder drażnienia był niekontrolowany przez ówczesne władze miejskie, skutkiem czego

³ Tamże, s. 26.

⁴ S. Gołub, *Podziemia Kredowe w Chełmie – zarys historii eksploatacji górniczej* [w:] Materiały 43. Sympozjum Speleologicznego, (red.) R. Dobrowolski i inni., Kraków 2009, ss. 34-35 – tam dalsza literatura.

⁵ B. Zimmer, *Miasto Chełm. Zarys historyczny*, Warszawa-Kraków 1974, s. 65.

⁶ J. Tworek, dz. cyt., ss. 26, 32.

⁷ Z końca XIX wieku pochodzi tekst Fiodora Cherbaczewskiego, duchownego, który opisuje relację wizyty w katakumbach pod Górą Zamkową, gdzie widział pochówki Daniela Romanowicza oraz innych dostojnych osób (wg S. Gołub, dz. cyt., s. 35).

⁸ Określenie odnosi się do wyznawców religii mojżeszowej (judaizmu, ludności żydowskiej).

⁹ S. Skibiński, *Podziemia kredowe w Chełmie*, Nadruk jednodniówki „Ziemia Chełmska”, Chełm 1971, s. 15 – tam dalsza literatura.

¹⁰ J. Tworek, dz. cyt., s. 32.

¹¹ S. Gołub, dz. cyt., s. 35.

było następstwo powstania prywatnych, podziemnych, kredowych wyrobisk, często się ze sobą łączących czy krzyżujących, a to prowadziło do wytworzenia się „kredowego labiryntu” pod Starym Miastem. Duży rozmach drążenia korytarzy powodował naruszenie konstrukcji domów oraz zapadanie się ulic i samego rynku. Zmierzch kopania kredy w mieście przypada na schyłek XVIII i XIX wiek. Władze miejskie próbowały wówczas ratować zabudowę mieszczańską. W 1787 roku Rada Miasta wydała pierwszy zakaz (choć nieskuteczny, nieprzestrzegany) kopania kredy pod ulicami i zasypianie wyrobisk, natomiast kosztami obarczono właścicieli kopalń. Kolejne zarządzenie zostało wydane przez Rząd Gubernialny Lubelski w 1827 roku, a później poparty zakazem kopania kredy przez Komisję Rządową Spraw Wewnętrznych w 1837 roku. Kres wydobywania „białego złota” nastąpił pod koniec XIX - początek XX wieku, w związku z nasileniem się katastrof górniczych pod Starówką¹². 25 stycznia 1995 r. podziemia kredowe zostały wpisane do rejestru zabytków.

Badania archeologiczne

Liczne, dwudziestowieczne katastrofy budowlane na Starówce¹³ wymusiły na władzach miasta podjęcie badań ekspertyzowych i prac zabezpieczających (początkowo bez udziału archeologów) w latach 1966-1973. W ich efekcie duża część wyrobisk została zabezpieczona (wypełnione piaskiem) i odcięta murowanymi tamami oraz zinwentaryzowana¹⁴. Prace badawcze prowadziła Katedra Historii Architektury Politechniki Krakowskiej pod kierownictwem prof. Wiktora Zina i dr. Władysława Grabskiego. Zabezpieczeniami korytarzy kredowych i zaadaptowaniem ich do późniejszej trasy turystycznej zajęła się 30-osobowa ekipa Przedsiębiorstwa Robót Górniczych w Mysłowicach. Sam profesor Zin stwierdził, że

przebadano wówczas 8 km wyrobisk, co stanowi zaledwie piątą część istniejącego systemu podziemnych korytarzy¹⁵. Było to podstawą do późniejszego upowszechnienia się, powielanej przez wielu badaczy, nieopartej badaniami naukowymi hipotezy o łącznej ich długości ok. 40 km.

Pierwsze badania archeologiczne zostały przeprowadzone przez Andrzeja Bronickiego i Sławomira Kadrowa w 1985 roku podczas wznawianych w początkach lat 80. prac zabezpieczających wyrobiska. Nie uczestniczyli oni jednak przy samych pracach górniczych, a koncentrowali się nad badaniami odkrytej przez górników studni staromiejskiej z XV-XVIII wieku, która przecinała korytarze. Kolejne systematyczne badania wykopaliskowe wykonywali w latach 1994-2000 Stanisław Gołub, Tomasz Dzieńkowski i Wojciech Mazurek, które były kontynuowane z przerwami w kolejnych latach. Ostatnie badania archeologiczne przeprowadzono w 2012 r.¹⁶. Prace archeologiczne przyniosły ciekawe spostrzeżenia, interesujące odkrycia nowych wybijerek i zabytków ruchomych oraz weryfikację informacji zawartych w źródłach pisanych. Przede wszystkim ustalono, że służyły jako składy towarów w XVI-XIX wieku i wyodrębniono nową kategorię obiektu – lochy wykonane w kredzie. Korytarze stanowiły proste odcinki o długości od kilku do kilkunastu metrów, szerokości 1,5 do 2 m, symetrycznie po obydwu stronach wykonywano na wysokości ok. 0,5 m od dna półki do składowania żywności. Dzięki archeologii najogólniej możemy stwierdzić, że w mieście funkcjonowały małe, prywatne kopalnie z wejściami z murowanych piwnic, często połączone ze sobą w kilkupoziomowe korytarze. Zabiegi techniczne stosowane w czasie eksploatacji górniczej, łukowe sklepienia korytarzy, dodatkowo gładzone techniką małych zaciosywarń za pomocą kamiennych czy kredowych otoczaków wskazują na dużą znajomość mechaniki górotworu przez mieszczan chełmskich. Nie używano drewnianych zabezpieczeń, m.in. stemplowania drewnem znanych z innych kopalń w Polsce. Odpady w postaci

¹² Tamże, s. 37.

¹³ Największa miała miejsce 29 listopada 1965 r.: [...] w południe za przejeżdżającym samochodem ciężarowym zapadła się jezdnia, chodnik i piwnice budynku nr 36 przy ul. Lubelskiej, [...] na głębokości około 10 metrów [...] (wg J. Tworek, 2016, s. 51).

¹⁴ Tamże, s. 35.

¹⁵ J. Tworek, dz. cyt., ss. 51-52.

¹⁶ Źródło: <https://zabytek.pl/pl/obiekty/chelm-podziemia-kredowe-2>, oprac. Ewa Prusicka-Kolcon 2014 [dostęp: 26.04.2023].

rumoszu kredowego gromadzono w bocznych korytarzach czy specjalnie do tego wykonanych niszach, a oświetlano kagankami stawianymi w wycięte wnęki. Materiał zabytkowy odkryty w czasie badań stanowiła dość liczna późnośredniowieczna i nowożytna ceramika naczyniowa (wiele dużych naczyń), kości zwierzęce, w mniejszej ilości wystąpiły kafle, naczynia szklane, narzędzia wykonane z żelaza (część z nich związana z górnictwem kredy), monety i ozdoby¹⁷.



Wybór zabytków odkrytych podczas badań wykopaliskowych w podziemnych kopalniach kredy. Okres staropolski XV-XVIII w. (zbiory Muzeum Ziemi Chełmskiej, fot. S. Gołub, wg S. Gołub, 2009, s. 37).

Trasa turystyczna

Pierwsze wycieczki do kredowych wyrobisk były organizowane przez PTTK Oddział w Chełmie na początku XX wieku. Wówczas odbyły się dwie wycieczki w 1911 r. W latach 1937-1939 zorganizowano niewielką, bo liczącą ok. 300 metrów trasę turystyczną, a w 1939 roku dokonano pierwszych pomiarów podziemi. Trasa turystyczna w obecnej postaci została utworzona w 1972 roku, jednak ostateczny swój kształt uzyskała w 1985 roku.

Zabytkowa Kopalnia Kredy liczy ok. 1 km długości, panuje tam stała temperatura 9-10°C i duża wilgotność ok. 70-80%. Turyści odwiedzający trasę podziemną wędrują ok. 12-13 metrów pod obecną powierzchnią, w najniższym punkcie znajdują się ok. 16 m. Zwiedzanie odbywa się z przewodnikiem, który przez ok. 1 godz. opowiada historię podziemi kredowych i miasta. Turysta



Komora Odkrywców (Janczykowskiego). Miejsce wykonania pierwszych pomiarów podziemi 27 lipca 1939 r.

może dowiedzieć się od przewodnika różnych interesujących rzeczy, m.in. posłuchać legendy o białym niedźwiedziu, skarbie ukrytym w podziemiach czy o podziemnej rzece łączącej studnię zamkową (obecna rekonstrukcja na Górze Katedralnej) z Uherką, do której niegdyś Chełmianie rzucali różne ofiary i wypowiadali swoje życzenia. W samej studni mieszkała złota kaczka przepływająca podziemną rzekę i sprawiająca, że obfitowała w cudowną wodę.



Korytarze prowadzące przez podziemia (fot. J. Kiszcza).

¹⁷ S. Gołub, dz. cyt., ss. 35-37.



Ekspozycja broni średniowiecznej (fot. J. Kiszczak).



*Korytarze prowadzące przez podziemia
(fot. J. Kiszczak).*



*Ekspozycja pracujących górników i narzędzi górniczych
(fot. J. Kiszczak).*

W Podziemiach Kredowych możemy zobaczyć kilka ekspozycji. Jednymi z nich są wystawy broni średniowiecznej (groty strzał, groty bełtów, kiścień czyli broń obuchowa, głowicę miecza, wczesnośredniowieczną kolczugę, hakownicę) oraz narzędzi używanych przez chełmskich górników do eksploatacji wyrobisk, jak młoty, kilofy, siekiery i wiadra. Do interesujących ekspozycji należą chełmscy górnicy pracujący podczas drążenia i wybierania kredy.

Najciekawszymi ekspozycjami są szyb studni staromiejskiej o łącznej głębokości ok. 24 m, użytkowanej od XV do XVIII wieku, przedmioty odkryte w zasypisku studni (ceramika naczyniowa, kafle, wyroby szklane, żelazne, szabla typu polsko-węgierskiego z 2. poł. XVI w., nowożytny czekan) i wystawa biżuterii kobiecej. Ekspozycja

ta przedstawia kopie złotych kolczyków tzw. kołtów z XIII wieku, matrycę z brązu służącą do odlewania kołtów, szklane bransolety o pochodzeniu wschodnim z XIII w., krzyżyki wykonane z brązu, wczesnośredniowieczny enkolpion czyli krzyż noszony przez dostojników kościelnych (biskupów) i pierścień z symbolem książęcym dynastii Romanowiczów. Turyści podczas zwiedzania podziemi kredowych dowiadują się o pochodzeniu kredy, sposobie jej wydobycia oraz zastosowania w przemyśle. Służą do tego dwie wystawy geologiczne – geologia i dno morza z okresu ery mezozoicznej. Można tam zobaczyć różnego rodzaju skamieliny, jak na przykład amonity, belemnity, ramienionogi, koralowce, gąbki. Na jednej ze ścian znajduje się fragment ryciny autorstwa Teodora Rakowieckiego z 1765 r. przedstawiającej rynek staromiejski

z centralnie umieszczonym ratuszem, obecnym kościołem Rozesłania Św. Apostołów i kaplicą seminaryjną bazylianów.



Ekspozycja biżuterii kobiecej (fot. J. Kiszczak).



Ekspozycja geologiczna (fot. J. Kiszczak).



Widok na szymb studni staromiejskiej XV-XVIII wiek (fot. J. Kiszczak).



Wystawa rzeczy odnalezionych w zasypisku studni (fot. J. Kiszczak).



Ekspozycja „Dno morza mezozoicznego” (fot. J. Kiszczak).



Fragment ryciny autorstwa T. Rakowieckiego z 1765 r.
(fot. J. Kiszczak).



Wycieczka w trakcie oprowadzania przez przewodnika
(fot. J. Kiszczak).

Największą atrakcją podczas wizyty w kopalni jest spotkanie z panem, władcą i opiekunem tej podziemnej krainy – duchem Bieluchem. Podobno jest to duch białego niedźwiedzia, niegdyś zamieszkującego w jednej z grot u podnóża dzisiejszej Góry Zamkowej. Można go zobaczyć w jednej z komór kredowych. Jest to dobry duch, lubi spełniać życzenia swoich gości, jednak dla złodziei i rzezimieszków bywa okrutny i srogi.

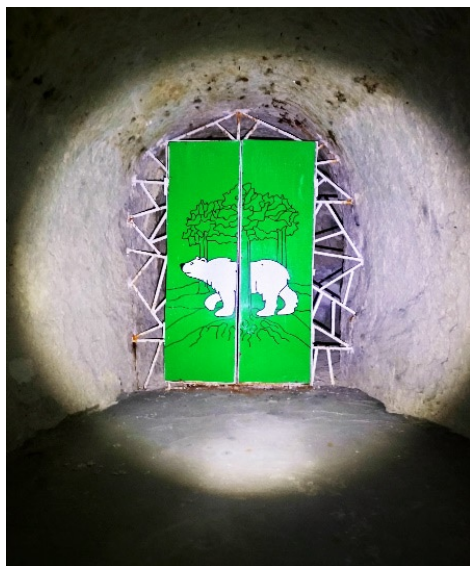


Duch Bieluch, władca i opiekun podziemnych, kredowych korytarzy (źródło: <https://podziemiakredowe.com.pl/>).

Legenda o białym niedźwiedziu i duchu Bieluchu

W czasach przedchrześcijańskich, na szczycie Chełmskiej Góry, pod trzema wielkimi dębami, w kredowej jaskini mieszkał potężny brunatny niedźwiedź. Przebywając ciągle w kredowej jaskini, nabrał pięknej białej barwy. Mieszkańcy grodu powoli przyzwyczaili się do tego osobliwego sąsiada. Początkowo z obawą, później z respektem i szacunkiem traktowali sąsiedztwo olbrzymiego dzikiego zwierza. Obok zbudowano храм, gdzie oddawano cześć pogańskim bogom, a młode kapłanki strzegły wiecznego świętego ognia. Pewnego razu niespodziewanie na mieszkańców Chełma napadli dzicy najeźdźcy. Spalili osiedle i chcieli zdobyć święty ogień. Gdy obrońcy ulegli już przewadze wroga, pojawił się biały niedźwiedź i rozgromił napastników. Zmęczony walką stanął na chwilę pomiędzy trzema dębami, a zachodzące słońce dziękczynnie malowało złotem drzewa, zwierzę i przestrzeń. Od tego czasu biały niedź-

wiedź pomiędzy trzema dębami stał się godłem Chełma¹⁸.



Biały niedźwiedź na tle trzech dębów (fot. J. Kiszczak).

[...] Minęło wiele lat. Ludzie przestali spotykać białego niedźwiedzia. Domyślili się, że odszedł na zawsze. Kolejne pokolenia, zajęte codzienną pracą i troskami coraz rzadziej wspominały zdarzenie z przeszłości i pewnie ludzie zapomnieliby również o obrońcy grodu – białym niedźwiedziu, gdyby nie opowieści kopiących pod miastem „białe złoto”. Pracujący przy wydobywaniu kredy w trudnych, podziemnych warunkach opowiadali, iż spotykają coraz częściej w podziemnych chodnikach dziwną białą zjawę. Nie robi ona jednak nikomu krzywdy, wręcz przeciwnie umila ciężko pracującym czas pobytu pod ziemią, oświetla swoim białym futerkiem mroczne korytarze, a zabłąkanym pomaga odnaleźć właściwą drogę. Domyślono się, że jest to duch białego niedźwiedzia, legendarnego obrońcy Chełma, którego nazwano Bieluchem. Dobrotliwy duch Bieluch do dziś mieszka w podziemiach kredowego labiryntu, dalej opiekuje się miastem i jego mieszkańcami, strzeże ukrytych skarbów i innych tajemnic podziemi [...]”¹⁹.

Jacek Kiszczak

Tomasz Sienicki



Mikołaja Sienickiego
zameczku tajemnice



Wieś Bończa pojawiała się już na tych łamach w moich tekstach, ale nie wspominałem jeszcze o pobliskiej małej miejscowości Bończa-Kolonia. To miejsce znane w okolicy z dużego dworu, który można nawet nazwać pałacem. Zbudowano go na przełomie wieków XVIII i XIX w stylu klasycystycznym, należał do rodów Suchodolskich, Poletyłów, Potockich. Położony na wzgórzu, w pobliżu rzeki Wojsławki i założonych na niej stawów, w oddaleniu około 2 kilometrów od wsi i kościoła. Dobra lokalizacja dla siedziby dawnych właścicieli wsi. Takie położenie byłoby jeszcze bardziej właściwe w wiekach dawniejszych, kiedy rezydencje musiały pełnić funkcje obronne. Zasadnym zatem jest pytanie, czy także wcześniej właściciele wsi doceniali walory tego miejsca i urządzali tu swoje siedziby.

W wiekach XV i XVI królowie Rzeczypospolitej nadawali niewielkie majątki ziemskie w okolicach Krasnegostawu i Chełma rodowi rycerskiemu zasłużonemu w obronie ojczyzny. Miało to na celu stworzenie buforu obronnego przed zagrożeniami ze wschodu, zwłaszcza najazdami Tatarów. Osadzeni tu rycerze musieli budować siedziby nadające się na dodatkowe punkty oporu, obok systemu dużych zamków i umocnionych miast, takich jak Krasnystaw. Wystarczyły do tego nawet niewielkie obiekty, w których mogły się zamknąć rodziny i ludność wiejska z najbliższej okolicy. Budowano więc małe zameczki rycerskie częściowo murowane, częściowo drewniane i ziemne. Powszechne były zameczki bastionowe, obwarowane na rogach przysadzistymi, niewysokimi basztami. Tatarzy niechętnie je oblegali, nastawieni na łatwą, szybką zdobycę w nieumocnionych wsiach. Zatem były to budowle skuteczne, ale wymagały usytuowania w miejscach naturalnie ułatwiających obronę, na bagnach, nad rzekami, na pagórkach.

Czy do dzisiejszego dnia zachowały się ślady rycerskich zameczków budowanych w XVI wieku? Tak, jeden z nich możemy podziwiać

¹⁸ <https://podziemiakredowe.com.pl/> [dostęp: 28.04.2023].

¹⁹ J. Tworek, dz. cyt., s. 48.

w Orłowie Murowanym, zaledwie 10 kilometrów od Krasnegostawu. Drugi w Sielcu, bliżej Chełma. Obydwa mają basteje, obydwie położone są na pagórkach, w pobliżu rzek i stawów.

Podobnie mogli budować właściciele Bończy. A któż był właścicielem tej okolicy na początku XVI wieku? Ród naszego bohatera, Mikołaja Sienickiego! Jego dziad Jan i ojciec Stanisław mieszkali w Siennicach nad rzeką Siennicą, ale Mikołaj w wyniku podziałów majątkowych został właścicielem wsi Pustotew, którą nazwał potem Bończą od nazwy swego herbu. Musiał tu także mieszkać, skoro ufundował miejscowy kościół i dokonał tu żywota. Skoro mieszkał, musiał zbudować obronną siedzibę. Czy jego zameczek był w miejscu dzisiejszego dworu? Czy dwór zbudowano na fundamentach zameczku? Uważam to za prawdopodobne. Znałe są przecież podobne przypadki, na przykład w Zasowie czy Parcicach. Można też o to podejrzewać dwór Poletyłów w Siennicy Różanej i dwór w Bończy właśnie.

Jest on obecnie używany przez Dom Pomocy Społecznej, którego mieszkańcy i pracownicy są zainteresowani historią Bończy i mocno angażowali się w obchody Roku Mikołaja Sienickiego. Dzięki temu miałem możliwość dokładnie zwiedzić



pałac. Interesowały mnie zwłaszcza piwnice, tam szukałem śladów starszych budowli, ale na próżno. Moje przypuszczenia mogą potwierdzić tylko badania archeologiczne i jest na nie szansa przy okazji planowanego remontu podziemi! Mam zamiar z uwagą obserwować prace i powrócić jeszcze kiedyś do tego tematu.

Tymczasem są to tylko podejrzenia, które wolę nazywać marzeniami. W marzeniach widzę wygląd zameczku Mikołaja, ośmieliłem się go nawet narysować. Uważam, że wypada mi dzielić się marzeniami. Być może nie uchodzi to profesjonalistom, ale ja, jako amatorski pasjonat historii, liczę na pobłażanie i wyrozumiałość Czytelników.

Tomasz Sienicki

Irena Kulik

Wiosną w Krasnymstawie

Kwietniowe anioły
z wiśniowym uśmiechem,
witają przechodniów,
idących bez pośpiechu.

Mrugają cętkami
na zielonej murawie,
rzęsami pręcików
w Krasnymstawie.

Księżyc łabędzim puchem
wzniósł się do wysokości zenitu.
Zachwyca się kasztanowcem
tuż przed rozkwitem.

Leciutko przykucnął
na gałązce wśród kwiatów klonu.
Niczym broszka
stał się ozdobą nieboskłonu.

28.04.2023

Lucjan Cimek

O prognozowaniu pogody i pianiu koguta



Na prognozowaniu pogody, tak jak na astronomii i medycynie, zna się prawie każdy z nas. Narzekając na jakość prognoz, często powtarzamy zaczerpnięte z kultury ludowej przysłowia. Część tych przysłów powstała na podstawie wieloletnich obserwacji fauny i flory w czasie zmian pogody i może być traktowana jako efekt pierwszych badań klimatycznych, część natomiast to zwykłe rymowanki niemające z meteorologią nic wspólnego, np. *Jeśli na św. Hieronima jest pogoda albo ni ma, to na św. Prota świeci słońce – albo ślota*.

Zdumiewająco wielu z nas jest wrażliwych na zjawiska meteorologiczne. Zbliżającą się burzę poprzedza spadek ciśnienia i wzrost wilgotności powietrza, co u wielu osób wywołuje bóle kości i stawów, swędzenie skóry głowy i podrażnienie nosa. Wilgoć w powietrzu sprawia, że włosy prostują się i stają się bardziej miękkie. Indianie z plemienia Zuni osobliwość tę interpretowali jako słuszną, acz makabryczną wróżbę pogody, mówiąc, że „kiedy włosy na skądle wilgotnieją, nazajutrz na pewno będzie padać”.

Michaił Łomonosow 260 lat temu wypowiedział te słowa: *Człowiek nie powinien nic więcej żądać od Boga, gdyby nauczył się bezbłędnie przepowiadać pogodę*. Nasza wiedza o procesach zachodzących w atmosferze, mimo ciągłego postępu nauki nadal jest niepełna. Te braki stara się uzupełnić meteorologia – nauka o atmosferze ziemskiej, jej budowie, właściwościach oraz przebiegających w niej procesach fizycznych.

Prawdziwy rozwój meteorologii nastąpił dopiero w ostatnich dwóch stuleciach. Wpłynęło na to wykorzystanie osiągnięć takich dyscyplin naukowych, jak matematyka, fizyka, chemia i elektronika. Rozwój metod badań wymagał konstruowania coraz doskonalszych przyrządów umożliwiających poznawanie mechanizmów zmian stanu atmosfery. Pierwsze przyrządy pozwalały na regularne obserwacje przy powierzchni gruntu. Z czasem jednak uświadomiono sobie, że do poznania mechanizmów kształtowania się pogody nie wystar-

czą obserwacje tylko dolnych warstw atmosfery, że trzeba poznać też zmiany, jakie zachodzą w jej wyższych warstwach. Przystąpiono więc do budowy obserwatoriów wysokogórskich, takich jak: Kasprowy Wierch (1985 m n.p.m.), Śnieżka (1602 m n.p.m.) oraz Pop Iwan (2026 m n.p.m.) – Czarńohora, dawne woj. stanisławowskie, które było w ówczesnej Polsce najwyższym położonym stale zamieszkałym obiektem. Na nizinach zaś samopiszące przyrządy meteorologiczne wynoszono za pomocą latawców czy balonów na uwięzi.

Postęp w badaniach górnych warstw atmosfery był możliwy dzięki wykorzystaniu radaru. Początkowo używano go do śledzenia balonów, co pozwalało bardzo dokładnie określać kierunek i prędkość wiatru w górnej atmosferze niezależnie od warunków pogodowych. Później zastosowano go do badań chmur i opadów, służył do określania ich rozmiarów pionowych i poziomych oraz stadiów rozwoju. Na podstawie tych pomiarów wnioskowano o intensywności zjawisk związanych z burzami i opadami. Obecnie meteorolodzy posługują się najnowszymi radarami dopplerowskimi, które pozwalają na dokładne śledzenie również kierunku i przemieszczania się stref chmurowych i opadowych, a także na wykrywanie turbulencji w atmosferze. Zasadniczą zaletą radaru jest jego duży zasięg (100-200 km, a nawet więcej), co umożliwia badanie zjawisk bardzo oddalonych, trudnych do śledzenia za pomocą zwykłej obserwacyjno-pomiarowej sieci meteorologicznej.

Do badań meteorologicznych wykorzystuje się także najnowsze osiągnięcia nauki i techniki, tj. rakiety i sztuczne satelity Ziemi. Rakiety meteorologiczne stosowane są do pionowego sondowania atmosfery. Za ich pomocą prowadzi się badania nad pionowym rozkładem ciśnienia, temperatury i gęstości powietrza oraz nad jego składem, a także badania kierunku i prędkości wiatru.

Satelity meteorologiczne do badania górnych warstw atmosfery wystrzeliwane są regularnie od początku lat 60. ubiegłego wieku. Dziś nad naszymi głowami krążą satelity geostacjonarne (usytuowane w stałych punktach nad równikiem) oraz okołobiegunowe (obiegające Ziemię ze stałą częstotliwością po torach wyznaczonych południkami geograficznymi). Zdjęcia wykonywane przez satelity meteorologiczne są wykorzystywane przez

służbę prognoz do analizy układów, co umożliwia konfrontację z sytuacją na mapie synoptycznej. Zdjęcia są analizowane w stacjach odbioru danych, a stamtąd rozsyłane do zainteresowanych służb meteorologicznych (cywilnych i wojskowych).

Rozwój nowoczesnych technologii cyfrowych spowodował, że do analizowania i przewidywania pogody zaczęto wykorzystywać komputery. Dzięki wykorzystaniu w meteorologii najnowszych osiągnięć informatyki, satelitów i technik teledetekcyjnych sprawdzalność prognoz krótkoterminowych wynosi 90-95 procent. Jednak musimy stale pamiętać, że materia, którą badamy jest – jak kobieta – bardzo zmienna. Nigdy nie będziemy mogli z całą pewnością powiedzieć, że jutro będzie padał deszcz.

W okresie wiosenno-letnim (maj-wrzesień) jest to dość ważne zjawisko, ponieważ może ze sobą przynieść opad przelotny, ale bardzo często burzowy, który najczęściej jest o dużym nasileniu. Jeszcze gorsze mogą być nasze prognozy, gdy chmurom *cumulonimbus* z ciemną i groźną podstawą towarzyszą okrągłe wypustki, sięgające niższych poziomów. Wtedy można spodziewać się gwałtownej burzy, a nawet trąby powietrznej. Najczęściej tuż przed burzą jest cisza, tzw. cisza przed burzą. Niejednokrotnie spotykamy się z ogromnymi stratami po przejściu trąby czy burzy, której towarzyszy bardzo często huraganowy wiatr oraz wspomniany wcześniej ulewny deszcz powodujący lokalne powodzie.

Wielu z nas chciałoby wiedzieć, jaka będzie pogoda, np. za miesiąc czy dwa. Meteorolodzy opracowali szereg metod, które pozwalają okre-

ślić tendencje zmian pogody w dłuższym okresie. Prognozy długoterminowe różnią się od krótkoterminowych. Podstawową różnicą jest to, że w prognozach długoterminowych nie określa się zmian pogody z dnia na dzień, a jedynie wskazuje, czy średnia temperatura i opady w całym okresie będą poniżej czy powyżej normy, czy może w normie. Komu zatem może przydać się taka prognoza? Przede wszystkim przemysłowi i rolnictwu, w pewnym zakresie także służbom rządowym. Jeśli prognozowane są opady wysoko ponad normę, można w miarę wcześniej ostrzegać mieszkańców terenów zagrożonych.

Kiedyś, kiedy nie było prognoz pogody podawanych w mediach, ludzie uważnie prowadzili własne obserwacje nie tylko nieba, ale bardzo pilnie nasłuchiwali piania koguta, uważając go za najbardziej dokładnego meteorologa. Stwierdzono bowiem, że: *Jak kogut pieje na grzędzie, to jak było wczoraj, tak i jutro będzie, ale kiedy pieje na ziemi, to się pogoda zmieni*. Dlatego też meteorologia ludowa, znacznie starsza od meteorologii naukowej, słusznie nosi miano tradycyjnej „księgi mądrości rolniczej”.

Co się zaś tyczy koguta, to najlepiej, żeby był z własnej hodowli. Taki po skończeniu służby, może być jeszcze wykorzystany w kuchni jako główny składnik pasztetu drobiowego.

Lucjan Cimek



Chmura burzowa nad Łatyczowem z charakterystycznym kowadłem (fot. Lucjan Cimek – lipiec 2017).

Jan Henryk Cichosz

Gra w zielone

Przybita podkowa
nad wytartym progiem
Gliniany dzban
pełen lipcowego słońca
zakopany (głęboko) w sadzie

Na raz. Na dwa. Na trzy
Na zaklepanie. Na odpukanie
Na grę w zielone.

Andrzej Stanisław Adamczuk

Niedziela Palmowa
– rozmowy z cieniem
Z cyklu: Mój Jaślików



– Ży niby ja?

– Ja mam Panu opowiedzieć?!

– Jak to było wtedy z Nidzielo Palmowo i z Świętami Wielganocnymi w Jaślikowie?

– Panie! Toż to tak dawno było, że przepaść pu prostu!

– Niwiadomo ód czego zacząć, we łbie sie wszystko już poplątało, lata sie myło.

– Nimasz Pan jakiego innego zajęcia dla moji głowy? Nimasz Pan?

– Panie! Nu coś ja spróbuje Tobie powiedzieć, ale łatwo ni bedzie...

– Wielganoc!? Nidziela Palmowa?

– Panie! To byli ważne święta, ludzie sie żynili, chrzciny wyprawiali, góścili sie, wiosna sie zaczynała, słonko, ciepło, to i ludzi jakoś inaczy na świat oczy zaczynali wyrapiać.

– Chłopy szły w pole – ciągnęło ich, żeby zobaczyć jak tam zboża sie majo po zimie.

– Może wymarzło? Albo wyprzało, jak śnieg długo leżał i ciepło było.

– Ód zmartwień wszelkich, chłop był „specjalista”, jemu ich nigdy ni brakowało.

– A Pan tylko ta „Nidziela Palmowa i Nidziela”.

– Póczekaj Pan! – Niech myśli zgarne do kupy!

– Najpirw to był post!

– Ale chto to teraz wi, co to był post?

– Pan wiesz, co to post? Nu, widze, że tak ni bardzo z tym postem Panu idzie...

– W te nidziele, tydzień przyd Wielganoco, ludzie szli du kościoła, żeby palmy poświęcić.

– Nu, kto tam szed, żeby sie pómodlić to szed, ale z palmo mus było iść i poświęcić.

– Palmy nieśli same baby, abu dzieci, chłopu niść palmy jakoś tak ni pasowało za bardzo, no ni powiem, byli takie co nieśli i nikt tam sie z nich nie śmiał, ale palma, to była sprawa babska i o tem wszystkie wiedzieli.

– Kto te palmy robiół?

– Panie! Te palmy to baby przeważnie same pletły.

– Staraly sie przy tem okropnie. W tych palmach z tamtych czasów, to Panie było wszystko: kwiatki suche, jakieś trawy okropnie kolorowe, kłoski ze zboża, pręciki z wirzby z kotkami. – Nu, Panie! – Wszystkiego przepaść!

– Ale jeszcze te chwostki, co byli za mało kolorowe, to maczyli w soku buraczanem albo z czerwony kapusty, niektóre wsadzali do waru z cybuli, albo z korowiny dyębowy.

– Panie! Istne cuda te baby z temi palmami wyrabiali! Obwiązywały to ładnie kolorowo tasienko, cienkim wiórem, drobno dartym tykiem z lipy albo z wirzby.

– Chwialiły sie! Nie daj Panie Boże! Pódsadzały pód nos, żeby pódziwiać a ciyszyły sie jak dzieci!

– Niektóre baby, te „nówoczesne”, to kupowały palmy na jarmaku, ale żeby najładniejsza była, to liczyła sie tylko ta upleciona rękami własnymi.

– Moja mama i ji mama, znaczy moja babcia Wiktoria Błaziakowa z Woli Idzikowski – Too były „palmiarki”!

– Panie! U nich inne zamawiały i palmy, i pisanki na Wielganoc. Gadała mi moja mama, że w Wielganoc, babcia nie mogła nadażyć z roboto.

– Trzy jajka brała za jedno „opisane”, taka była taksa za te robote „pisankowe”, u Babci Wiktorii.

– Du czego te palmy?

– Nu, jak du czego? Jak chałupa byz palmy miała być? Toż to ni du pomyślenia!

– Ży co? Ży zwyczaj pogański?!

– Gadasz Pan jak jaki póparzony!

– Nu... dopóki na te palme nie spad pókropek z krópidła proboszcza, do ty pory ona była tylko „mietło” z kwiatkami, ale kiedy już dotknęła ji woda słowem poświęcona, tak ona już od ty pory była narzędziem do odganiania wszelkich nieszczęść domowych.

– Panie! Palma była łod wszystkiego!

– Łod pioruna, ale to razem z gromnico.

– Łod choroby, to trza było bolące miejsce potrzeć palmo.

– Kawaler któren chciał pannie powiedzieć, że mu sie podoba, ale był taki wstydzący bardzi. to szed do ni i niby w żartach chłostał dziewczke to

palmo, a łuna już widziała, to co jemu sie rozchodzi i śmiała sie do rozpuku jak ji sie podobolo, ale jak ji sie nie widziot, to wyrapiala na niego ślipia i kazała isc w kibinimater.

– Wszystkie wiedziały dzie palma leży, bu liyżała zawsze za łobrazem święty Tyresy, łowinięta w nakaz pódatku gruntowego, woda świyęcona stała w krydensie koło octu, trza było tylko talyrzyk łokciem przetrzyć i można było już przyd niszczyć-ciem sie ratować.

– Panie! Tu nima żartów, palma w chałupie musowo żeby była!

– Palma, jak już stara była, mole jo napocze-li, abo i ze starości skomaty z ni sie sytać zaczynali, to jo mama brała i paliła w miseczce, a paprochy popielne du słoiczka zsypywała. W Środe Popielcowe było czem grzeszne głowy posypać, a niektóre mówiły, że dobrze jest dziure w bolącym zębzie zatkać tem popiołem, to ząb bolić przestawał – nie wiem czy to prawda, nie próbował zem, ale tak mówiły.

– Ta nidziela z palmami?

– Skąd to sie wzienio?

– A kto to, Panie tera wi skąd?

– Mówio, że to jak Jezus wjechał na ośle do Jerozolimy, to ludzie mu gałązki palmy pód nogi ki-dali i to pono stąd ten obyczaj – a na ośle wjechał bo mówió, że jakby wjechał na koniu, to że to niby miałoby znaczyć wojne, a łon nie chciał wojny.

– Ale to widzisz Pan! Pan Jezus swoje, a ludzie swoje!

– Do ty pory nima na Świecie żadnego ładu i tylko szkoda było Jezusowy Męki.

– Panie! Szkoda gadać, jak te ludzi głupie i podłe so!

– Panie! Jak to nima co narzykać?

– Ży dobre i pobożne bu du kościoła z palmo ido?

– Nu, Panie – ido! Ido du kościoła z palmo i myślo, że to łod tego bedzie Świat lepszy.

– A to Świat ni bedzie lepszy łod tego, że ci pare kropel z palmy na łeb spadnie, ino łod tego, żebyś tego łba zaczon używać wedle Boskich przepisów.

– A palma za obrazem św. Teresy ma ci tylko to tym przypominać!

– Bo strasznie zapominasz!

Andrzej Stanisław Adamczuk

Uwaga! Ortografia dla słów z gwary jaślikowskiej wymyślona na poczekaniu. Krytyka bardzo wskazana.

W swoim archiwum nie mam zdjęcia dotyczącego Niedzieli Palmowej. Tutaj przedstawiam obraz z sieci – Muzeum Wsi Radomskiej – MWR/ SzL 4476 – „Robienie palm”, Antoni Jopkiewicz, Skaryszew,



Andrzej Stanisław Adamczuk

**Wielkanoc w Moim Jaślikowie
w latach 50. – cz. I
Z cyklu: Mój Jaślików**



Wielki Piątek, kończył się Wielki Tydzień. W zamyśle miał być to czas zadumy, postu, modlitwy i rachunków z sumieniem, ale proza tych dni sprowadzała się do gorączki przedświątecznej krzątaniiny, kwiku zarzynanych świń, zapachu wędzonych kielbas i mięs wszelakich, woni amoniaku z pieczonych ciast, zapachów świeżego chleba. Ogromna dzieża z ciastem na chleb koło pieca i głos matki: – Zamykaj drzwi, bo mi ciasto „przeżębisz”! Jakies blachy do pieczenia, maszynki do mięsa, jakies farsze – słowem „święteczny amok”.

– Idź stąd!

– Nie kręć się tutaj, bo jeszcze co zwalisz!

– Krowy wygnaj do pojenia!

– Ciemno się robi!

– Wody przynieś, bo się kończy!

– Drewna do pieca chlebowego trzeba narać!

I tak trzeba było słuchać tego na okrągło od samego rana.

A tak na marginesie dodam, że napalić w piecu chlebowym nie mógł każdy „ochotnik” czy ktoś z rodzinnej „łapanki”. Nie, nie! To nie było takie proste! Bowiem napalenie w piecu chlebowym to była „sztuka tajemna” i trzeba było mieć doświadczenie kilku upieczonych zakalców – po których to chęć nauki nie zgasała na zawsze – żeby samodzielnie podjąć się tego zadania.

Nigdy samodzielnie tego nie robiłem – zawsze robiła to mama. Nie pozwalała się wyręczać, bo ryzyko było zbyt duże, że zrobione to będzie nie tak jak należy i chleb się nie upiecze jak trzeba. Nawet ojciec nie bardzo wtrącał się w te sprawy. W tych dniach kuchennego rejuwachu, bezpieczniej było znaleźć sobie jakieś proste pożyteczne zajęcie, ale z dala od kuchennego zgiełku. Do koleśki pójść nie można było, bo wszędzie sytuacja wyglądała podobnie.

Wreszcie w piątek po południu robiło się ciszej, przyjeżdżał brat i siostra ze „szkół”, czasami goście z Lublina. Trafiły się jakieś prezenty nieoczekiwane. W sobotę przyjeżdżał ksiądz z Krasnegostawu, żeby poświęcić koszyki z jadem wielkanocnym. O wyznaczonej godzinie zbieraliśmy się w remizie albo w szkole czerwonej. W koszyku ze święconką królowały jajka, te obrane i te „opisane”, czyli pisanki, wędliny, chrzan, no i wszystko, co powinno znaleźć się na wielkanocnym stole. Był też taki zwyczaj odkładania jada do oddzielnego koszyka dla ubogich, wkładało się tam głównie wędliny i pisanki. Ksiądz po święceniu wpadał do ciotki Jagatki Majchrowej na zwyczajowy poczęstunek obiedni, no i po obiedzie stary Szorc odwoził wielebnego do Krasnegostawu.

Jeszcze tylko wieści spod „Grobu Pańskiego” – z Łopiennika albo z Krasnegostawu – jak pięknie był udekorowany grób, jak dużo ludzi było i który ze strażaków pełniących honorową wartę zemdlął przy grobie. Ledwie go przytrzymali, bo by grzmotnął się o ławkę kościelną.

Ostatnie porządki w domu i tak w sobotę po południu, już po „święceniu jada”, gorączka krzątania opadała, zmieniano pościel, urządzano gruntowne mycie i kąpanie w balii, można już było

spróbować tego i owego ze świątecznych specjałów. Zaczynały się Święta...

Na zakończenie, wielkanocne życzenia i kartka świąteczna narysowana w roku 1969 przez mojego śp. brata Mariana – znalazłem ją w „papierach” rodzinnych i używam jej czasami jeszcze.

Trudno życzyć, żeby było wesoło w te Święta, skoro za miedzą szaleje ogień wojny okrutnej. Oby zgasł stłumiony woł ludzi rozumnych.

Andrzej Stanisław Adamczuk,
Wielkanoc 2023



Andrzej Stanisław Adamczuk

Wielkanoc w Moim Jaślikowie
w latach 50. – cz. II
Z cyklu: Mój Jaślików



– Andrzej, wstawaj! Piąta już dochodzi! Nie zdązysz!

– Już wstaję! Już! Już! Jeszcze tylko minutkę! – odpowiadałem i wsadzałem łeb w poduszkę.

Te matczyne próby walki z moim snem, rankiem w Niedzielę Wielkanocną, marną miały „szansę na sukces”. Dopiero trochę lodowatej wody na pysk przyspieszało decyzję o wstawaniu – moment i już było po śnie.

Na rezurekcję chodziliśmy do kościoła w Łopienniku, wprawdzie Jaślików należał do parafii w Krasnymstawie, ale do Łopiennika był znacznie bliżej i to był główny powód braku wierności dla macierzystej parafii. Msza rezurekcyjna zaczynała się o szóstej rano, żeby zdążyć dojść na miejsce

i żeby dziewczyny miały czas poprawić „ondulacje”, ewentualnie zmienić buty – trzeba było wychodzić z domu zaraz po piątej.

Piorunem przywdziewało się najlepsze „odzieni niedzielne” wiszące od wczoraj na oparciu krzesła. Musiało być czyste, uprasowane, buty wyglansowane – jeżeli nawet po drodze zdarzyło się zawadzić o błotko, to obok błotka, na liczku buta musiał lśnić glans. Sznyt musiał być trzymający, bo w kościele było zatrzęsienie panien z Olaszanki, Krzywego, o Łopienniku nie wspominając. Strzelały oczkami na wszystkie strony i któreś mogła cię zapamiętać z „brudnego kołnierzyka” albo nadmiernego bogactwa gruntu pod paznokciami – a kobitki z okolicy były piękne, ale jęczorki miały żwawe i rozpuszczone jak „dziadowski bicz”.

W Wielką Sobotę po południu szło „wici” po wsi o której i gdzie się spotykamy. Zwykle spotykaliśmy się koło mleczarni albo na Gościńcu koło ciotki Krysowej. Gościńcem nazywaliśmy szeroką drogę polną prowadzącą do Lasu Łopiennickiego (była to nazwa własna tej drogi – stąd duża litera).

Nasza grupa zwykle liczyła kilkanaście osób – od małałatów z podstawówki po uczniów szkół średnich z Krasnegostawu czy Lublina. Mówię „nasza grupa”, bo były jeszcze inne grupy, które dochodziły do celu nieco innymi trasami – Jaślików to dość długa wieś. Ci ze szkół średnich próbowali wieść prym w grupie – otarli się już o „wielkomiejski” świat i gotowi byli pouczać, zadzierali nosa, „zapominali” gwary jaślikowskiej. Często byli zatem sprowadzani z wyżyn swoich ambicji liderskich w grupie, na właściwe miejsce – bo towarzystwo jęczory miało cięte i nie przepuściło żadnej okazji, żeby dopieć „liderowi” – wszystko w ramach dozwolonej konwersacji.

2 km marszu po Gościńcu i wchodziliśmy do lasu łopiennickiego, by wkrótce dotrzeć do drogi Lublin-Zamość w pobliżu kopca oznaczającego jej połowę. Wzdłuż lasu szliśmy „chodnikiem” betonowym, który Niemcy podobno wybudowali podczas wojny, aby mogła po nim poruszać się kolumna ochrony konwojów wojskowych narażonych na ciągłe nękanie przez miejscową partyzantkę.

Po dojściu do kopca, otwierała się przed nami dolina Łopiennika z kościołem w centralnym miejscu, który witał nas donośnym biciem dzwonów. Dziewczyny zmieniały obuwie, chowając po-

dróżne chodaki w krzakach leśnych, poprawiały uczesanie i urodę w okolicach ust, chłopaki odnawiali glans na butach, trąc „kamaszami” o leśną trawę, a co bardziej zapobiegliwi robili to szmatką, którą wyciągali z tylnej kieszeni spodni.

Schodziliśmy po klinkierowej szosie ze słynnej góry pod Łopiennikiem, będącej utrapieniem kierowców w zimie. Liczne grupki, strumyki ludzkie takie jak nasz, podążały z okolicznych wsi w kierunku kościoła, by w końcu utworzyć jedną rzekę ludzi w alei zmierzającej do wrót osadzonych w gotyckim portalu głównego wejścia do kościoła.

Piękną świątynię w stylu neogotyckim mającą za patrona św. Bartłomieja zaprojektował na początku XX w. architekt Pius Dziekoński. Kościół wybudowano w latach 1909-1912 systemem gospodarczym. Koszt budowy na owe czasy to 53 839 rubli i 92 kopiejki, z czego parafianie wyłożyli 41 448 rubli, pozostałą część pozyskano od fundatorów.

Ogromne wnętrze świątyni tchnęło jeszcze porannym chłodem, ale już wypełniał je zapach palących się świec woskowych i kadzidła. Szmer ludzkiej obecności, pokaszliwania, stukot butów o kamienną posadzkę, głosy dzieci niosły się po ogromnej nawie świątyni i odbijały przytłumionym echem. Ludzie wymieniali dyskretne gesty powitania i świątecznej życzliwości. Kobiety wedle zwyczaju zajmowały prawą stronę nawy, po lewej stronie gromadzili się panowie, młodzież pod balkonem chóru i na chórze, małałaty w pobliżu prezbiterium, które w tamtych czasach było oddzielone od pozostałej części nawy głównej solidną balustradą.

Uroczysta msza, potem procesja w chłodnym poranku przy wtórze bicia dzwonów, szczodre błogosławieństwo z ust kapłana mającego przed sobą morze kornie pochylonych głów. Znak krzyża na piersiach kończył uroczystość i podkreślał satysfakcję z rzetelnie wypełnionego obowiązku wynikającego z przynależności do wspólnoty wiernych. Można było wracać do domu na świąteczne śniadanie, a właściwie „wielkie świąteczne obżarstwo”.

Wielkanoc to była też dobra okazja, żeby się ożenić – to Ci, co z ufnością patrzyli w przyszłość, albo ochrzcić – to Ci, co nie mieli za dużo do gadania w tej kwestii. W każdym razie i jedna, i druga okazja była dobra, żeby Święta uczynić jeszcze bardziej atrakcyjnymi. Mój chrzest np. od-

był się na Wielkanoc 1949 – niewiele mogę z tego pamiętać, ale już ze ślubu mojego brata Wacka – na Wielkanoc 1961, to pamiętam sporo! Kiedy formował się orszak wozów konnych jadących do ślubu w Krasnymstawie, ja stałem na wozie tuż przed tylną załogą, konie nagle szarpnęły, a ja zleciałem na łeb z furmanki, w ogromną błotną breję – prosto pod końskie kopyta następnej furmanki.

Konie jednak, to są mądre stworzenia i żaden mnie nie nadepnął, ale widziałem, że uśmieły się – jak to „koń tylko potrafi się uśmieć”. Kolumna wozów zatrzymała się, ja wyszedłem z brei błotnej, no i na tym część oficjalna uroczystości ślubnych dla mnie się skończyła. Pytali mnie czasami ludzie:

– A dlaczego nie ma ciebie na zdjęciu ze ślubu brata?

– Ano właśnie dlatego!

Poniedziałek Wielkanocny rozpoczynał się od psot śmigusowych, ale tak z umiarem, bowiem w Jaślikowie główne „uroczystości” oblewania wodą odbywały się w pierwszą niedzielę po Wielkanocy czyli w Niedzielę Przewodnią. Dlaczego tak było? Nie dociekałem, ale podobno w niektórych rejonach Polski tak właśnie z tym polewaniem było. A jak jest dzisiaj? No właśnie.

Na ten dzień czekaliśmy z utęsknieniem wszyscy, szykując wszelkie, często wymyślne sprzęty do wodnej „agresji”. W szaleństwie oblewania się wodą bez żadnego umiaru, brała udział cała wieś, łącznie ze strażakami, którzy wyjeżdżali spod remizy jak na manewry, z beczkowozem, odciwkami węża strażackiego zakończonego prądownicą i gibaną pompą. Centrum wydarzeń zwykle było na placu przed mleczarnią, było tam dużo miejsca i niewyczerpany zapas wody w Stoku.

Panny, mężatki i wszystkie pozostałe, które nosiły kiecki, w tym dniu nie mogły liczyć na żadne dobre maniere „chłopskiego rokосу”, a wszelkie protesty, prośby o umiarkowanie i rozsądek, sensu żadnego nie miały, bo wszelkie ogniska protestów gaszone były obficie i natychmiast. Toteż „spódnice”, nie mogąc liczyć na żadne sojusze, odgryzały się podstępnie pomyjami z szaflika albo wiadrem lodowatej wody ze studni. Trzeba też było uważać, żeby nie dostać się

w strefę wpływów babskich, bo jeńców w tej bitwie nikt nie brał i żaden pardon możliwym nie był. A mścić się i pastwić nad nieostrożnymi, babskie oddziały umiały! Oj, umiały!

Koło południa zapal bitewny słabł, suchych ubrań brakowało tu i ówdzie dochodziło do układow – zawieszano broń, ale rozglądać się bacznie wokół siebie trzeba było do końca dnia, bo a nuż przyjdzie komuś ochota na wyrównanie rachunków z porannej bitwy.

Jeszcze jeden zwyczaj z tamtego czasu wart jest przypomnienia, mianowicie: popołudniowy spacer do lasu na tzw. „meus”, kiedy to zbieraliśmy się wszyscy w lesie niemienickim, w okolicie Wodnego Dołu. Było tam małe leśne jezioro zwane Stoczkiem i tam nad tym Stoczkiem rozkładaliśmy dziwaczne obozowisko. Dziwaczne, bo wszyscy odświętnie ubrani pod krawatami i w białych koszulach – słowem towarzystwo poubierane tak mało biwakowo.

Las mógł się nieco dziwić, po co tu wszyscy przyszli? Bo na co dzień oglądał leśnych robotników, którzy zgoła nie przypominali tego towarzystwa. A oni wszyscy przyszli ot tak sobie, bez wyraźnego powodu – żeby się spotkać, pogadać, poflirtować, pobyc trochę ze sobą, bo tak robili jaślikowiaczy 10, 15, 50 lat temu, a może i dawniej i to był powód wystarczający.

Andrzej Stanisław Adamczuk



To stare zdjęcie z 1965 r. zostało zrobione na takim meusie w lesie niemienickim nad bajorkiem zwanym Stoczkiem. Aktorzy na zdjęciu: z lewej moja siostra cioteczna Helenka, z prawej Teresa Ciechańska i ten „jeden” to Bolko Korczyński – wszyscy z Jaślikowa.

Marian Rybczyński

Dęblińskie przypadki



Trudne loty

Poniedziałek powitał nas piękną pogodą i miałem nadzieję wykończyć cały przydział samodzielnych kręgów. W pierwszych wszystko poszło tak jak trzeba, ale w ostatnich czterech poczułem się już na tyle pewnie, że zacząłem kombinować. Ciągle miałem w podświadomości uwagi instruktora na temat nisko uniesionego przedniego kółka i to spowodowało, że zacząłem wysoko wyrównywać. Samolot spadał z wysokości około 1,5 m na beton, aż się skrzydła wyginały, ja kłamię w żywy kamień, a kierownik lotów dostawał zawału. Na dodatek w ostatnim kręgu doszło do zablokowania koła, co oczywiście nie było moją winą, ale po lądowaniu strzeliła opona, samolotem mocno szarpnęło, tak że ledwo utrzymałem się na pasie. Skończyłem dobieg, ciągnąc za sobą solidną kitę dymu. Na „budzie” kierownika lotów zrobiła się mała panika, bo z początku wyglądało jakby się samolot palił. Zatrzymałem samolot na pasie i za chwilę zajechała straż. Mnie wyciągnęli z kabiny, a sami wzięli się za polewanie podwozia wodą. Po lotach dostałem solidny paternoster od góry do dołu. Oczywiście kapitan W., zastępca dowódcy eskadry nie uwierzył w moje tłumaczenia, że przed lądowaniem nie nacisnąłem hamulca i już się zabierał do „przyrżnięcia” mi za niedyscyplinowanie w powietrzu, ale uratowało mnie wejście inżyniera pułku z wiadomością, że uległ uszkodzeniu jakiś zawór, który spowodował zablokowanie tego niefortunnego koła.

– Gratuluję podchorążemu refleksu. To miało prawo skończyć się wyleceniem z pasa – zakończył.

Odetchnąłem z ulgą. Dla wszystkich sprawa była oczywista, ale nie dla „Winia”.

– Nie zaszkodzi wam, Rybczyński, jak napiszecie 100 razy rozłożenie uwagi przy lądowaniu. To był właśnie styl dowództwa tej eskadry. Karać, karać i jeszcze raz karać, a nagrodą był brak kary. Dobrze, że nie dorżnął mi nic regulaminowego, bo moje 5 dni urlopu, które dostałem za występ w klubie poszłoby

się paść na nadbużańskiej łące. Byłem tym wszystkim mocno przybity. Nie robiłby na mnie wrażenia problem z dyscypliną, bo to miałem zawsze, ale być opieprzanym za latanie! Tego jeszcze nie było. Nie podobał mi się samolot, nie podobał mi się pułk... nic mi się nie podobało. Na szczęście instruktorzy w kluczu byli fajni i to był jedyny pozytyw, jak na razie. Ponieważ, mimo, że na zewnątrz trochę kracze, w duchu jestem wielkim optymistą, stwierdziłem, że w myśl starej zasady „jak się nie popieprzy, to się nie polepszy”, więc miałem nadzieję, że któregoś dnia wszystko się wyprostuje.

Po kilku dniach pogody w kratkę – co się dzieje z tą aurą, jak tak dalej pójdzie to nawet połowy programu nie skończymy – wyskoczyło parę pięknych słonecznych dni. Dostałem dwa kontrolne kręgi po tych moich poprzednich wyczynach i nagle jakby jakaś klapka wskoczyła na swoje miejsce. Wszystko mi wychodzi. wyrównanie, przyziemienie, prawidłowo uniesione przednie kółko – dosłownie wszystko. Latam z nawigatorem eskadry, kapitanem „Kokocha”, jednym z pilotów akrobacyjnego „rombika”. Marian, tegoż samego imienia, co i ja, ma cięty język i takież dowcip.

– I popatrz, Ryba – instruuje mnie z drugiej kabiny, pokazując skupisko domów z naszej prawej strony. – Tu najlepiej jest zacząć czwarty zakręt, kiedy wiatr, tak jak dzisiaj, jest po pasie. I radzę ci utrzymywać prędkość w zakręcie, nie mniej niż 320 km/h, bo jeśli ci spadnie i usłyszysz świst w drugiej kabinie, to wiedz, że mnie już tam nie ma i tobie radzę robić szybko to samo, bo inaczej spadniesz z samolotem na tory i kolejarzom gnoju narobisz.

Skwapliwie stosuję się do tej uwagi i bacznie uważam, żeby kolejarzom tego gnoju nie narobić.

– Co ten „Wieniawa” od ciebie chce? – mruczy pod nosem „Kokocha”, kiedy idziemy do baru zwanego domkiem pilota (gdzie tej infrastruktury tutaj do lotniska na Glinniku!).

Nie odnoszę się do tej jego wypowiedzi, ale mile brzmią w moich uszach słowa mistrza „Kokochy”. Kończę moje samodzielne kręgi już bez żadnych wyczynów. Kolejnym elementem, który trzeba opanować, to lot po trasie i lot w składzie pary. Lim dużo lepiej zachowuje się w locie szykiem z racji większych oporów czołowych i lepszych hamulców

aerodynamicznych. W momencie zdjęcia obrotów, zdecydowanie szybciej zwalnia, a i przyspieszenie ma o wiele lepsze. Na loty w składzie pary latam często z „Kokochą” w drugiej kabinie. Kto jak kto, ale od latania szykiem to trudno znaleźć lepszego fachowca. Zdradza mi przy okazji parę sztuczek, które opanował podczas swojej, już dość długiej kariery „rombikowca”.

– „Iskra” tak nie chodziła za ręką jak „Lim”
– mówię do niego kiedy po kolejnym locie idziemy do baru zwanego domkiem pilota.

– Ty mi nawet nie wspominaj o tej aerodynamie z wk...jaco piszcącym silnikiem – macha w odpowiedzi lekceważąco ręką. Przy okazji dowiaduję się, że poprzedni dowódca eskadry wystawił mi bardzo dobrą opinię jako pilotowi.

– Powiedział tylko, że pod względem wojskowym jesteś wielki „nicpotem”, ale przynajmniej masz praktykę, bo nasze wodzostwo też nie od macochy.

– Zauważyłem – bąkam pod nosem.

– Nie przejmuj się... też z nim koty darłem jak latałem w Tomaszowie – kończy pan Marian.

W międzyczasie robimy też strefy na prosty pilotaż. 28 maja w katastrofie w Tomaszowie ginie wraz z podchorążym, mój dowódca klucza z czasów latania na „Iskrze”. Podczas symulacji manewru z niepracującym silnikiem samolot w zakręcie na prostą do lądowania, na wysokości około 150 m, zwała się w korkociąg. Załoga się nie katalpuje, a na wyprowadzenie z korkociągu na takiej wysokości nie ma najmniejszej szansy. Uderzają w las kilkaset metrów przed pasem. Komisja badania wypadków lotniczych po kilku miesiącach orzekła, że przyczyną była zbyt mała prędkość w zakręcie na kurs lądowania. Jednocześnie po przeanalizowaniu całego manewru stwierdzono, że zalecana przez instrukcję eksploatacji prędkość jest za mała i wystarczy minimalny błąd, aby przeciągnąć samolot. Lecę na swoją pierwszą samodzielną trasę z „Winiem” jako pilotem bezpieczeństwa. Jak wcześniej wspominałem pilotem bezpieczeństwa lecącym z tyłu drugim samolotem, jest instruktor. Wszystko po to, aby podchorąży nie wyciął gdzieś w Polskę, w przypadku, gdyby mu się coś w głowie poprzestawiało. Były takie przypadki. Ponieważ wiem, że będzie się czepiał wszystkich możliwych rzeczy, przygotowuję się wyjątkowo starannie. Leci-

my po trasie Piszczac, Ostrów Lubelski, Rejowiec, Biała Podlaska. Piszczac to mała miejscowość ok 10 km na wschód od lotniska, a start w dniu dzisiejszym jest z kursem 244, więc aby przelecieć nad Piszczaczem już z kursem pierwszego odcinka, opracowuję odpowiedni manewr i robię stosowne obliczenia. Prędkość samolotu wynosi 600 km/h, więc i promień zakrętu nawet z przechyleniem 45 stopni wynosi kilka kilometrów. Po starcie należy się wznosić po kręgu, czyli z kursem 60 stopni, a następnie w odpowiednim momencie zrobić zakręt o 180 stopni, ponieważ kurs pierwszego odcinka wynosi 245 stopni. Do rozpoczęcia manewru wybieram charakterystyczny mały las na płn.-zach. od miejscowości, który – jak wskazują obliczenia – pozwoli mi przelecieć nad Piszczaczem z kursem 245 stopni. Wiatru nie biorę pod uwagę, bo będę widział ziemię i w razie czego będę mógł skorygować ewentualne błędy. Po starcie wznoszę się po kręgu i pilnie wypatruję lasku i za chwilę go widzę – jest trochę z lewej strony, więc robię lekką poprawkę. Ponieważ jest to dokładnie w odwrotną stronę niż leży Piszczac, „Winio” pyta mnie przez radio, czy coś mi się nie pokręciło.

– 382, wiem co robię – odpowiadam krótko.

Lasek pod nosem, prędkość 600 km/h... jazda... rozpoczynam zakręt, starając utrzymywać nakazane przechylenie. Jesteśmy ciągle na wznoszeniu i maska zasłania mi dużą połąć ziemi, ale po wykonaniu zakrętu o 90 stopni, widzę kątem oka zbliżającą się miejscowość. Lekko zwiększam przechylenie, widocznie trochę więcej z płn.-zach., a i wysokość robi też swoje. Mamy już nakazane 3800 m i prędkość względem ziemi jest na pewno około 650 km/h. Kończę zakręt dokładnie nad Piszczaczem, kurs 245 stopni z wyliczoną poprawką na wiatr i wioooo... do Ostrowa. Włączam stoper i zgłaszam wyjściowy punkt trasy do radaru. Ten kwituje krótko, że obserwuje, a mój nadzorujący nie odzywa się ani słowem. Na horyzoncie widać ciemne chmury, które gęstnieją w miarę zbliżania się do Ostrowa. Mam pewne wątpliwości, co robić dalej i już mam to zgłosić, kiedy odzywa się radar i każe nam zawrócić do „Wiosła”, bo taki był wojskowy kryptonim lotniska w Białej Podlaskiej. „Winio” wychodzi do przodu, ja dołączam do niego z prawej, robimy zakręt o 180 stopni i po kilkunastu minutach lądujemy w strugach ulewnego deszczu.

Szara codzienność

Znowu parę dni przerwy ze względu na pogodę. Wykorzystuję to na pisanie pracy. Jakie tam pisanie... cały czas liczę te cholerne średnie, a chmury *stratus* i wilgotność względna zaczynają śnić mi się po nocach. „Kangur” z „Telem” zaczynają kombinować jak by tu nie nauczyć się latać na lim-ie. Mają swoje plany w cywilu, a to jest jedyna metoda, aby urwać się bezboleśnie z wojska. Jest jeszcze metoda „na doktora”, ale to sprawa wysoce ryzykowna, jeśli wiąże się swoją przyszłość z lotnictwem cywilnym. W zasadzie jedyną instytucją upoważnioną do wydawania certyfikatu medycznego uprawniającego do latania zawodowego jest WIML – Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej. Jeśli delikwent, będąc w WOSL straci wymagania grupę zdrowia, to nie ma takiej możliwości, aby potem, w tej samej instytucji ją odzyskał. „Nie chciałeś latać w wojsku, nie będziesz latał nigdzie”, mówię oczywiście o lataniu zawodowym. Tak wtedy działał ten system i taka była niepisana zasada. Wielu się na tym sparzyło.

– Ja uważam, że trzeba uczciwie z instruktorami pogadać, o co wam chodzi. Tak zrobił na przykład w Tomaszowie Rysiek Gondek – dają im przykład.

– Z tego, co wiem, to Tadek Broda też za cholerę nie mógł się nauczyć lądować – dodają.

Korzystając z barowej pogody, siedzimy na piwie w „Agatce” i roztrząsamy różne życiowe kwestie.

– Właśnie chciałem dołączyć do „TB”. Zapałał się na latanie w Krośnie i już robi warunki do licencji zawodowej – mówi „Telu”. – Na odrzutowcu polatałem, a niestety, armia i życie oficera, to nie jest coś, co by było moim ulubionym zajęciem – dodaje.

Kangur też mu wtóruje: – Cóż, ja już decyzję podjąłem i mam wkalkulowaną armię w moje latanie, więc mogę tylko słuchać, co mówią tamci.

– Ja tak mam zamiar zrobić – mówi „Telu”.

„Kangur” się waha.

– Mam trochę na pieńku z instruktorem i obawiam się, że facet może mi zrobić koło pióra – twierdzi.

Robię oczy jak pięciozłotówki...

– Z instruktorem na pieńku? To coś ty wywnął, że masz nie po drodze z instruktorem? – pytam zdziwiony.

Rzadko się zdarzało, żeby ktoś miał napięte stosunki z instruktorem. Instruktor to była instytucja, którą każdy traktował z najwyższą atencją. Do instruktora miało się zaufanie, instruktor był najwyższym autorytetem, za instruktorem poszłoby się w ogień.

– Po prostu ściałem się z nim i jak mnie zaczął strugać, nie wytrzymałem i powiedziałem mu, co o nim myślę. Poniosło mnie i niestety, mleko się wylało – kończy z rezygnacją.

– No tak. Znając ciebie, to chyba musiało pójść na noże – podsumowuję jego wywód.

– Słuchaj. – „Telu” ma pomysł. – A może ja bym pogadał ze swoim... on jest bardzo równy. Może coś powie bliżej na jego temat albo poproszę go, żeby z nim pogadał, co na ten temat sądzi.

Rozwiązanie wydaje się całkiem rozsądne. Wracamy późnym wieczorem do koszar, a tam z kwaśną miną wita mnie Rysiek Wilczek i oznajmia hiobową wieść, że jutro mamy iść do „Winia” do raportu.

– A to czemu? – pytam zdziwiony. – Nie przypominam sobie, żeby coś ostatnio znaczącego wywnął.

– Ano była komisja po „kurzach” (tak nazywaliśmy tzw. sprawdzanie porządków ogólnowojskowych) i grzebali po szafkach. Niestety, u ciebie znaleźli Regulamin Wykonywania Lotów, a u mnie jakieś zapiski, które powinny być „tajne przez poufne” i nie powinny się w szafce znajdować, tylko w sejfie. Tak, że nie będziesz czuł się samotny podczas tej ceremonii – dodaje na zakończenie.

Następnego dnia stawiamy się u raportu i dostajemy po naganie. Nad naganą przechodzę do porządku dziennego, ale nie mogę przejść do straconych pięciu dni urlopu. Trudno.

Jest już czerwiec, a pogoda dalej nas nie rozpieszcza. Nie przypominam sobie takiego roku, żeby o tej porze lało codziennie. Siedzimy całymi dniami w „Zarządzie Budowy Jaskiń” i zbijamy baki. Wiadomo, jak się wojsko nudzi, to ma głupie pomysły. Dzisiaj ktoś przyprowadził na salę wykładową rower składak. Od słowa do słowa wy-

szło na to, że będziemy robić zawody, kto najwolniej przejedzie po ósemce między krzesłami. Każde dotknięcie podłogi lub otaczających sprzętów było karane dyskwalifikacją, a zwycięzca, jako nagrodę, miał dostać kwotę ze zrzutki, którą szybko zrobiliśmy między sobą. Wojtek Władyka ogłosił, że będzie sędzią, żeby wszystko było po sportowemu i się zaczęło. Jeden po drugim, przy głośnym wrzasku pozostałych, siadaliśmy na rower i przejeżdżaliśmy ustaloną trasę. Im lepsze wyniki padały, tym wrzask był coraz głośniejszy. Przyszła moja kolej. Byłem już w połowie trasy i zanosilo się na dobry wynik, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich nawigator pułku, ppłk G. Towarzystwo umilkło jak nożem uciął, a ja z głupią miną zszedłem z roweru. Pan G. zgromił mnie wzrokiem i z groźną miną zapytał:

– Co ty, Rybczyński tu odstawiasz?

– Mielśmy właśnie przerwę na drugie śniadanie i właśnie... eee... trenujemy zejście po systemie w trudnych warunkach – szybko odpowiedziałem z głupią miną.

– Po systemie mówisz. To w takim razie na jutro przyniesiesz mi profil systemu w wariantach, kiedy opadanie w pierwszej fazie podejścia jest mniejsze o 5, 10, 15 m/s i większe o te same wartości. Ma to być wyrysowane i wyliczone. A teraz siadać i przestać wrzeszczeć jak pawiany, bo inaczej pogadamy po mojemu... – rzucił ostrzegawczo na odchodne.

Cóż. Znowu na mnie trafiło. Ponieważ nie było nic innego do roboty, wyciągnąłem suwak SN-3 i zabrałem się do obliczeń. Zapala nie wystarczyło mi na długo, mieliśmy inne, ciekawe tematy do omówienia i kto by tam się przejmował jakimiś tam wariantami opadania, tym bardziej, że za chwilę przyszli instruktorzy i oznajmili, że będzie powtórzenie przygotowania do lotów w dniu jutrzejszym, jako że istnieje duża szansa na poprawę pogody. Widok za oknem akurat tego nie zapowiadał, ale cóż, meteorologia wie swoje.

– Może mi się jutro upiecze z tym systemem, a potem będę gościa unikał i jest szansa, że zapomni. Postanowiłem jednak dla samego siebie dokończyć obliczenia, bo temat był ciekawy i mógł się przydać w późniejszym czasie, kiedy zaczniemy latać w trudnych warunkach – pomyślałem.

Nad rodzinnym domem

Następny dzień faktycznie przyniósł piękną, bezchmurną pogodę i z ochotą wstawaliśmy, kiedy nas obudzono o 4 rano, bo przymusowa bezczynność mocno nam już doskwierała. Każdy chciał się wreszcie oderwać od ziemi. Do tego nikogo nie trzeba było namawiać. Miałem zaplanowane dwie samodzielne trasy i strefę z instruktorem na średni pilotaż. Pierwsza trasa była lustrzanym odbiciem poprzedniej, niedokończona, tyle, że najpierw leciałem na Rejowiec, a potem Ostrów Lubelski i do domu. Pilnować miał „Dziadek”. Po odprawie przedlotowej podszedłem do instruktora.

– Panie poruczniku – zagadałem – może z Rejowca skręcilibyśmy nad mój dom... to tylko 7 km. Wystarczy przeciągnąć trochę zakręt i zahaczylibyśmy o moją chatę.

– A gdzie jest twój dom? Pokaż dokładnie na mapie – zainteresował się „Dziadek”. Wskazałem końcem ołówka, żeby było dokładnie, lokalizację.

– O, to niedaleko miejscowości skąd pochodził ppłk B. On tam czasem zaglądał i ja też byłem z nim parę razy. Tylko jeden warunek... wtedy, kiedy nas radar nie będzie widział. W tamtym rejonie to się zdarza. Rozumiemy się? – dodał na zakończenie, podnosząc ostrzegawczo palec w górę.

Pewnie, że się rozumieliśmy. Było to oczywiście zabronione, między innymi z tego powodu, że było to naruszenie dyscypliny, ale również dlatego, że, niestety było dużo katastrof podczas takich wizyt nad własnym domem. Sam znam parę przypadków, niech pierwszy rzuci kamieniem ten, który chociaż raz w życiu gdzieś tam nie przychulił. Co mi się podobało w Białej, jeśli chodzi o latanie, to latało się naprawdę ostro. Na tamtym etapie jeszcze tego nie czuliśmy, bo byliśmy za mało doświadczonymi kaczorami, ale w lotach z instruktorem od czasu do czasu robiło się rzeczy, których nie przewidywał żaden program. Prym wiedli oczywiście członkowie „Rombika”, ale doskonałych akrobatów tam nie brakowało, na czele z dowódcą pułku ppłk T., który występując na pokazach, robił na „Limie” odwróconą pętlę. Nie spotkałem nikogo więcej, kto potrafił tego dokonać. Albo prowadzący „Rombik”, ppłk K... Jak ten facet potrafił prowadzić

w zespole! Robił pełną akrobację w pionie bez dotykania dźwigni obrotów. Dużo łatwiej było utrzymać się w szyku przy takim prowadzeniu. Z drugiej strony nie miał dla podchorążych taryfy ulgowej. W strefie po prostu płynnie robił swoje, a kaczor miał się za nim utrzymać. Jeśli tego nie zrobił, to po prostu wracał sam na lotnisko, bo pan pułkownik nie miał w zwyczaju na kogoś czekać, aż ten w końcu do niego dołączy. Na ziemi dostawał oczywiście porządną opieprz, ale nie przypominam sobie, żeby kogoś za to ukarał.

Zajmujemy miejsca w samolotach. Ja startuję pierwszy, „Dziadek” za mną, nie możemy jeszcze startować parą, na to przyjdzie czas na dalszym etapie szkolenia. Chwilę potem instruktor zajmuje pozycję z tyłu z mojej prawej strony. Manewr wyjścia na Piszczac mam już odtrenowany i za chwilę lecimy w kierunku Rejowca, utrzymując nakazaną wysokość 3000 m. Widzialność dzisiaj, jak to się mówi, milion na milion. W nocy przeszedł front chłodny i powietrze jest kryształowo czyste. Aż się wierzyć nie chce, że wczoraj wrony prawie, że chodziły na piechotę (to z kolei lotnicze określenie złej pogody). Z prawej widać Wisłę i za chwilę mijamy trawers Lublina, który wydaje się być na wyciągnięcie ręki, a przecież dzieli nas odległość około 50 km. Już widzę przed sobą Rejowiec, nieco z boku **Krasnystaw** i jadąc wzrokiem po szosie odnajduję **Siennicę Różaną**.

– Jak 386 po trasie? – pyta instruktor operatora radaru.

– 386 po trasie prawidłowo – pada za chwilę odpowiedź.

Por. Palak podlatuje z prawej strony i bezradnie rozkłada ręce. Niestety radar nas widzi i z wycieczki dzisiaj nic nie będzie. Nad Rejowcem z żalem rozpoczynam zakręt w kierunku Ostrowa i nagle odzywa się operator radaru:

– 386, zanikłeś nad punktem zwrotnym, śledź po kursie i czasie, obserwuj przestrzeń – pada standardowa w takich warunkach formułka.

Operator jeszcze nie skończył swojej recytacji, kiedy samolot instruktora wyskoczył z boku do góry, gwałtownie pokiwał skrzydłami i dał nura do dołu. Szybko dołączyłem do niego, zachowując zgodnie z zasadami lekkie przewyższenie, bo pędziliśmy około 50 m nad ziemią. Pod nami przeleciał Krasnystaw i za chwilę zamigotały mi pod nami

stawy. Oczekiwałem, kiedy zobaczę dom, kiedy padło pytanie:

– Dobrze przeszliśmy?

– Chyba trochę z boku – odpowiedziałem niepewnie i w tym momencie zorientowałem się, że stawy, które wziąłem za te znajdujące się przed wsią, były tymi, które znajdowały się za nią... Szybko to było...

– To wyjdź do przodu i namierz dobrze.

– Zakomenderował „Dziadek”. Byliśmy w połowie zakrętu z lekkim naborem wysokości. Samolot instruktora został lekko z tyłu, a ja usiłowałem zlokalizować szosę z Chelma, która biegła przez moją wioseczkę.

– Po szosie najłatwiej trafię – wykoncypowałem.

W porządku, szosa jest. Powiodłem wzrokiem do przodu i zobaczyłem cel naszej wycieczki, był około 10 km przed nami...

– Masz za dużą wysokość – odezwał się instruktor z tyłu.

Powoli, ostrożnie zjeżdżałem do dołu. Nigdy jeszcze sam tak nisko odrzutowcem nie latałem. Zatrzymałem na jakichś 50 m. Przemaszerowaliśmy dokładnie nad Barem Uniwersalnym kat IV o wdzięcznej nazwie „Świtezianka” tuż obok mojego domu rodzinnego, zaraz potem szybko wznosząc się do góry. Miałem pewien problem z przyjęciem z tej pozycji kursu na Ostrów Lub., bo tego wariantu w swoich obliczeniach nawigacyjnych nie przewidziałem, ale na szczęście pomógł mi w tym pan instruktor. Po kilkunastu minutach lądowaliśmy w Białej. Drugą trasę zrobiłem oczywiście już bez żadnych „wycieczek”. Strefa na średni pilotaż również przeszła bez problemów. SB „Lim 2”, podobnie jak i wersja pojedyncza ma dość dużą moc, dlatego strefę można kręcić z małymi przeciążeniami. To nie „Iskra”, która nie grzeszyła mocą.

Echa lotu

W sobotę wybrałem się do domu i wieczorem zajrzałem do Baru Uniwersalnego kat IV, żeby zobaczyć, czy nie ma jakichś moich kolegów. Nie piszę znajomych, bo znajomi to tam byli wszyscy. Już z odległości parudziesięciu metrów można było usłyszeć charakterystyczny szum zgoła przy-

pominający dźwięk wydobywający się z ula. Nie pszczołki tam jednak pracowały, a miejscowe społeczeństwo, przeważnie płci męskiej, świętowało koniec pracowitego tygodnia. Z trudem dopchałem się do baru i po parunastu minutach, przekrzykując konkurencję, stałem się właścicielem kufła złocistego napoju, który pospółstwo zwykle piwem nazywa. Z kufelkiem w ręku znalazłem w miarę luźne miejsce stojące, o siedzącym to nawet nie było co marzyć i rozejrzałem się po sali. Co prawda, nie było nikogo z moich kolegów, ale za to zauważyłem wioskującego w moją stronę sąsiada. Stał przed mną i przekrzykując ogólny harmider, wykrzyczał mi do ucha:

– To ty żeś był na tym samolocie w środę, co chciał dachy puzrywać zy stodół?

– Ja – odpowiedziałem, trącając się z nim kufelkiem. – Przecież mówiłem już kiedyś, że jak się nad Siennicą pojawię, to będzie słyhać.

– Ty chulero – w głosie sąsiada ciężko się było doszukać chociaż cienia entuzjazmu – koń mie się spłochał tak, że musiał go pół dnia szukać! A Zdzychu Dynks to dwa razy z drabiny zleciał. Raz jak żeście pierwszy raz przeszli zara nad jego głowo i potem kiedy się już z piachu utrząpał i zaczon włazić znowu, to wy wtedy drugi raz dukładnie tak samo nad jego głowo.

– Stało mu się coś? – zaniepokoiłem się.

– E tam, nic mu sie ni stało tylko trochy potem ruztrzynsiony był. Jak z wiczora kiylicha napić się chciał, to mu rence trochy latali... i to wszystkim.

Sąsiad oczywiście gromkim głosem zaanonsował, że sprawca tego całego hałasu w środę „to Józika syn” i wskazał na mnie. I tak zaczęło się bratanie wojska z ludem, a po powrocie usłyszałem trochę cierpkich słów od swojej rodzicielki. Ojciec dyskretnie milczał.

– A twój ojciec z tej okazji to już od środy codziennie wracał do domu w stanie trochę gorszym niż ty dzisiaj. Dobrze, że to tylko parę kroków od tej cholernej „Świtezianki” – zakończyła matka z wyrzutem. Bar Uniwersalny był solą w oku damskiej połowy społeczeństwa nie od dziś.

Ja z kolei podziwiałem „Dziadka” jak on na podstawie bardzo ogólnego opisu potrafił znaleźć mój dom. Wydarzenie to było przez pewien czas komentowane przez lokalną społeczność, a ja na

to konto musiałem jeszcze długo po tym fakcie niejeden kufel piwa wypić i nawet Zdzychu, który dwa razy spadał z drabiny z niejaką dumą, jako naoczny świadek, opowiadał w szczegółach „jak mu te chulerne udrzutowce na głowo przylycieli”. Sprawa na szczęście się nie wydała, takie to były czasy. Kiedyś instruktorzy na „szparce” (SB „Lim-2”) wracając z oblotu pogody, dali taki koncert nad jakąś wsią, gdzie był właśnie odpust, że właściciele prawie stragany zaczęli składać.

kpt. Marian Rybczyński

Marta Kafarska

Papież Jan Paweł II – pisarz i poeta



Chciałabym przybliżyć, a może raczej przypomnieć Drogim Czytelnikom „Nestora” książkę pt. „Dar i Tajemnica” autorstwa papieża Jana Pawła II, obecnie świętego. Jest to książka autobiograficzna opracowana z okazji pięćdziesiątej rocznicy święceń kapłańskich. W książce zawarte są słowa jasne i proste a jakże bogate w treść i sens. Nasz papież zawsze mówił i pisał językiem zrozumiałym, który docierał do ludzi. Pisał świetnie, mądrze, każda wypowiedź była wyważona. Mój opis treści książki nie jest w stanie oddać tego, co mówią i znaczą autentyczne, rzeczywiste słowa śp. papieża, które mnie zainspirowały, ale postaram się przynajmniej w części oddać ich nastrój. W te słowa należy się po prostu wczuć.

Karol Woźtyła już jako papież – głowa Kościoła katolickiego wspomina, że historia jego powołania kapłańskiego najlepiej znana jest samemu Panu Bogu, bo tak w ogóle istota wszystkich powołań jest zawsze nieodgadnionym sekretem Najwyższego. To niezmierzony dar, zawsze przerastający każdego człowieka. Nie ma takiego, który nie doświadczałby i nie uświadamiał sobie w swoim życiu tej niecodziennej łaski, mimo wszystko pozostającej na zawsze tajemnicą Bożego wyboru: *Nie wyście Mnie wybrali, ale ja was wybrałem i prze-*

znaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili i by owoc wasz trwał. I nikt sam sobie nie bierze tej godności, lecz tylko ten, kto jest powołany przez Boga.

Jan Paweł II na kartach swojej książki przywołuje symboliczne wydarzenie, które już wtedy mogło wskazywać mu właściwy kierunek życiowej drogi. Najbardziej wymowne będzie jego oryginalne wspomnienie:

Kiedy byłem w gimnazjum Księżę Adam Stefan Sapiecha, Arcybiskup Metropolita Krakowski wizytował naszą parafię w Wadowicach. Mój katecheta, ks. Edward Zacher zlecił mi zadanie – przywitanie Księcia Metropolity. Miałem więc po raz pierwszy w życiu sposobność, ażeby stanąć przed tym człowiekiem, którego wszyscy otaczali wielką czcią. Wiem też, że po moim przemówieniu Arcybiskup zapytał katechetę, na jaki kierunek studiów wybieram się po maturze. Ks. Zacher odpowiedział „idzie na polonistykę”, na co Arcybiskup miał powiedzieć „szkoda, że nie na teologię”.

Był to czas, gdy powołanie kapłańskie Karola Wojtyły jeszcze nie doszło do głosu, chociaż niektórzy już zdawali się w nim dostrzegać przyszłego księdza. Osobowość Karola jednak nieprzerwanie doświadczały kolejne zrzędzenia losu i znaki, wśród których przyszło mu dojrzewać w sierocych warunkach, co zawarł w przejmującym osobistym wyznaniu:

Matkę straciłem jeszcze przed Pierwszą Komunią Św. w wieku 9 lat i dlatego mniej ją pamiętałem i mniej jestem świadom jej wkładu w moje wychowanie religijne, a był on z pewnością bardzo duży. Po jej śmierci, a następnie po śmierci mojego starszego Brata zostaliśmy we dwójkę z Ojcem. Mogłem na co dzień obserwować jego życie. Nieraz zdarzało mi się budzić w nocy i wtedy zastawałem mojego Ojca na kolanach, tak jak na kolanach widywałem Go zawsze w kościele parafialnym. Nigdy nie mówiliśmy z sobą o powołaniu kapłańskim, ale ten przykład mojego Ojca był jakimś pierwszym domowym seminarium.

W 1938 roku zdał egzamin dojrzałości i przez rok przed wybuchem II wojny światowej studiował filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. To z tego powodu zdecydowali się z ojcem na przeprowadzkę z Wadowic do Krakowa. Aby uniknąć wywózki na roboty do III Rzeszy, pod koniec

1940 roku podjął pracę w charakterze robotnika w kamieniołomach fabryki chemicznej Solvay. Był pomocnikiem strzałowego o nazwisku Franciszek Łabuś, który niejednokrotnie mówił: „Karolu, wy to byście poszli na księdza. Dobrze byście śpiewali, bo macie ładny głos i byłoby wam dobrze”. Te słowa zapadły w pamięci Karola Wojtyły na zawsze. Z drugiej strony widział na co dzień, ile zostało mu oszczędzone, ponieważ w każdej chwili i w każdym miejscu mógł być pojmany i osadzony w obozie koncentracyjnym, z którego zazwyczaj nikt nie wracał. Trwożliwie w duchu zadawał sobie pytanie: *tylu moich rówieśników ginęło, a dlaczego nie ja? Dziś wiem, że nie był to przypadek.*

Jesienią 1942 roku dojrzała w jego sercu decyzja o wstąpieniu do Krakowskiego Seminarium Duchownego. Jako robotnik równolegle podjął również naukę na konspiracyjnym Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Odnaczał się wyjątkowym potencjałem intelektualnym i już na początku piątego roku skierowany został na dalsze studia w Rzymie, otrzymując wcześniej (1.11.1946) święcenia kapłańskie. Dwa lata pozwoliły mu poznać Stolicę Apostolską, a intensywna nauka zwieńczona została w lipcu 1948 roku uzyskaniem doktoratu na Angelicum – Papieskim Uniwersytecie Świętego Tomasza z Akwinu.

Czas powrotu do Ojczyzny, do prostej kapłańskiej posługi opisuje z wielką pokorą. Już wówczas pojawia się akt ucałowania ziemi znany z późniejszych pielgrzymkowych podróży:

Kiedy wróciłem do Krakowa, znalazłem w Kurii Metropolitarnej pierwszy przydział pracy tzw. aplikatę. Najpierw dowiedziałem się, jak dostać się do Niegowici i udałem się tam w odpowiednim dniu. Dojechałem autobusem z Krakowa do Gdowa, a stamtąd jakiś gospodarz podwiózł mnie szosą w stronę wsi Marszowice i potem doradził mi iść ścieżką wśród pól, gdyż tak miało być bliżej. W oddali było już widać kościół w Niegowici. A był to okres żniw. Szedłem wśród łanów częściowo już skoszonych a częściowo czekających na żniwo. Pamiętam, że w pewnym momencie, gdy przekraczałem granicę parafii w Niegowici uklęknąłem i ucałowałem ziemię.

Świeżo powołany wikary ks. dr Karol Wojtyła zanim przedstawił się swojemu proboszczowi pokłonił się w kościele przed Najświętszym Sakra-

mentem. Pierwsza posługa w parafii, w której został serdecznie przyjęty trwała zaledwie rok.

Nasz przyszły papież pisał także piękne, wzruszające wiersze. Wielkim ciosem dla małego Karola była śmierć matki, o czym pisze w wierszu „Emilii, Matce mojej”, który powstał w roku 1939, a rozpoczynał się od pełnych nostalgii słów:

*Nad Twoją białą mogiłą
białe kwitną życia kwiaty –
o, ileż lat to już było
bez Ciebie – duchu skrzydlaty –*

Przez kolejne strofy przebiega melodyjny motyw „białej mogiły”, ale w słowach pełnych nadziei i pogodzenia wyrażnie:

*spokój krąży z dziwną siłą
z siłą, jak śmierć – niepojętą.*

A dalej, z mocą Boskiego przekonania i ciężarem somatycznej troski:

*cisza jasna promienieje,
jakby w górę coś się wznosiło,
(...)
klęknąłem ze swoim smutkiem –*

Drugim wielkim ciosem dla Karola była śmierć brata Edmunda, który będąc lekarzem, zaraził się szkarlatyną. Karol przeżył też bardzo śmierć swojego ojca na atak serca. Ojciec chorował od dawna i w tym czasie wszystkie obowiązki domowe Karol wykonywał sam. Teraz, bez ojca nie wyobrażał sobie dalszego życia.

Stracił bardzo wcześnie, będąc w młodym wieku całą najbliższą rodzinę i wydawało się, że pozostał sam. Jednak Bóg tak pokierował jego dalszym życiem, drogą, że pozyskał serca tylu ludzi i pozostał ważną postacią w historii Polski i całego świata.

Marta Kafarska



Urszula Bydlińska

Dedykacja: Wszystkim, których kocham.

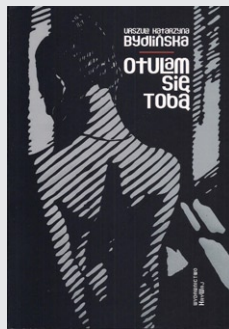
Czy to mój błąd,
że boję się wspiąć
na szczyt Twojej samotności?
Bezradnie patrzę
jak wymykasz się z moich
niewidzialnych ramion
Nie umiem Cię zatrzymać

Czy to mój błąd
czy Twoje przeznaczenie?

To nie jest zabawne,
że spadają liście
mijają godziny, dni, lata
Pies warczy na obcych
Zgubiłam numer telefonu,
Znajomi zniknęli z pamięci
Śnieg uspił ziemię

Śmieszne, że podlewam kwiaty
dawno zwiędłych marzeń.

Nie znamy swoich imion
przyzwyczajęm pragnień
Płonie wzrok – to wystarczy
Taki cichy romans
Platoniczny



Urszula Katarzyna Bydlińska, „Otulam się tobą”,
Wyd. KryWaj, Koszalin 2022, ss. 60.

Bez sensu to wszystko
ten raj dla samotnych
Nie chcę być Amazonką!

Nie mam tarczy
Nie mam zbroi
Nie mam odwagi
Abyś mnie pokochał.

Dobrze mi bez Ciebie
Gdy cisza rozdziera mrok
A samotność taka
że prawie ją widać.
Dobrze mi!
Tylko tak bardzo tęsknię.

erotyk

Zapach wymiętej pościeli
Słodki – gorzki smak ciała
Pałace pocałunki
wyglodniałych ust
Zespolenie
Zabrakło tak niewiele
Szkoda?!

Odkupienie

W chaosie codzienności
Między nicością a szaleństwem
Spłynął grad gorzkich win
popłynęła żółć i ocet
w rozpiętym na pręgiem
krzywd ciele
serce umarło
by kochać.

Per Aspera

Za czuły uśmiech
przyjazny uścisk dłoni
muśnięcie warg namiętne
ciepło słów
półsenne wyszeptanych
oddam całą
swoją samotność
Chcesz?

Otulam się
Tobą
Serce przy sercu
Ekstaza – zapomnienie
Trwajmy tak
nie trzeba
rozpalać ogniska.

Słońce oślepia moje oczy
jak Ty
gdy patrzysz tak szczególnie
Nic już nie widzę
poza Tobą!
Gdy słońce zgaśnie

Umrę.

Preludium

Kiedy już świat mój poszarzeje
Na happy end naszej miłości
zabiorę opłatek Twojego uśmiechu
miodny plaster czułości
której tak mało mi dałeś

Wtulę twarz w
pajęczynę z tęsknoty
utkaną przez tajemniczą
prząśniczkę – bezsenność

Twoich pocałunków
słodysz i sól
ukryję za
zasłoną z
księżycowych marzeń.

Popatrz
dziś znowu
słońce
ognisty ma kształt
i Ty
na tle błękitu
zupełnie zielony.

Kiedys

Gdy się kiedyś spotkamy przypadkiem
wymienimy uśmiechy grzeczności
może nawet uściśniemy dłonie
i mniej więcej to tyle czułości

Potem Ty mnie zdawkowo zapytasz
jak się miewam i czym się zajmuję?
Ja Ci również dość lekko odpowiem
jestem zdrowa szczęśliwa pracuję

Znowu uśmiech jakiś żart nieśmieszny
napisz zadzwoni odezwij się

Jasne.

I pójdziemy każde w swoją stronę
a ja
znowu przez tydzień nie zasnę.

Pozłociła się forsycja
kwiatem okazałym
drżą na wietrze szafirków
przeniebieskie dzwonki

Wśród zieleni traw
nieśmiało

stokrotka się wdzięczy
co niczym panna młoda
jeszcze niegotowa

Brzozy nisko opuściły
płaczące ramiona
zielenią się listkami
i pachną nadzieją

Serce znów mocniej bije
i skrzą się spojrzenia

Wiosna!

Wymarzyłam sobie Ciebie
ze strzępków nadziei.
Wypatrzyłam Cię
w tłumie
ukradkowych spojrzeń
Zapraǳnęłam mieć dla siebie
Twoje dni i noce
Wymarzyłam sobie Ciebie
Będziesz?

Będziesz

Nie zaczynaj od nowa
umizgów
uśmiechów
frazesów oklepanych
i zalotnych spojrzeń

Nie zwracaj znów
w głowie
nie rozgrzewaj serca!
Z tej naiwnej dziewczynki
już ślad nie pozostał.

*Linoryt na okładce i wewnątrz Paweł Brodzisz.
Projekt okładki Kaz Hauasa.
Wstęp Marta Kozak.
Spiritus movens wydania Joanna Pąk.*

Irena Kulik

Upamiętnienie 160. rocznicy Powstania Styczniowego w Krasnymstawie



17 marca 2023 roku w Krasnostawskim Domu Kultury odbyła się konferencja historyczna pt. „Mikołaj Nieczaj – bohater nieoczywisty” poświęcona upamiętnieniu wydarzeń, które rozegrały się przed 160 laty w mieście nad Wieprzem. Uczczono pamięć bohatera Mikołaja Nieczaja (ukr. Nikołaja Neczaja), który 19 marca 1863 r. poświęcił swoje życie dla wolności przyszłej Polski w okolicy Góry Ciechańskiego w Krasnymstawie.

Co to była za postać i dlaczego wzięła udział w powstaniu styczniowym? Dwaj zaproszeni prelegenci – dr hab. prof. UMCS Mariusz Korzeniowski oraz dr hab. prof. APS Jacek Kulbaka udzielili na nie wyczerpującej odpowiedzi, która wzbogaciła wiedzę zgromadzonej na widowni starszej młodzieży szkolnej, mieszkańców miasta, przedstawicieli władzy, gości oraz członków Stowarzyszenia „Regiment Mikołaja Nieczaja”.

Jako pierwszy głos zabrał prof. dr hab. Mariusz Korzeniowski, który wygłosił referat pt. „Przebieg powstania styczniowego na terenie powiatu krasnostawskiego” oraz naświetlił historię bitew i potyczek na Lubelszczyźnie, jak również na ziemi krasnostawskiej, z których najbardziej pamiętna pozostaje bitwa pod Fajstawicami 24 sierpnia 1863 roku. To było najkrwawsze starcie na Lubelszczyźnie. Oddział powstańców pod dowództwem gen. Michała Heydenreicha Kruka, liczący około 1500 osób, został rozbity przez dwie kolumny wojsk rosyjskich Dońskiej Artyleryjско-Konnej Dywizji nr 1 dowodzonej przez pułkownika G. Jemanowa i podpułkownika Sologuba, które liczyły około 3 tys. żołnierzy i otoczyły powstańców w pierścień. W nierównej walce najwięcej zginęło i zostało rannych powstańców, wielu trafiło do niewoli. Ci, którzy poświęcili swoje życie – 76 osób, spoczęli w zbiorowej mogile na starym cmentarzu w Fajstawicach.

Z kolei drugie wystąpienie pt. „Mikołaj Nieczaj (Neczaj) – dowódca oddziału powstańczego” wygłoszone przez prof. dra hab. Jacka Kulbakę szczegółowo naświetliło nie tylko historię lokalne-

go przywódcy, ale i przyczyny wybuchu powstania, jego naczelników oraz przebieg w całym zaborze rosyjskim, czyli Królestwie Kongresowym, które obejmowało Mazowsze, Podlasie, Lubelszczyznę i Świętokrzyskie, gdzie stoczono około 1000 bitew i potyczek. Prelegent podał również informację dotyczącą ziemi wileńskiej i grodzieńskiej, gdzie odbyły się 227 bitwy i potyczki oraz na Rusi (Ukrainie) – ogółem 34 starcia zbrojne. W kolejnej części autor udzielił informacji o przebiegu powstania na Lubelszczyźnie. Zauważył, że w Krasnymstawie panował względny spokój w związku z garnizonem carskim stacjonującym w mieście, chociaż już w 1861 roku odbywały się protesty w postaci „kociej muzyki”.

Najbardziej pozostaje w pamięci krasnostawian Mikołaj Nieczaj, który urodził się w 1818 roku w Hrubieszowie, w rodzinie mieszanej, gdzie ojciec miał być Rusinem (Ukraińcem), a matka katoliczką. Po podstawowej edukacji w rodzinnym mieście, kolejno zdobywał wiedzę w Zamościu, następnie w Wilnie lub w Kijowie na akademii medycznej, by zostać lekarzem i nieść pomoc potrzebującym. Około 1841 roku pracował w guberni wołyńskiej, kolejno ok. 1857 roku w Dolsku (powiat kowelski), potem w Uściługu k. Hrubieszowa i w Dubience. Gromadził pamiątki historyczne w swym domu. Był inicjatorem usypiania kopca ziemnego w Uchańce k. Dubienki upamiętniającego walki z 1792 r. Brał udział w uroczystościach patriotycznych. Nawiązał kontakt z Leonem Frankowskim – komisarzem województwa lubelskiego, w ramach przygotowań powstańczych oraz jako współpracę z Oswardem Radziejowskim, kapitanem z czasów powstania listopadowego, kawalerem orderu Virtuti Militari. Zebrał oddział ok. 400 powstańców i walczył z Rosjanami na terenach pomiędzy Wieprzem a Bugiem. W skład jego oddziału weszli m.in. szlachta, rzemieślnicy, służba dworska, inteligencja małomiasteczkowa. Oddział był nieźle uzbrojony – w lance, pistolety, strzelby i ubrany – skórzane pasy, konfederatki dla piechurów, jazda w granatowych kurtkach. Nieczaj był zwany przez podkomendnych „Ojczulkiem”. W jego oddziale było sporo Rusinów, dlatego komendy wydawano w obu językach – polskim i ukraińskim.

Jednym z najważniejszych jego poczynań jest wydarzenie z nocy 1 na 2 lutego 1863 r. (według źródła ukraińskiego – 23 stycznia). Nieczaj

wkroczył bez walki na czele ok. 400 powstańców do Hrubieszowa. Rosjanie opuścili wcześniej miasto. Został jego naczelnikiem. Zajęto kasę miejską, dozbrajano się, pozyskiwano rekrutę, zdjęto herby i inne symbole władzy carskiej z budynków, uszkodzono słupy telegraficzne. W Hrubieszowie Nieczajowi towarzyszył Kukiel, student UW, komisarz Rządu Narodowego. Ogłoszono przejęcie władzy w mieście i powiecie przez Tymczasowy Rząd Narodowy – ogłoszono manifest uwłaszczeniowy i wprowadzono przepustki. Posługiwano się okrągłą pieczęcią z napisem: „Rząd Narodowy Hrubieszowski”. Oddział pozyskał żywność, lekarstwa, ubrania. Osoby współpracujące z Rosjanami karano pracą przymusową poprzez zsyłanie i gotowanie.

Po pięciu dniach miasto opuszczono i skierowano się w stronę Dubienki, która została zajęta przez powstańców. 13 lutego oddział udał się w kierunku powiatu krasnostawskiego. Po drodze, do oddziału dołączyła partia Kazimierza Bogdanowicza (vel Bohdanowicza), która liczyła ok. 350 osób o jednolitym umundurowaniu, na które złożyły się: brązowe kurtki spięte czarnym skórzanym pasem i czarne barankowe konfederatki z różnokolorowymi kokardami. Trzydziestokonny oddział jazdy posiadał granatowe mundury, brązowe kurtki z kapturem i baranie czapki. W trakcie walki przybywało w oddziałach partyzantów ubranych w zdobyczne mundury rosyjskie. Zdarzało się też, iż niektórzy z nich nosili stare mundury z czasów powstania listopadowego. Posiadali własny sztandar, dowódca prowadził kancelarię.

17 bądź 18 lutego pod Rudką (dziś gmina Ruda-Huta) oddziały powstańcze (ok. 500 ludzi) starły się z siłami carskimi o tej samej liczbie. Życie straciło około 14 osób, tyleż zostało zranionych powstańców, jednak inne źródła podają dziesięciokrotnie większe liczby. Wycofano się w okolice Świerża i Żalina. Zdobyto tabor, chorągiew, czerwone rogatki, broń i konie. Major Roguza donosił o zabiciu 400 powstańców (sic!). Uderzono z lasu, ale powstańcy napotkali silny ostrzał wojsk rosyjskich idących z Lublina. Walczyły partie Radziejewskiego, Bogdanowicza i Nieczaja. Radziejewski dobrowolnie oddał się do niewoli. Jak podaje w swojej relacji Jan Grabiec w pracy pt. „Rok 1863” wydanej w 1929 roku w Poznaniu: *Powitani celnym ogniem powstańcy zachwiali się. Widząc*

to nieprzyjaciół rzucił się na bagnety; powstańcy nie mając kosynierów, nie zdołali się oprzeć i cofnęli się do lasu, gdzie pod naciskiem kozaków i piechoty odwrót zamienił się w beładną ucieczkę, wśród której ponieśli Polacy straty ogromne. Mimo, że strzały na tyłach Rosjan zwiastowały przybycie Nieczaja, żadna siła nie powstrzymała uciekających w panicznym strachu powstańców, których Bohdanowicz zdołał dopiero pod wsią Zozulinem jako tako uporządkować. Pozostawiona sobie partia Nieczaja, upadła na duchu na widok beładnie pierzchających żołnierzy Bohdanowicza i na wieść o klęsce jego, również nie była w stanie wytrzymać ognia rosyjskiego i w ucieczce szukała ocalenia, ścigana i mordowana przez Rosjan bez litości.

Kolejno 20 lutego przeciwko powstańcom, na rozkaz gen. Aleksandra Chruszczowa pod dowództwem ppłk. Rymskiego, ruszyły z Krasnegostawu 2 kompanie piechoty, szwadron ułanów, 50 kozaków wraz z dwoma działami. 21 lutego Rosjanie byli już w Dubience i dowiedzieli się, że powstańcy stacjonują w okolicach Świerża nad Bugiem. Zdecydowano o ataku 22 lutego w okolicach wsi Żalin. Walczono na terenie folwarku bronionego przez powstańców. Zginęło wielu powstańców z oddziału Nieczaja, Nęckiego i Miketty, a 22 poszło do niewoli, w tym ciężko ranny Nieczaj, którego uwięziono w Krasnymstawie. Bogdanowicza, który miał wówczas 26 lat, rozstrzelano w Lublinie. Nie skorzystał z prawa łaski. Również Nieczaja, który liczył 45 lat, po przeprowadzonym śledztwie w Krasnymstawie, poddano egzekucji. Według relacji naocznego świadka Julii Galewskiej, która opowiedziała tę historię w wieku 60 lat swojemu bratankowi, 10-letniemu Stanisławowi Galewskiemu, wyroku dokonano rano 19 marca 1863 r. ok. godz. 5.30. Nieczaj miał opaskę na oczach, związane ręce. W trakcie egzekucji przywiązano go do słupka. Jeszcze miał krzyknąć „Niech żyje wolność”. Ciało zabitego umieszczono w dole na miejscu stracenia. Wojsko, wykorzystując konnicę i 12 armat, „dziesiątki razy” rozjechało miejsce kaźni! Jedynymi świadkami zdarzenia były kobiety. Inny los spotkał Neckiego (Nęckiego), który trafił do więzienia na kilka miesięcy.

Powstanie nadal trwało. Pod koniec marca 1863 r. oddział Marcina Borelowskiego „Lelewela”

zaatakował magazyny wojskowe w Hrubieszowie. Spalono je, a powstańcy oddalili się na Krasnobród. Na terenie powiatu hrubieszowskiego walczyły oddziały Karola Krysińskiego, Władysława Ruckiego.

W powiecie krasnostawskim jeszcze odbyły się starcia. 30 lipca 1863 w okolicy Częstoborowic, gdzie ok. 150 powstańców nie udało się wycofać. Zostali pokonani przez ok. 600 Rosjan (sotnię kozaków, 3 rotę piechoty, ułanów) pod dowództwem płk. Baumgartena, w wyniku czego zginęło 108 powstańców, a 30 ciężko zraniono i ostatecznie jako jeńców wymordowano. Natomiast 5 sierpnia partia powstańcza majora Ruckiego, która liczyła ok. 1200 walczących, pokonała w okolicy Deputycz dwukrotnie mniejszą liczbę żołnierzy z oddziałów rosyjskich. W pościgu za Rosjanami w kierunku Wierzychowin ok. 90 zabito, tyłuż było rannych. Również doszło do pomyślnego ataku trzy dni później, 8 sierpnia pod Żyrzynem (leżącym w powiecie lubartowskim), gdzie około 2 tys. powstańców zaatakowało ok. 500-osobowy konwój carski, który przewoził 200 tys. rubli. Zginęło ok. 180 Rosjan, a 300 trafiło do niewoli. Wśród powstańców 10 zginęło, natomiast 50 zostało rannych. Również przytoczono tragiczne fakty (powyżej wspomnianej przez pierwszego prelegenta) z najbardziej krwawej bitwy na Lubelszczyźnie pod Fajstławicami, którą zaprezentowano w ten sposób: *24 sierpnia 1863 r. oddziały powstańcze liczyły ok. 1600-1700 ludzi gen. Michała Heidenreicha „Kruka”, zaś siły rosyjskie ok. 3 tys. żołnierzy i 6 armat, pod dowództwem Solloguba i Emanowa. Walczono mężnie od południa aż do zmroku. W wyniku starcia ponad 200 powstańców zabito, ok. 170 odniosło rany. Aż 650 dostało się do niewoli. „Kruk” przebił się do Galicji, powrócił do Królestwa w XI 1863 r., przegrał bitwę pod Kockiem.*

Ogółem rozegrały się: 44 bitwy i potyczki w powiecie krasnostawskim; na ziemi chełmskiej – 20; na terenie całej Lubelszczyzny – 145. Łącznie w Królestwie rozegrało się ok. 1260 bitew i potyczek.

dr Irena Kulik

Opracowanie na podstawie materiałów udostępnionych przez dra hab., prof. APS Jacka Kulbakę oraz pozycji Adama Polskiego „Bitwa pod Fajstławicami”.

Edward Wierchoś

Sursum Corda. Obelisk pamięci i wolności w Państwie Żdżańskim



Szanowni i Czcigodni Zebrani,

Crux Mea, Lux Mea – „Krzyż mój, radość moja (światło moje)”. Tym łacińskim powiedzeniem rozpoczynam moje wystąpienie przy poświęcanym pomniku, który pragnę, by od dziś stał się symbolem wolności. Radością, gdyż jestem tutaj osobiście z Państwem, a Opatrzność dała mi jeszcze czas, abyśmy mogli się wspólnie cieszyć ze spełnienia moich marzeń. Marzeń przywrócenia pamięci krzyża wiary i wolności, wzniesionego przed domem, w którym się urodziłem, a Mama Janina dożyła 101 lat. W tym miejscu, gdzie stał przez długie lata krzyż, stoi obelisk pamięci i wolności „Sursum Corda”, odsłaniany w przepięknej uroczystości. Powstały z potrzeby złożenia hołdu naszym Przodkom, zamieszkującym te ziemie – wyznawcom wiary od roku 1467. Tych, którzy tutaj żyli, pracowali, modlili się, cierpieli prześladowanie za wiarę chrześcijańską, chociaż może czasami w innym rycie, a jako Patrioci-Polacy walczyli o wolność wyznania i Ojczyznę. Byli to prawie wszyscy mieszkańcy obecnej parafii pw. Świętego Michała Archanioła czyli wschodniej części Gminy Siennica Różana, określanej w dawnych czasach „Państwem Żdżańskim”. Chcę zaznaczyć, że określenie to przywrócił do pamięci profesor KUL-u w Lublinie, Ludomir Bieńkowski z Zagrody w roku 1959. Nazwa owa przypisana jest do wschodniego zakątka powiatu Krasnostaw i gminy Siennica

Różana, w którym położone są wsie Kostunin, Zagroda, Żdżanne, Wierzchowiny i Maciejów. Stanowi on zarazem wyodrębnioną całość geograficzną regionu, otoczoną od północy, wschodu i południa lasami, jak też wzgórzami. Na mapie szczegółowej województwa lubelskiego z roku 1797 oddzielona jest też lasem od Siennicy Różanej. Przepływająca rzeka Siennica wypełniała dolinę rozlewiskami i bagnami, co daje się zauważyć na mapie napoleońskiej z roku 1822.

Ten obszar obejmujący prawie 39 km² stanowił odrębną jednostkę gospodarczą, kościelną i administracyjno-samorządową. O czym świadczy używanie jeszcze niedawno przez starszych mieszkańców określeń: dobra żdżańskie, majątność żdżańska, dominium żdżańskie (na zastąpienie określenia „państwo”). Bezkonfliktowe, wspólnotowe życie tutejszych mieszkańców przez długie wieki, wpłynęło na wytworzenie się ściślejszych więzi społecznych i poczucia jedności wśród ludności tego terenu.

Chrześcijaństwo zachodnie, jak i wschodnie, a więc wiara, która w tym czasie łączyła ludzi oraz budowała społeczeństwo, przyszła na te ziemie prawie równocześnie. Bowiem mieszkańcy państwa żdżańskiego wyznania rzymskokatolickiego należeli do parafii Kumów, erygowanej w roku 1434. Natomiast pierwsza udokumentowana informacja o istnieniu cerkwi prawosławnej pw. św. Dymitra w Żdżannem jest z roku 1459. Są też dane z roku 1467 o parafii z proboszczem ojcem Wakułą. Po zawarciu unii brzeskiej w roku 1596, biskup Jan Zamojski, z nowo powołanego biskupstwa unickiego w Chełmie, przemianował w roku 1606 parafię prawosławną w Żdżannem na parafię grekokatolicką pw. św. Dymetriusza. Ten układ terytorialny trwał prawie cztery stulecia, aż do roku 1835, gdy biskup lubelski Dziecielski na wniosek dziedziczki żdżańskiej Barbary Smorczewskiej, przeniósł z parafii Kumów oraz włączył w roku 1835 wszystkie wsie państwa żdżańskiego do kościoła i bardzo „starej” parafii erygowanej w roku 1434 w Siennicy Różanej. Motywując to tym, że kościół parafialny dla rzymskokatolików w Kumowie był zbyt odległy dla mieszkańców wyznania rzymskokatolickiego i w drodze do niego zachodziła konieczność pokonania też lasów. Należy wspomnieć, że w miejscowości tej w roku 1531 jest też wzmianka o cerkwi

prawosławnej. Tak więc po prawie 400 latach przynależności do Kumowa, katolicy „znaleźli się” na początku XIX wieku w nowym miejscu, tj. w parafii Siennica Różana.

Chciałbym zaznaczyć, że przedstawiony powyżej opis bardzo dobrze, szeroko opracowali: wspomniany prof. Ludomir Bieńkowski w pracy z roku 1959, ks. Henryk Pawłowski – powojenny pierwszy proboszcz parafii w kronice parafii z lat 1947-1970, ks. mgr Marian Derkaczewski, sercanin, nasz rodak w roku 1982 oraz prof. Andrzej Wawryniuk w roku 2020. Za przesłanie mi tych publikacji i rękopisu bardzo dziękuję Panu mgr. inż. Eugeniuszowi Gwiazdowskiemu z Warszawy, wielkiemu patriocie i miłośnikowi naszej Ziemi, tutaj urodzonemu, gdyż umożliwiły mi one utrwalenie posiadanej wiedzy o chlubnej historii ziemi żdżańskiej, oraz przygotowanie dzisiejszego wystąpienia.

Dziś radosny i wzruszony patrzę na ten prawie 100-letni dom rodzinny. Zielone, obsypane kwieciami wiśnie. I w duchu myślę o najbliższych: rodzicach, bracie Jurku, kuzynach, o gospodarstwie, sąsiadach, kolegach. Żal – już ich nie ma, tak jak nie ma potężnych jesionów, a pomiędzy nimi stojącego wysmukłego krzyża. Nie ma najbliższych „wujków”: Józefa Głowackiego, Franciszka Wierzchosia – żołnierza walczącego o Wilno, Władysława Wierzchosia – uczestnika kampanii kijowskiej, Stanisława Wierzchosia bohatersko i odważnie przechowującego podczas okupacji w obok stojącym domu jeńca rosyjskiego zbiegłego z niemieckiego stalagu w Chełmie na Pokrówce (generała Wiktora Szczerbakowa). „Dziadzia” Marcelego Wierzchosia – „bartnika”, w którego pasiece poznawałem życie pszczół. „Wujka” Antoniego Stelmacha – stolarza i cieśli artysty, ucznia Leona Dobrzańskiego, tego, którego ręce „wyrzeźbiły” krzyż, a także ołtarz w naszym kościele oraz drzwi frontowe w kościele Rozesłania św. Apostołów Piotra i Pawła w Chełmie. Sąsiada Władysława Oberdy – ułana, uczestnika bitwy pod Wołominem. Oprócz rodziców, rodziny, także ich praca i opowieści kształtowały moją świadomość młodzieńczą. Wspominam wszystkich mieszkańców Żdżannego, kościół, szkołę, jak też czas i historię, w której wzrastałem i która rozwijała moją osobowość. Nie ma! Wszystko odeszło. Pozostało wzruszenie, kołatanie serca oraz uciekający czas nie do zatrzymania.

Drodzy i Szanowni Zebrani! Jest też takie łacińskie powiedzenie *Historia est Magistra Vitae!* „Historia jest nauczycielką życia”, którą pragnę wykorzystać, by przedstawić Państwu historię krzyża w miejscu, w którym w dniu dzisiejszym odsłoniemy obelisk, z jakże ważną inskrypcją *Sursum Corda* – „W górę serca” i Chrystusem Zmartwychwstałym na cokole. Nakazał mi to pan profesor Wincenty Kućma – wielki rzeźbiarz, grafik, patriota – mówiąc: *Jeżeli Pan tam pojedzie, to koniecznie proszę powiedzieć zebranym historię Krzyża! Niech ona zachęci uczestników i mieszkańców Żdżannego do poszukiwań historii swoich korzeni – tam na wschodzie. Gdzie było tak bardzo trudno i tragicznie do przetrwania. I dodał – nadal tak pozostaje. Proszę przekazać, aby kultywowali tę tradycję i historię.* Patrząc zaś na zdjęcie fotograficzne pomnika powiedział: *Obelisk bardzo się udał, jest w granicie, smukły, polski jak postać Światowida oraz postawiony w pięknej przestrzeni.*

Dziś chcę oświadczyć, że nie wyobrażam sobie zaistnienie tego obiektu bez „darów serca”, jakie poczynili, ten dostojny pan profesor Wincenty Kućma, tworząc rzeźbę postaci Chrystusa Zmartwychwstałego, jak też pan Jan Siuta artysta rzeźbiarz, malarz, grafik – twórca koncepcji pomnika, darczyńca kamieni granitowych oraz montażu całości. Dziś, tutaj 3 maja 2023 roku w Żdżannem najserdeczniej jak tylko mogę dziękuję, mówiąc im „Bóg zapłać!”. Wypowiadam to również w imieniu mieszkańców parafii Żdżanne, gminy Siennica Różana oraz myślę też, że zebranych tutaj Państwa – uczestników religijno-patriotycznej uroczystości.

Krzyż, który stał w miejscu posadowienia pomnika wzniesli w roku 1905 Katarzyna i Maksymilian Wierzchosiewie, rodzice naszego taty Wincentego i jego siostry Anieli Wierzchoś-Wepy. Był on bardzo wysoki – na ramieniu poprzecznym, sięgającym dachu domu mieszkalnego zawieszono symbole „męki Pańskiej”: włócznię, obcęgi, młotek oraz drabinkę. Nad głową pasyjki Chrystusa umieszczono wyciętą w drzewie koronę cierniową, a nad nią, na tabliczce napis „INRI”. Zaś na pionowym drzewcu, dużymi literami od góry do dołu: „Jezu Chryste, Zmiłuj Się Nad Nami”. Zaś poniżej, na nieco grubszej jego części umieszczono inskrypcję, której treści już nie pamiętam, oprócz napisu „M. Wierzchoś – rok 1905”. Za „ukaz carski był ten

krzyż” – tak mawiali nam, dzieciom rodzice. Krzyż od przestrzeni ogrodu stał oddzielony płotkiem z rzeźbionymi sztachetami i rosnącymi dwoma jesionami, które w latach późniejszych doprowadziły do jego pochylenia i upadku. Tak stało się z następnym krzyżem wzniesionym przez mieszkańców Żdżannego z inicjatywy Janiny Plewy.

Krzyż dziadzia był wotum składanym Bogu za odzyskanie wolności religijnej, którą car Mikołaj II w dniu 17 kwietnia roku 1905 ogłosił w tzw. „Manifeście tolerancyjnym” albo „Edyktie wolnościowym”, zapowiadając wiernym dobrowolność wyboru wyznania. Dzięki kontaktom z panią mgr Kazimierą Derkaczewską z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, tutaj urodzoną i mieszkającą do czasu ukończenia szkoły podstawowej, uzyskałem bardziej wyczerpującą wiedzę o tym ukazie, jak też pewnym zdarzeniu historycznym w Żdżannem, które wzniesionym krzyżem, przez naszych przodków zostało upamiętnione. Otóż jej babcia Agnieszka Wierzchoś, urodzona w roku 1878, która zmarła w 1963, matka chrzestna naszego taty, mieszkająca naprzeciwko mówiła: „że w Niedzielę Wielkiej Nocy – która w roku 1905 przypadła 23 kwietnia – o świcie jechał przez wieś, już o niepamiętanym nazwisku mieszkaniac Żdżannego i nawoływał: „Przyszła wolność, wychodźcie kto może, zbierajmy się i idziemy na rezurekcję do katolików w parafii Siennicy Różanej”. Do zbierających się mieszkańców Żdżannego, dołączali pośpiesznie mieszkańcy Kostunina oraz kolonii i tłumnie ruszyli pochodem, omijając cerkiew w Żdżannem z zamieszkałym obok w plebanii znienawidzonym popem prawosławnym Możarowskim. Był to „rusofob i unitożerca”, jak określił go ks. Pawłowski z „zawziętością walczący z opornymi unitami o wiarę”. Mijali też stojącą nad łąkami do dziś kapliczkę św. Jana Nepomucena – symbol tej walki. Babcia mówiła, że „do tego tłumu wiernych dołączali też ludzie z dworu Smorczewskich, Kozieńca i mieszkańcy Siennicy. Powiadomiony proboszcz siennicki ks. Władysław Wiśniewski (Czesław Czupryński) nakazał bić w dzwony. Wziąwszy feretrony i obrazy kościelne wraz z obecnymi już w świątyni, wyszedł prawie do połowy miejscowości, by uroczystie wprowadzić tych wiernych przybyłych unitów, a także jeszcze mieszkańców prawosławnych razem z katolikami do kościoła w Siennicy Różanej. Dopiero wówczas

rozpoczął uroczystą celebrację rezurekcji". Powie-
działa jej też babcia: „pamiętaj, tutaj żyli wszyscy
zgodnie. Tutaj byli: Rusini, Litwini i my Polacy, niko-
go więcej! Tutaj była Polska”.

Emocjonalne przeżycie nienotowanego
przedtem wydarzenia, zapewne zainspirowało dzia-
dzia Maksymiliana Wierchosia, którego rodzina
Wierchosioów należała do najbardziej „opornych”
i nieprzejednanych do przejścia na prawosławie,
mimo przykładowego za to prześladowania przez
zaborcę. A byli to: zsyłki rodziny do Rosji, powo-
ływanie mężczyzn do długoletniej służby wojsko-
wej, słynne nasyłanie Kozaków, a nawet zamiana
nazwiska z Wierchoski na „zruszczone” Wierchos
– Wierchoś. Biorąc udział w tej niespotykanej na
ówczesne czasy religijno-patriotycznej manifesta-
cji, która zapoczątkowana została w kwietniu 1905
roku w Żdżannem, a zakończyła w kościele w Sien-
nicy Różanej, wznosił dla upamiętnienia tej pełnej
uniesienia chwili symboliczny wówczas krzyż.

Należy zaznaczyć, że wszystkie wsie w tzw.
„państwie żdżańskim”, tj. Złońska (Maciejów), Maj-
dan Żdżański, Żdżanca, Kwoczka, Wierchowiny,
zamieszkiwali wówczas zarówno „poddani rosyj-
scy” wyznania rzymskokatolickiego, grekokatolicy
oraz też ci, co pozostali przy prawosławiu. Według
dokumentów kościelnych z roku 1870, np. w parafii
Siennica Różana mieszkańców wyznania rzymsko-
katolickiego było 1991, zaś grekokatolików – 800.
Wykaz nie podaje liczby prawosławnych. Stan
ten trwał aż do tzw. „kasaty unii” w roku 1875, gdy
car Mikołaj II administracyjnie skasował wyznanie
grekokatolickie oraz wszystkie świątynie unickie,
przemieniając je na cerkwie i wprowadził „po-
wszechne obowiązkowe” prawosławie. Zakazując
równocześnie w zaborze rosyjskim wszystkim wier-
nym wyznawania wiary w tym rycie. To przeciw tej
decyzji występowali ci tzw. „oporni”, nie godząc się
z tą sytuacją oraz nie przechodząc na prawosła-
wie. Sporządzona w roku 1887 lista „opornych” pa-
rafii Żdżanne, wykazywała 290 (260) takich osób,
w tym w samym Żdżannym aż 89.

Opisana sytuacja religijna trwała 30 lat,
aż do roku 1905, gdy po wspomnianym ukazie,
prawie wszyscy wierni tzw. „wschodni”, tj. ponad
90% zmuszonych do prawosławia i „opornych”
wiernych grekokatolików unitów, zadeklarowało
przejście na katolicyzm. Postępujący gwałtowny

spadek wiernych grekokatolickich, ubytek popów,
przy braku też księży grekokatolickich spowodo-
wał, że „na gruzach” parafii unickiej biskup lubelski
Marian Leon Fulman w roku 1919 erygował para-
fię rzymskokatolicką pod wezwaniem św. Michała
Archanioła. Biskup rekonylował równocześnie też
dawną opuszczoną cerkiew na kościół. Pierwszym
proboszczem parafii został ks. Andrzej Tacikowski.
Niezmierne zasłużony dla tworzenia parafii, sca-
lając wokół niej wiernych, odbudowując kościół,
dobra materialne, rozwijał oświatę, przywracał
wartość wiary. Cieszył się on w parafii Żdżanne
olbrzymim zaufaniem, szacunkiem i sympatią. On
erygował też cmentarz katolicki i wznosił na nim
krzyż. Gdy przed laty ten historyczny krzyż został
usunięty, mama powiedziała: „wielka szkoda, ktoś
nie znał bohaterskiej historii Żdżannego i nie ma do
niej szacunku. Żal!”.

Męczeńska historia świątyni w parafii
Żdżanne nie zakończyła się jednak, bowiem w roku
1941, podczas okupacji niemieckiej, znów została
ona „odebrana katolikom” przez „pobratymców” na
cerkiew prawosławną. Rolę kościoła parafialnego
pełniła wówczas prawie przez cztery lata kapli-
ca grobowa Smorczewskich na cmentarzu para-
fialnym. Lecz tym razem na krótko, gdyż w 1944
tuż po przejściu frontu, kościół powrócił do swoich
i mam nadzieję, że na zawsze.

Jest historyczną dumą, że właściciele
Żdżannego, którymi byli Smorczewscy przynależ-
ni do Kościoła rzymskokatolickiego bardzo wspie-
rali unitów, budując dla nich kościół w 1808 roku
(Katarzyna Kwaśniewska), przyznając uposażenie
oraz ziemię na utrzymanie parafii. Równocześnie
wyznawcom katolicyzmu utworzyli kaplicę w pałacu
w Żdżannem, w której modlono się „w ukryciu”, któ-
ra funkcjonowała kilkanaście lat. Za wybitne zasługi,
na rzecz unitów i Kościoła katolickiego, papież Leon
XIII nadał w roku 1898 tytuł hrabiowski Adolfowi
Smorczewskiemu, synowi Medarda i Barbary Smor-
czewskich. Wraz z ojcem tytuł ten otrzymali też jego
synowie: Jan i Feliks. Żdżanne w tym czasie było
wyjątkowym miejscem dla wiary chrześcijańskiej.
W cerkwi grekokatolickiej modlono się wspólnie, na
ile pozwalało prawo kościelne, zawierano małżeń-
stwa tzw. mieszane, razem obchodzono niektóre
obrzędy i święta.

Wzniesiony przez Maksymiliana Wierchosię krzyż w Żdżannem, był zatem symbolem przywiązania do wiary katolickiej. Tutaj, przy krzyżu modliła się ludność Żdżannego w maju i październiku. Do krzyża przychodziły procesje w dniu Bożego Ciała. Tutaj, rozpoczynały się obrzędy związane z sianiem, zbiorami i innymi wydarzeniami związanymi z życiem lokalnej społeczności. Równocześnie teren wokół niego służył też celom społecznym. Bardzo dobrze pamiętam zebrania w sprawach administracyjnych i gospodarczych. To tutaj odbyło się też pierwsze spotkanie mężczyzn i młodzieży męskiej w maju 1955, na którym podjęto postanowienie o utworzeniu w Żdżannem Ochotniczej Straży Pożarnej w piątą rocznicę tragicznego pożaru połowy miejscowości. Pierwszym komendantem wybrany został wówczas Jan Derkaczewski, a tata mój Wincenty gospodarzem, mnie – uczniowi szkoły średniej w Rejowcu, powierzono funkcję osoby odpowiedzialnej za kulturę i oświatę.

Z krzyżem też związane jest tragiczne wydarzenie z czasów okupacji niemieckiej. W roku 1942 wokół niego „spędzono chłopów” jak się mówiło, podczas którego wyznaczono 10 mężczyzn na rozstrzelanie, jeżeli do 6 rano nie zostanie odnaleziona ukrywająca się rodzina naszych sąsiadów Łozów (ojciec, matka i 3 córki), co do której gestapo z Wierchowin powzięło decyzję rozstrzelania.

Przez cały czas krzyż był dumą mieszkańców, gdyż jedyny taki był w Żdżannym, stał w naszym ogrodzie i my wszyscy w rodzinie, a także sąsiedzi „opiekowaliśmy” się nim, stawiając kwiaty, porządkując teren wokół, a w dniu Zielonych Świąt i innych uroczystości brzożki z zielonymi rozwijającymi się listkami – wyscielając dojście pachnącym tatarakiem.

Pragnąłem to wszystko Państwu przekazać dziś, tutaj, w dniu tak ważnym i uroczystym dla mojej rodziny. Ważnym dla wiary i naszej historii, dla wolności.

Chciałbym przy tym, jak najserdeczniej podziękować Czcigodnemu Księdzu Kanonikowi Proboszczowi naszej parafii Józefowi Serejowi za wspieranie mnie prawie przez 8 lat w dążeniu do realizacji zaplanowanego projektu. Za wybranie święta Matki Boskiej Królowej Polski i Dnia Konstytucji 3 Maja dla tej uroczystości, tak wspaniale łączącej wiarę i patriotyzm.

Dziękuję Księdzu Dziekanowi z Siennicy Różanej Ryszardowi Siedleckiemu za celebrację mszy św. i wygłoszenie homilii.

Nie byłoby tego pomnika bez nieocenionej pomocy organizacyjnej i finansowej Pana Leszka Proskury Wójta Gminy Siennica Różana. Długoletniego, troskliwego Gospodarza Ziemi Siennickiej – Rodzinnej Ziemi.

Bardzo serdecznie dziękuję też za nadzwyczajne włączenie się w realizację projektu Pań: Sołtys Żdżannego Eweliny Popik oraz Radnej Gminnej ze Żdżannego Wiesławy Popik.

Jeżeli Państwo życzliwie przyjmiecie treść mojego wystąpienia, to stało się to za przyczyną Pana Andrzeja Misiury twórcy i redaktora „Ziarna” z Siennicy Różanej oraz „Nestora” z Krasnegostawu. On, będąc dyrektorem gminnego Centrum Kultury sprawił, że mogę odtwarzać w pamięci historię i nauczyłem się ją przekazywać mieszkańcom mojego Żdżannego oraz gminy.

Dziękuję też bratu Stanisławowi, że podobnie jak nasz tata Wincenty, przekazał kilkadziesiąt lat temu parcelę w ogrodzie na potrzeby straży pożarnej, by postawiono tymczasową remizę. A dziś znajduje się tutaj to piękne dzieło społeczne, które służyło też mamie – przewodniczącej Koła Gospodyń Wiejskich w Żdżannem. On bez wahania wydzielił i wygrodził także część własnego ogrodu oraz podarował go wsi i parafii Żdżanne na posadowienie pomnika „Sursum Corda”.

Przekazujemy wspólnie ten obelisk w imieniu dzieci, wnuków, prawnuków i praprawnuków Katarzyny i Maksymiliana Wierchosiów, mieszkańców Żdżannego oraz całej parafii pw. Świętego Michała Archaniola. Przekazujemy też tutejszym druhom strażakom z Ochotniczej Straży Pożarnej w Żdżannem, by pamiętali, gdzie „narodziła” się ich organizacja. By wyjeżdżając każdorazowo z naprzeciwka na wezwanie, spoglądali na zapis: „Sursum Corda!” – W górę serca. Może będzie ciężko, tragicznie, lecz my się nie poddamy!

Bardzo serdecznie dziękuję za zaproszenie i cierpliwość wysłuchania mojego dość obszernego wystąpienia. Dziękuję wszystkim obecnym jeszcze raz. Bóg zapłać za wszystko!

prof. Edward Wierchoś

Wiersze laureatów Konkursu Poezji Więziennej im. Artura Nowosada 2022

Areszt Śledczy w Krasnymstawie już po raz XXVIII zorganizował wyjątkowy konkurs poetycki o zasięgu ogólnopolskim. Stał się pionierem w tej formie aktywizacji osadzonych na terenie całego kraju. Konkurs cieszy się coraz większym zainteresowaniem. Dotychczas wzięło w nim udział ponad pięć tysięcy osób, które zgłosiły dwadzieścia tysięcy wierszy. Celem konkursu – zgodnie z przesłaniem regulaminu – jest wzbudzanie wśród osadzonych aktywności, rozwój zainteresowań, inspirowanie do twórczego myślenia oraz oddziaływanie wychowawcze poprzez sztukę. Pomimo różnorodności tematycznej, zgodnie z właściwościami pojawia się sporo wierszy inspirowanych przemyśleniami i życiem w odosobnieniu.

Konkurs zainicjowany w 1994 roku przez krasnostawianina płk. Artura Nowosada był i jest ewenementem w skali penitencjarnej kraju. Stał się ważnym elementem resocjalizacji. W komisji konkursowej przeważnie zasiadają naukowcy z Instytutu Filologii Polskiej UMCS oraz lokalni poeci.

I miejsce

Sebastian Popiołek-Szkućnik

Dobieraniec

Tu wszystko jest okej
Gdy szemrasz gdzieś na zewnątrz
Zaplotłem listy w warkocz
Taki ładny... dobierany

A teraz siadam sobie
Na kanapie w przedpokoju
I podziwiam ciągi liter
Pierwszy raz to dziś robiłem
Wybacz jeśli niezbyt równy

Pasma mogą się wymykać
Osunąć się mogą sploty
Jutro znowu się postaram
Może inny... Może lepszy

Za nas

Za tę ciszę, która jest
Za spojrzenia z ciemnych bram
Za brak serca gdy upadam
Za złe szepty kiedy łkam
Za nas wszystkich
I was wszystkie
Bracia moi
Siostry me

My to ogień, twarde pięści
My ci winni
My... sny złe
Za pogardę i tęsknotę
Przerażenie, kości trzask

Za to wino w zimne noce
Twoich papierosów smak
Za łachmany i za młodość
Wszystkie błędy
Blizny też

Za te wszystkie tatuaże
Za to życie
I za śmierć...
Za nas

Cognac i wosk

A gdybym tak...
Po prostu...
Odpuścił sobie
Pogasił światła
Zapalił papierosa
Zaśpiewał o tamtej
Napisał o tamtym
Ale woskiem...

Konieczniewoskiem
By oddać im cześć
I wyszeptał się tobie
O nich
O sobie
O wietrze, który
Nie daje mi spać
I burzy wspomnienia
Tak.

Zdecydowanie Cognac.
I wosk.
Cognac i wosk
W szary, szary dzień.

II miejsce

Małgorzata Stefaniak**Pustka**

W ciszy
która codziennie
zagląda przez kraty
słyszę tykający zegar,
głosy obcych ludzi
odległe stąd o cały
wolny świat...
i własny oddech
i przerażenie
i przyzwyczajenie...

zaciskam dłonie,
wściekłość,
chcę, aby znikła na zawsze
jak zmrózona mgła
nad zaspami śniegu
mojego pustego podwórka
w które ucieka to,
co pozostało z życia.

Na chwilę

Czas stanął w miejscu,
jak samochód na czerwonym świetle,
cały świat odsunął się na bok,
na skrzyżowaniu tylko ty i ja
i coś, co wykracza daleko poza cierpienie,
ból, strach, samotność
i brak nadziei na kolejny dzień.

...a jeszcze wczoraj ty i ja
pod grubym kocem
jak dwoje dzieci w zimne popołudnie,
pomiędzy nami spokój i radość,
i ta głupia pewność,
że wszystko może się zdarzyć...

Dlaczego

...A jeszcze kilka dni temu
nie wierzyłam wróżkom,
miałam gdzieś ten cały
totalitarny syf,
...a dziś modłę się do bogów
o spokojny i bezpieczny
jutrzejszy dzień.

Całą sobą czuję –
WIĘCEJ NIC NIE MOGĘ!
Więc siedzę i płaczę
a lzy takie ogromne
i taka złość we mnie,
kto dał prawa zadać światu
tak ogromny cios?
Boję się ...
zadawanych pytań – DLACZEGO
brzmi dziś bardzo groźnie,
nie odpowiem ci synku
po co spadła kolejna bomba,
czy może być sprawiedliwa wojna,
czy mała Sasza śpi w niebie
już bezpieczna i spokojna...

Potworny lęk nie pozwala spać,
chowam w dłonie twarz
w niby bezpiecznej celi,
tu jeszcze nie było bomb.

III miejsce

Paweł Koszela**Świat**

Drzewo bez korzeni
trawa bez zieleni
jabłko bez pestek
połamanym piórem
pustym kałamarzem
kleksami między wyrazami
poplątanymi literami
których sens rozumie gęś
ostrym krzykiem
pikantnym językiem
że nie tak
zbudowany jest świat
obrazem
białego dnia czarnej nocy
gdzie walka się toczy.

Most

Cichym szeptem, niesione powietrzem
 podaruj mi jutro cząsteczkę godziny
 znajdziemy klucze do bram Twojej samotności
 sama na środku mostu
 gdzie stoisz robiąc krok
 nie podpalaj go
 białe i czarne pola planszowej gry
 kośćmi rzucasz Ty
 chcesz krzyczeć to krzycz
 chcesz płakać to płacz
 zdejmij tę maskę tylko raz
 na końcu mostu Twojego
 rośnie drzewo
 splecione korzenie jego
 muzyką serca Twego
 dobrze ukrytego klucza
 Twojej bramy
 może tam się spotkamy
 w tej małej cząsteczce
 porozmawiamy raz jeszcze
 gdzie oczu blask
 nie zmieni czas
 groteskowego karnawału
 cuchnącego kanału.

Twój wybór

Zamknięta książka
 widokiem z okna
 drzewa którego nie ma
 huśtawki
 gdzie leżą porozrzucane zabawki
 jest betonowa ulica
 niemająca nic do ukrycia
 na końcu betonu
 jest droga do domu
 teraźniejszego przyszłego
 miejscem na Twoje drzewo
 farbą huśtawki koloru
 sztuką Twojego wyboru.

wyróżnienie za zestaw wierszy**Lesław Stafiej****Pisanie na kolanie**

Długopis, biała kartka, ugięte kolana.
 Jakaś twarda podkładka,
 litery co się szykują do skoku.
 Cisza gdzieś w myślach ulotnych skąpiana.
 Zaduma.
 W moje palce spływa dziwny spokój.

A gdy się kartka do końca zapełni,
 myśli moje zamykam kropką, czasem wielokropkiem,
 po którym nawet „okamgnienie” trwa tak długo, jak zechcę.
 Możesz to traktować poważnie,
 lub z przymrużonym okiem.

Na koniec tytułu szukam wśród spisanych treści.
 A gdy do głowy nic mi nie przychodzi,
 odkładam długopis, kartkę, odsłaniam zasłony
 i szukam natchnienia... w Tobie.
 Może mi się przyśnisz?
 Jestem Ciebie spragniony....

Listy jeszcze nienapisane

Przylatują do mnie we śnie.
 Ogrzewają.
 Wspominasz w nich o tym, co się zdarzyło,
 gdy niebo skowronkami zagrało.
 Akacje sywały srebrem.
 Lipy miodem słodziły.
 Ryż się gęsto sypał,
 a grosikowy dywan, wiatr układał nam pod nogi.
 W naszych oczach odbijało się niebo chabrowe.

Tak...
 – To było WTEDY...
 Zapytasz – „co?”

– WSZYSTKO –

Przylatują do mnie we śnie
 listy jeszcze nienapisane.
 – Wiem z nich, że w Twoich oczach,
 tak niezapomnianych
 coraz mniej nieba,
 ptaków rozśpiewanych...
 A coraz więcej ziemi,
 słów z obcością zmieszanych.

Zbieram te zbłąkane słowa.
Te okrucy wyżebrane,
niewyżebranej czułości.
Zbieram je na kolanach, jak ślepiec.
I płuczę je we łzach...

To już nie sen...
Spytasz teraz „a co?”
Wszystko Kochana.

– WSZYSTKO –
...

Grudzień .
Idą Święta

100 łez

Sto łez, sto łez.
Stukot kół na kolejowych szlakach,
myśli goniące gołębie pocztowe.
Poślam je do Ciebie...
– Nie wróciły

Sto łez, sto łez.
A każda jak czarny diament
– piękny, lecz trudno się nim cieszyć.
Spadają nocą w głęboki sen.
Budzą tęsknotę i żal.

Sto łez, sto łez
A każda jak uciekający czas,
jak bicie serca, które krwawi.
Kolejne zachody i wschody.
– To już osiem lat...

Sto łez, sto łez
Pełen kielich słonej goryczy.
Niekończący się strumień nadziei,
szum wodospadu zagłuszający myśli.
Czy nas kiedyś połączy?

Sto łez, sto łez
Zbieram je dla Ciebie.
„Muszelkowa” szkatułka wypełniona po brzegi,
składam ją w srebrnym kuferku.
Czy zdążysz go z rąk moich odebrać?...

wyróżnienie za wiersz

Maria Goniewicz

„Next shot, she's hot”

a gdyby tak zrobić to inaczej?
nie zbieram znaczków jestem kolekcjonerką
znaczeń. no nie wiem, mającę nie masz tego
w planach na ten tydzień, na ten miesiąc, na
ten rok. natychmiast stop. tak właściwie to
do czego mierzam? zrobić to z tobą? no co ty,
nie zamierzam.

nie zamierzasz udawać trzeźwej.
jak boga nie kocham, lepiej weź wiej, uciekaj
się pod moja obronę – gdzie rośnie ten pieprz?
lubię pikanterię. możliwe że ty też. Wiesz, dużo
się zmienia. tę noc dopisz do mojego rachunku
sumienia. już się ściemnia, mała, odstaw picie.
a gdyby tak zrujnować sobie życie.

wyróżnienie za wiersz

Jakub Śpiewak

Proza

Chciałbym
pozmywać albo wyprasować
jak bardzo mi
ciebie nie ma

gdybyś tylko mogła
usłyszeć to
w hałasie słów
wypowiedzianych niepotrzebnie
miłość
pisze się prozą.

wyróżnienie za wiersz

Jacek Nowodworski

W lustrze weneckim

Spoglądam na własne życie,
– niby moje
niby obce;

– bliskie
odległe;
– radosne
smutne;
Makijaż uśmiechu mima
na zboląlej duszy.
Pragnę dotknąć,
posmakować,
współodczuć.
Na nowo poczuć
nerw życia.
...w zamian czuję
chłód lustrzanej tafli.

wyróżnienie za wiersz

Paweł Dylong

Jestem tu

...Jestem tu
gdzie powietrze gęstsze
gdzie to słońce nie dociera
noce są mroźniejsze
i dziwnie pustka doskwiera
Jestem tu
gdzie bluszcz stalowy
z betonu parkan odziewa
gdzie brama wjazdowa
rzadko sobie ziewa
Jestem tu
gdzie setki takich jak ja
żyje całkiem samotnie
gdzie w oknie krata
dumnie pręży swój oręż
Jestem tu
gdzie miejsca brak
a wciąż nas przybywa
gdzie obcy nam żal
a jednak lży niejeden skrywa
Jestem tu
gdzie młyn pułapek czyha
w umyśle słów labirynt gniecie
gdzie złości wciąż ta pycha
i męczy to życie w stresie
Jestem tu...

wyróżnienie za wiersz

Sebastian Szelejewski

Zakład Karny Wronki

Zakład Karny Wronki,
to prawda nie mrzonki,
gdy tu przyjechałem
prawie oszalałem.

Zakład Karny Wronki,
ciągle słysząc dzwonki,
dwa po dwa nadają
wszyscy się chowają.

Zakład Karny Wronki
nie zjesz tu golonki.
Na obiad tu pomyje,
nie wiem czy przeżyję.

Zakład Karny Wronki
mają tu „ochronki”.
Mają też i „eski”,
dla pełnej profeski.

Zakład Karny Wronki
i Amica Wronki
obok siebie stoją
więźniów tylko doją.

Zakład Karny Wronki
więźniowie to pionki.
Ich głos się nie liczy,
chodzą jak na smyczy.

Zakład Karny Wronki
prawo tu to mrzonki.
Gady władze mają
więźniów okradają.



Jan Henryk Cichosz



Dwie książki o granicach

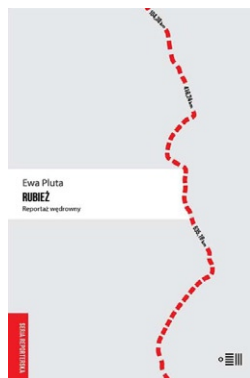
Nie będę ukrywał, że oprócz poezji często sięgam po książki historyczne i reporterskie. Do tych ostatnich bez wątpienia należą dwie ostatnio przeze mnie przewertowane. Pierwsza z nich to „Tak blisko, tak daleko” Krzysztofa Potaczały, który w piękny sposób opisał Bieszczady po drugiej stronie granicy, które przed 1939 rokiem, podobnie jak i Rostocze, w całości znajdowały się na terenie Polski.

Krzysztof Potaczała w swoich jakże poetyckich, a zarazem bolesnych reporterskich wędrowkach odwiedza zapomniane i już nieistniejące miejscowości, które z wielkim trudem i tylko dzięki dokładnym starym mapom odnajduje. W małych miejscowościach, które przed wojną tętniły turystycznym życiem, rozmawia z Ukraińcami i Polakami. Są to w większości rozmowy wypełnione bólem i niewiarą, radością i nadzieją, chociaż tej ostatniej jest najmniej. A to wszystko za sprawą tego, że została politycznie skrzywdzona kreskami granic, które dla zamieszkujących te tereny Polaków, Rusinów, Żydów, Łemków, Hucułów i Bojków były płynne.

Krzysztof Potaczała zapisuje nie tylko to, co obecne, lecz także to, co przeminęło w przepastnym czasie, odwołując się przy tym do historycznych źródeł zapisanych przez tych wszystkich, którzy przed nim przemierzali i tu mieszkali, tą dziką, acz przepiękną krainę.

Zupełnie inną książką, chociaż nie do końca, jest „Rubież” znanej młodej reportażystki Ewy Pluty. Autorka przed wyruszeniem pieszo po wschodnich rubieżach Polski, z wielką starannością wczytywała się w dostępne materiały i mapy graniczne. A później, wędrując od Suwalszczyzny aż po kres Bieszczad z wielką uwagą i wrażliwością przyglądała się tym stronom, próbując pojąć i zrozumieć tzw. przygraniczników. A to wszystko, co zobaczyła, usłyszała, powąchała i dotknęła w iście przepiękny sposób zapisała. I tak oto zrodziła się jeszcze jedna reporterska książka, która w polskim piśmiennictwie znajdzie należyte miejsce.

Jan Henryk Cichosz



Ewa Pluta „Rubież”, Wydawnictwo Dowody na Istnienie, Warszawa 2022, ss. 272.



Krzysztof Potaczała „Tak blisko, tak daleko”, Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2022, ss. 424.

Lucjan Cimek

Nie tylko dla koneserów



Zapraszając Czytelnika do zagłębienia się w tematykę przedwojennych barów, kawiarni i restauracji Warszawy, należy podkreślić, że od wieków zajmowały one szczególne miejsce w historycznym krajobrazie tego miasta. Dowodem na to są liczne ryciny, szyldy, reklamy, anonse prasowe, czy też bogate kroniki policyjne ukazujące życie towarzyskie stolicy od początku XX wieku, aż do zakończenia II wojny światowej. Trzeba koniecznie zaznaczyć, że ówczesna Warszawa była szóstym miastem w Europie pod względem ilości lokali gastronomicznych. Dbano o wystrój tych najlepszych, był częścią poszukiwania osobistego stylu ich właściciela. W podrzędnych knajpach było obskurnie.

Z monografii obejmującej lokale z czterech głównych ulic Warszawy, możemy się dowiedzieć, gdzie życie towarzyskie bujnie kwitło, gdzie występowały najlepsze kabarety i kto zarządzał biznesem, często powiązanym z półświatkiem. Restauratorzy ciągle poszukiwali nowych wytwornych dań z różnych stron świata. Podczas wyrabiania cocktailów, do mieszanki alkoholi dodawano aromatyczną esencję, która pobudzała zmysły i była tajemnicą barmana. Przy ich serwowaniu kierowano się nie tylko ceną. Istotnymi kryteriami była nazwa, pochodzenie, jakość i skład, sposób podania oraz wpływ na towarzystwo, które lubiło się zabawić, nie zważając na kryzys.

Tego wszystkiego i nie tylko, dowiemy się z pięknie wydanej książki pt. „Warszawskie przedwojenne restauracje, bary i kawiarnie” (2022), autorstwa Bartosza Paluszkiewicza, który w tym temacie całkowicie zasłużył sobie na zaszczytny tytuł: *Primus inter pares*. Ponieważ dzieło, które stworzył, zainteresuje historyków, socjologów, badaczy kultury i obyczajów, a nawet zwykłych zjadaczy chleba. I w tym jego zasługa.

Twarda oprawa, dobra jakość papieru, wyraźny druk, przystępny język, wszystko to sprawia, że książki tej nie można odłożyć na półkę.

Lucjan Cimek



Bartosz Paluszkiewicz, *Warszawskie przedwojenne restauracje, bary i kawiarnie*, Wyd. BookEdit, Kielpin 2022, ss. 400



Artur Daniel Liskowacki

Wróble w Krasnymstawie

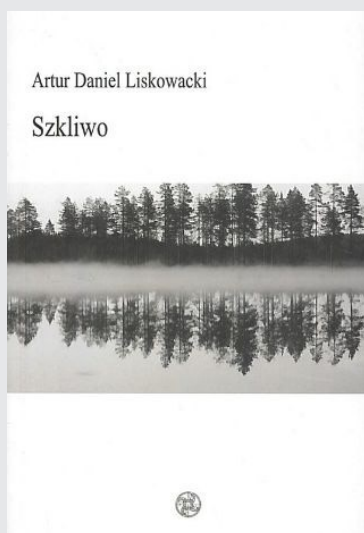
Furkot, trzepot. Nagle biją w okno
małe kłębki pierza. Cztery serca,
cztery dzioby. Skąd tu wróble,
nie ma ich od dawna przy ulicy
Okrzei, który rzucił bombę
w cyrkuł i dostał się
do cytadeli, a one chcą tylko
do domu za szybą. Rano

W Krasnymstawie, są razem,
ale każdy próbuje się dobić
w swoim imieniu. Czesiek,
Edek, Renia i. Mówi Basia,
najmłodsza z domu
Maj. A kwiecień taki słoneczny
przed oczami tłucze się puls

szarych ptaszków. Wiem, to ty,
Dana. Czwarty wróbel. Już
wiem, mówi Basia, najmłodsza
siostra. Chodź tutaj, no chodź tu
do nas, do okna, dotknij szklanej

ściany, która pęka teraz
od światła. Na wlot i wylot.

Piotrowi Szewcowi



Artur Daniel Liskowacki, „Szkliwo”, wyd. kwartalnik „Topos”, Sopot 2021, ss. 70.

Jadwiga Demczuk

Rozmowa z poetą Janem Henrykiem Cichoszem



Jadwiga Demczuk: Heniu, spotykamy się od czasu do czasu, zwykle na długość kilku zdań. Mówisz wtedy niewiele, wolisz słuchać. Jednak w 2009 roku udało mi się przeprowadzić z Tobą rozmowę opublikowaną w czasopiśmie „Kozirynek”, w której na zakończenie powiedziałeś, że i tak dużo mi o sobie opowiedziałeś. Przy okazji dzisiejszego spotkania rzeczą naturalną będzie powrót do przeszłości. Jesienią 2022 roku minęło 50 lat od Twojego debiutu poetyckiego w „Zielonym Sztandarze”, w kwietniu 2023 roku minęło 48 lat od debiutu w ogólnopolskim czasopiśmie literackim „Kamena”.

Wróćmy do 1972 roku. Przypomnij okoliczności powstania wiersza debiutanckiego „Wiejski cmentarz” i opowiedz, jaki wiersz ukazał się w „Kamieniu”.

Jan Henryk Cichosz: W tamtym czasie cmentarz w Gorzkowie wyglądał zupełnie inaczej, ponieważ w większości na grobach były drewniane krzyże i ziemne mogiły, na których chybały się na wietrze płomyki w glinianych zniczach. I to wszystko, szczególnie o zmroku, tworzyło niesamowity plastyczny obraz. Warto wiedzieć, że tym wierszem, trochę wcześniej, zadebiutowałem w pierwszym programie Polskiego Radia. I o ironio, ten wiersz później zamilkł, bo trudno go szukać w jakimkolwiek moim tomiku czy antologii z moim udziałem. A w „Kamieniu”, wiosną 1975 roku, w dodatku zatytułowanym „Zapole”, który był redagowany przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, wydrukowano mój wiersz „Kończ sen”, który został wcześniej nagrodzony podczas II Lubelskiej Biesiady Literackiej.

J.D. Pierwszą Twoją książką poetycką była „Pielgrzymka” wydana w 1983 roku czyli 40 lat temu. Czy pamiętasz emocje, które towarzyszyły Ci, kiedy wzięłeś do ręki swój pierwszy tomik poezji?

J.H.C. Tak naprawdę „Pielgrzymka” ukazała się dopiero na początku 1984 roku. Czy były emocje? Może nie emocje, a tylko wielka radość...

J.D. Cofnijmy się teraz do czasów Twojego dzieciństwa i młodości. Jak wyglądał Twój dom

rodzinny i jakie wartości wnieśli Ci ludzie, którzy Ciebie wychowali?

J.H.C. Miałem dwa domy. W pierwszym, który wówczas miał prawie sto lat, urodziłem się. Gdy miałem dziesięć lat przeprowadziliśmy się do nowego domu pachnącego żywicą. Obecnie w tym domu już nikt nie mieszka. Tato, który bardzo ciężko pracował, zawsze znajdował czas, aby pięknie opowiadać nam o historii i miejscowych zwyczajach. Mama, też ciężko pracująca, czytała nam książki, szczególnie bajki. I to był prawdziwy artyzm!!! Zdarzyło się tak, że prawie przez rok wraz z bratem byliśmy jej uczniami...

J.D. Zajmujesz się nie tylko poezją. Pisziesz teksty publicystyczne, tworzysz też inne formy literackie, fotografujesz, jesteś animatorem życia literackiego w Krasnymstawie. Opowiedz o swojej codziennej działalności.

J.H.C. W moim wieku, jeśli da Bóg to 1 lipca skończę 74 lata, zupełnie inaczej ogląda się i podgląda otaczający świat. Tej działalności, o którą pytasz już jest jak na przysłowiowe lekarstwo. Obecnie współpracuję z kwartalnikiem „Nestor”. Od czasu do czasu napiszę nowy wiersz... i te nowe wiersze ukażą się we wspomnianym „Nestorze”. Ponadto w „Akencie” (nr 2/2023) są moje wiersze, a jesienią także w elitarnym miesięczniku, jakim jest bez wątpienia „Twórczość”. Udało mi się napisać kilka reportaży, lecz to już dawne czasy. Najbardziej przeżyłem reportaż zatytułowany „Tato, zrób mi białą trumnę” o zastrzeleniu przez UB młodego chłopaka, jakim był Jurek Lisek z Wiśniowa. Zginął on 17 stycznia 1948 roku w wieku 21 lat na ul. Cichej w Krasnymstawie. Dostałem do jego ojca, który przez wiele lat przechowywał zakrwawioną koszulę i marynarkę, w której widać było wlot śmiertelnej kuli. A fotografowanie? Niemalże nigdy nie rozstaję się z moim skromnym aparatem, aby zatrzymywać i utrwalać ułamki sekund upływającego czasu. W większości są to krajobrazy z Lubelszczyzny. Na moim internetowym profilu w witrynie Krajobrazy Polskie mam ponad 100 tysięcy wejść. Obecnie zbieram zdjęcia do wystawy zatytułowanej „Od tyłu”...

J.D. Nie ma w Twoich wierszach patosu, brudu i nienawiści do świata. Można odnieść wrażenie, że każda chwila, każdy napotkany człowiek czy spotkanie z przyrodą jest dla Ciebie inspiracją...

J.H.C. Nie jest tajemnicą, że bardzo lubię rowerowe „włóczęgi”, w trakcie których nie raz i nie dwa rozmawiam z przypadkowo napotkanymi osobami. Pamiętam jedną z takich rozmów. Wracałem, bardzo zmęczony z okolic Grabowca i postanowiłem na chwilkę odpocząć przy kościółku w Małochwieju Dużym. I wówczas zobaczyłem starowinkę, który kosił trawę. Podszedłem i zapytałem, czy mogą pomóc. I ja kosilem, a starowinka opowiadał mi o I wojnie, o rewolucji w Rosji i o tym, że rozmawiał z Leninem, a podczas II wojny, jak cudem ocalał wraz ze swoją rodziną...

J.D. Jesteś wierny poezji pół wieku. Czy warto być poetą w dzisiejszych czasach?

J.H.C. Zawsze jest warto być poetą. Ja wiem, że bez poezji można żyć, lecz z poezją o wiele piękniej...

J.D. Jan Henryk Cichosz – świadek współczesnego świata. Co Cię w nim zachwyca, a co niepokoi?

J.H.C. Odczytywanie świata jest wielce fascynujące. Do tego potrzebne są Biblia i bajki braci Grimm, i dzieła wielkich myślicieli. Zrozumienie, czy też próba zrozumienia świata jest rzeczą skomplikowaną, ba... wręcz niewykonalną. Już zaczęliśmy żyć we współczesnej Wieży Babel. Gdzieś po drodze zepchnęliśmy do przysłowiowego lamusa niemalże wszystkie autorytety. Za naszym cichym przyzwoleniem zastąpiliśmy ich, wszystko wiedzącymi celebrytami i politykami.

J.D. Dziś możesz pochwalić się sporym dorobkiem literackim. Który wiersz lub tomik poezji jest Ci najbliższy?

J.H.C. Bez wątpienia są to „Stacje” i z tego tomiku wiersz „Stacja Chwila”:

*Kobieta nabrała w gliniany dzban źródlanej wody
I uniosła go na wysokość rozkołysanych bioder.
Nad jej głową biały obłok przystanął i frunąca
W drodze do ula pszczoła*

Dlaczego ten, a nie inny? Otóż dlatego, że tym wierszem chciałem pokazać, ukazać, piękno życia. Jest źródłana woda, a więc czystość, kobiece biodra, które przynoszą nowe życie, niebo i pracowita pszczoła.

J.D. Opowiedz o swojej współpracy z radiem (chodzi mi między innymi o audycję, w której tak pięknie opowiadałeś o ziemi kraśniczyńskiej).

J.H.C. Kilka lat temu prowadziłem bloga, na którym zapisywałem to wszystko, co mnie fascynowało i złościło. Jeden z wpisów był o Pniakach, niemalże opustoszałej maleńkiej wsi. Tak się zdarzyło, że o tym przeczytała Agnieszka Czyżewska-Jacquemet z Radia Lublin i zaprosiła mnie do uczestnictwa w tym reportażu. Jednym z piękniejszych reportaży. A ja, oprócz użyczenia swojego głosu, zrobiłem w tym czasie kilka fajnych zdjęć.

J.D. Szukamy ciągle „niezwykłości”, a tu wystarczy „zwyczajność”, której piękna i tajemnicy nie dostrzegamy. Jak uchwycić esencję życia, żeby powstał wiersz dojrzały, szczery i poruszający czytelnika?

J.H.C. Należy tylko żałować, że mamy zaledwie kilka zmysłów, którymi możemy rozpoznawać świat. Może dlatego człowiek ciągle coś wymyśla i do czegoś dąży. Moje poetyckie zatrzymania są niezmiernie ważne, albowiem tylko w chwilach niemalże zupełnej ciszy i bezruchu widać i słyszać to wszystko, co nam niespostrzeżenie w pośpiechu umyka. Te na pozór jakże maleńkie, wydawać by się mogło, drobnostki...

J.D. Jeden z ulubionych wierszy, ale nie swojego autorstwa (*tutaj proszę o tekst i autora*)

J.H.C. Jest to wiersz „Długie życie” amerykańskiego poety Kennetha Rexrotha (1905-1982) w tłumaczeniu Czesława Miłosza.

*Długie życie,
Miejsca i ludzie,
I kryzys ludzkiego gatunku.
A co zostaje? Kryształ
Nieskończenie drobny
Wielki nieskończenie. – ...*

J.D. Heniu, na koniec naszej rozmowy, jeśli pozwolisz, przytoczę wiersz przepiękny, niezwykle głęboki i bliski każdemu, kto weźmie do ręki tomik poetycki „Stacje”, otworzy go na stronie dziesiątej i przeczyta „Czas”:

*Przytł się
bo za chwilę
będzie długa noc*

*i ptak wtulony
w konar mroku
zamilknie na amen.
Później/ już tylko
ktoś następny
z białego jak śmierć
prześcieradła
wyciągnie
nitkę przeznaczenia.*

J.H.C. Tak, masz rację, bo to jest bardzo dobry i bardzo głęboki aż do trzewi wiersz o ludzkim istnieniu...

J.D. Dziękuję za rozmowę i życzę, aby każdy nowy wiersz wnosił w życie Twoich czytelników wiele wzruszeń.

Rozmawiała Jadwiga Demczuk

Jan Henryk Cichosz

Czas pokory

Przyszli z koszami na owoce
a drzewa jeszcze w strachu
przed porodem... więc usiedli
pokornie w ich cieniu
i pałac skrzyty słuchali
jak czas szeleści
i zmęczeni zasnęli...
I przyśnił im się Raj
pełen złotych jabłoni
i stary pochylony Bóg
z kosturkiem...
I narodził się
Nowy Dzień
z jabłkiem w dłoni...



fot. Jan H. Cichosz.

Jan Henryk Cichosz

Przerwany rejs

Pamięci Edwarda F. Cimka



Łódź którą płynąłeś przez przepastne przestrzenie
stoi teraz niema u brzegu pełna nadziei
na powtórny rejs, tak jakby nie było
początku i końca. Obok niej na tablicy czasu
starannie zapisane litery zamknięte w nawiasach
chcą na nowo otwierać słowa...
Jeszcze tylko chwila... i dzbany pełne młodego wina
obrosną mchem.

Na rozstajach

Ktoś na rozstajach dróg z mapy przybitej do drzewa
starannie powykreślał pierwsze i ostatnie drogi i ścieżki
I nic tu nie pomogą kartograf i zegarmistrz, którzy
z wielkim namaszczeniem pochylił się nad wskazówką
czasu

A obok oniemiały i bezradny listonosz pogubił
wszystkie adresy i błądzi z listami pierwszymi i ostatnimi
bezzadnie rozkładając ręce...

Kilka chwil w oknie

Za moim oknem pociąg relacji Zamość-Lublin
z kilkoma pasażerami, a za chwilę przejedzie
towarowy z czterdziestoma wagonami węgla
z Bogdanki do elektrowni w Polańcu. Teraz
ulicą idzie dwoje staruszków dźwigając
torby z zakupami i rurę do tzw. „kozy”.
W pośpiechu mija ich dziewczyna w kurtce
podszytej wiatrem z błyszczącym smartfonem.
Do mojej skrzynki listonosz wrzuca list.
...czas na herbatę

Deska

Z deski którą heblował mój Ojciec
Chciałem zrobić półkę na książki lecz obawiałem się
że utraci resztki potu. Pamiętam jak pochylał się
nad nią z wielkim heblem, a pot ściekał w coraz
gładszą powierzchnię i wpisywał się w każdy słój.
Owinąłem ją szczelnie białym płótnem, bo takiej
drugiej już nie będzie...

Dziwny sen

Śniło mi się, że byłem w kościele, który pachniał
kwitnącymi lipami, a mój Ojciec pachniał żywicą
i coś pisał palcem na sklepieniu pełnym dziwnych
malowideł
i mówił coś do mojego brata językiem którego jeszcze nie
znam
Obok matka cała w modlitwie pachniała poziomkami
Które przed chwilą zrywała dla mnie na skraju głębokiego
wąwozu
Za organami siedział ubrany w łachmany poeta Stanisław
Bojarczuk
i przepięknie grał op. 9 nr 2 Fryderyka Chopina.
Ja stałem pośrodku tego wszystkiego, wpatrzony i
wsluchany
jeszcze z wieloma pytaniami na które coraz częściej
nie umiem sobie odpowiedzieć

Jadąc na rowerze

W maleńkiej wiosce dziewczyna z chłopakiem
siedzą w przydrożnym rowie pochyleni nad mapą
Ona palcem wskazuje na pobliski sad
pełen złotych jablek, a on zapatrzony
w jakiś punkt na mapie zakreśla go starannie
tak jakby to miało być wrzecionem ich czasu...
Mijam ich zmęczony długą jazdą... i do dzisiaj
Nie wiem, którą wybrali stronę świata...

W środku wiersza

Stoję w środku wiersza – nie tu i nie tam –
tak jakby ktoś wyrębał z mapy wszystkie
przydatne znaki. Z lupą w ręku uważnie
przyglądam się każdej literze zapisanej
przed i po kropce, tak jakby to miało
zbawić mnie i cały świat...

Wojciech Bieluń (Targosz)

Poziomy złożoności



1

Mówienie na głos pomagało mi myśleć rozsądnie. Było częścią sprzeciwu, odmowy za-właszczenia pierwszej wypowiedzi. Od kiedy pa-miętam, zawsze to ja miałem prawo pierwszego i ostatniego słowa. Tak wskazywała moja wiara w gwarancję porządku, w nadzieję, że przekaz ot-worzy się na sygnał, a nie odpłynie po chwili jak dym po fajerwerkach. Takie sygnały jedni przykry-wają gadulstwem, drudzy czekają na sytuację, któ-re mają się pojawić. Ja żyję w iluzji wyczekiwania. Taki właśnie jest człowiek, nieprzewidywalny, inte-ligentny i głupi. Nieudacznik, któremu nie wyszło naruszenie kruchej równowagi.

Szarość, monotonia, wyuczona samotność stała się koniecznością. Umysł nie potrafił zdra-dzić samego siebie, ponieważ jego ciąg myślowy był stały. Nie sposób było obejść to kim jestem. Gdybym nie był w stanie kontrolować swoich od-ruchów, strach nie pozwoliłby mi żyć. Widziałbym tylko stare marzenia. Kropka. Dzisiejszy świat jest do-lujący, wszyscy wtykamy nos w cudze sprawy. Balansujemy między światem zewnętrznym a we-wnętrznym i bardzo trudno jest zarządzać własny-mi emocjami, czy osobistą wersją historii, mając na uwadze jeden szczegół. Wolna wola to iluzja. Przywiązujemy się do najgorszego zachowania. Nie zwracamy uwagi na ukierunkowanie czy kon-sekwencję, bo nikt nie pyta o prawdę. Liczą się tyl-ko fakty. Zastanawia mnie, gdzie podział się luksus dystansu.

2

Czasem tęsknię za wiarą, że gdzieś tam za horyzontem nieudomówień jest ktoś, kto słucha, ktoś, kto sprawia, że łatwiej pozbierać rozproszo-ną uwagę. Przekonuje świat powstały z próżni do przekierowywania strumieni dźwięków, bo jeśli ludzie ich nie usłyszą, nie odbiorą, na marne pój-

dzie próba mocy, którą trzeba przejść, maszerując własnym tempem. Jesteśmy łańcuchem cieni wychodzących od zawsze na scenę z tym samym bagażem miłości, nienawiści, żądzą przemocy. Potrzeba nam czasu do przemyślenia prawidłowości celu, nie martwiąc się tylko o zadanie, które trzeba wykonać.

Tak wygląda dojrzałość. Polega na akceptowaniu życia takim, jakim jest, bez szarpaniny czy uciekania od swoich wymagań. Czas mija, człowiek dojrzewa buntuje się przeciwko ojcom, choć żadna obca religia go nie więzi. Nie ma związku, nawet z tą przystrojoną w czcze bzdury próbującą zastąpić całe uniwersum. Nie są po tej samej stronie morza.

3

Zatrzymał mnie moment. Migotliwy potok nieskończonego prawdopodobieństwa, którego szukałem pośród nieznanymi słów jak drogi do ważnego punktu. Znaku nieokreślonego żadnym kierunkiem, żadną zapowiedzią na przyszłość. Tym samym, zrozumienie mojej wrodzonej skłonności do samotności było trudniejsze, nie potrafiłem opisać czegoś, co mogłem zaszufładować. A będąc autorem, wkładałem w to wszystko, ciągle słysząc: jutro, jutro, jutro. Powtarzane wersje widzenia zacierały ślady, zaciemniały przestrzeń.

Byłem w potrzasku albo stałem na rozdrożu w ciasnym kółku od dnia do dnia, aż do ostatniej zgłoski czasoprzestrzeni. Rzeczywistość była naprawdę szalona. Telebimy, kolorowe reklamy, hasła, okrzyki. Istne królestwo groteski. Mój umysł, był na tyle potężny, że łączył przestrzeń i czas, przyszłość i przeszłość. Miałem też sny dające dobre historie, ale to, co dla mnie wydawało się ważne, działo się na jawie. W takich chwilach rozum krzyczał, bym nadał bieg sprawie a wszystko się ułoży, stanie się częścią powstającego planu. Przeszkodą były stare wspomnienia, które autoryzowały ciszę, ale pozostałe rzeczy były klarowne. Do rozwiązania nie był problem tajemnicy, ale rzeczywistość, której miałem doświadczyć.

4

Kiedy dotarłem do krawędzi Nieokreślonego, nie stwarzało pozorów bycia w moich oczach. Przekonywało jedynie do tego, że życie jest niezależne od codziennej strategii. Istniejesz, czujesz, myślisz. Niektórzy wręcz twierdzili, że Nieokreślone, to jakby niewyobrażalne zero, nieobjęte wzrokiem, pytaniem czy umysłem. Niedające się tworzyć słowami, bo nie przypisano do niego liter. Ani małych, ani dużych. Ani żadnego szyfru, czy kamiennych tablic. A jednak było w nim coś, co stało mnie w opozycji.

Nie chciałem walki ani krwi, chciałem jedynie poznać litery nowego alfabetu, nazwy nowych planet. Posiąść umiejętność dojścia do drogi, dokąd mnie poniosą oczy. Mój opór był miękki, nie było w nim miecza ani włóczni. Jedynym orężem była wiara w odliczanie uderzeń serca, wychodzenie z kamienia, szukanie celu. Zastanawiało mnie jedynie, czy znajdę ostateczne zrozumienie dla okrucieństwa i miłosierdzia. I czy jestem na tyle silny, bym je przyjął do mojego kodeksu.

5

Po przekroczeniu celu dążenia, pragnienie stawało się potrzebą wyboru spośród wielu, aż do tego ostatniego, które trwało jak migający płomyk. Zgasić mógł go tylko czas. Chciałem oddychać powietrzem spoza tego miejsca. W świecie, którego nie znałem, ale w miejscu, które mnie rozumiało, nie wątpiło, nie ograniczało. Widziało mnie takim, jakim chcę być, a nie jestem. Takim, jakim mogłbym się stać, a nie jakim się stanę. Żeby ogarnąć kim będę, potrzebuję chwili, która pozwoli mi zachować poczucie ważności albo długiego dryfu w obcej galaktyce.

Próba schwytania takiej chwili, mogłaby ją zabić. To jakby coś zadziało, toczyło się i było po wszystkim. Ale cokolwiek stanie się innego, może być gorsze. Najgorsze nie jest to, kiedy możemy powiedzieć, to jest najgorsze. Ale to, kiedy cały świat zamknie się w jednej chwili.

40

Zastanawia mnie, czy musiałem popełnić tyle błędów, aby dojść do tego miejsca. Zaczęło się to jak osobista podróż, ale gdy zacząłem wchodzić głębiej, zrozumiałem jak silny jest przekaz, że mogę w jakiś sposób pokonać własne doświadczenie. Być może żyję własnymi emocjami, obracam je w swojego najemnika, który pozwala mi przetrwać. Miałem wielkie oczekiwania, a musiałem nagiąć się do przeróżnych form życia. Obserwować je, by zrozumieć. Przedefiniować na własne warunki.

Ten świat składa się z doświadczeń, które raz opowiedziane roszczą pretensje do wszelkiego porządku i wszystko wydaje się działać pod ich dyktando. Wszystko im podlega, nawet poziomy złożoności zrozumienia. Nawet wypowiedane słowa. Jednak nie wszystko jest po mojej myśli, musiałem mocno obstawać za tym, że to uczuciom pozwalam prowadzić mnie przez świat.

41

Przyglądam się zdjęciom. Widzę w nich formę wizualnej poezji. Opowiadają historie od wewnątrz. Jej wieloczęściowość, wielofunkcyjność na poziomie przejrzystości i nieskomplikowania. Siła obrazu daje głos. Wyzwała poczucie, że jestem niewidoczny, ale pragnę przejść na drugą stronę. Wejść w ich krajobraz. Przypatruję się im, dostrzegam narracje o życiu i nie, w tym niczego obcego przebranego za swoje. Pojawia się opowieść, a ja wchodzę w jej przestrzeń. Jestem obecny, zaczytany, przyglądam się literom i martwię, czy je zapamiętam.

Nie przeszkadzam. Ludzie otwierają się, kiedy są bezpieczni. Wpatruję się w nich, dostrzegam wersje siebie i wydaje mi się, że te relacje są prawdziwe. Uwielbiał intymne chwile, kiedy ludzie są po prostu ludzcy. Kiedy się odsłaniają, ujawniają swoje sekrety, talenty. Żeby być kimś, muszę mieć talent, który wpłynie na moją przyszłość. Czasem mam poczucie obłąkania i widzę prawdy, które umykają.

42

Nie widzę już twojej twarzy. Nie sądziłem, że tak łatwo można zapomnieć czyjąś twarz. Znam wszystkie szczegóły, ale ich nie widzę. Pamiętam drobne zmarszczki przy każdym uśmiechu. Wtedy zawsze byłem bezbronny. Dokąd odeszłaś i co to znaczy być nieobecną. To było tak dawno, ale wciąż cię wypatruję w miejscach na pograniczu wizji, która rozsnuwa się nad stołem. Teraz prawie rezygnuję, bo nagle wiem, nie muszę szukać, wystarczy poczekać. Czekam, siedzę, zamykam oczy, wyczekuję znaku.

Uspokaja mnie myśl, że to nic wyjątkowego. Tak się zdarza. Pamiętam kolory farby na ścianach, miękkość dywanu pod ręką. Pamiętam, co mnie bawiło i niebo na równinie. Teraz jakby go było więcej, skupia w sobie obrazy, w których wszystko dzieje się równocześnie. Widzę też tropy przyszłych wydarzeń. Ten, kto umie czekać, wystarczy, że podniesie głowę.

43

Nie mam pewności, sprawiedliwość jest prosta, można liczyć, że dokonuje się sama. Zaczęłem o tym myśleć od momentu jawnego ogrywania sprawiedliwości, na wielu różnych płaszczyznach. Dla mnie ważne jest ujawnienie sprawy, publiczne udowodnienie winy. Dopiero potem dyskusja, krótka i rzeczowa, bo o czym tu dyskutować, kiedy przekręt jest ewidentny. Te śmieszne jałowe wywiady, korowody, że nadarzyła się okoliczność. Nie mają znaczenia, bo w oczach rozsądnego społeczeństwa, to po prostu święństwo.

Money, money, money. Rozmowy na ulicy wszędzie takie same, o Bogu, na co pozwala, o nazwiskach, znaczeniu najmniejszego zdarzenia i ciągle sprowadzanie dyskusji do swojej bezbronności. Kiedyś wmawiano mi, że w każdym człowieku znajdzie się jego dobrą stronę. Nawet w największym łajdaku. Każdy ma jakiś interes. Nie jest złem, że ludzie chcą dla siebie dobrze. Bo przecież za życia, myślimy tylko o życiu.

44

Bardzo trudno jest znaleźć pomysł na prawidłową drogę. Zawsze wydawał się blisko, ale umykała. Na początku, choć nie bardzo wiedziałem, że to był początek, droga prowadziła nisko. Z czasem coraz wyżej. Nie umiałem sobie tego wytłumaczyć, czułem, że Mount Everest jest przede mną. Moją podstawową zasadą było, gdy coś robię, chcę to zrobić porządnie. Wiem, że moje pisanie wydaje się niemodne, brakuje w nim śmiałości w kreśleniu tematu. Taki już jestem. Wchodzę w czarne drzwi na tle jasnego otworu.

Nie mam nic do ukrycia. Kluczową sprawą jest łączenie wszystkiego ze wszystkim i lina, którą trzymam od początku do końca. Początek i koniec to wielkie puzzle, nikt tego nie ułoży, kiedy przerzucają się mądrościami. Znam też rzeczy zewnętrzne i wewnętrzne. Zewnętrzne to pozór, żyje się w nim jak we śnie. Prawa tego pozoru biorę za prawdę, choć one nią nie są. Tak jak pisanie, dopóki tego nie napiszę. Wystarczy mi połowa obrazu, żeby wszystko wyjaśnić i wyjść ze snu.

45

Odczucie bycia tu i teraz, nie przedtem, nie potem, nie da się porównać z niczym. To jakby zdecydować się pozbyć kogoś ze świata. Nigdy nie mogłem tego zrozumieć. Nie mam prywatnej wiedzy, wiem tyle, co wszyscy. Wedle mojego rozumienia, to się nie godzi. Nigdy też nie powiem, to nie dla mnie, zamknąłbym się wtedy na wszelkie zbiegi okoliczności. Bo przecież wspinając się na wierzchołek drzewa, trzeba wchodzić gałąź po gałęzi. A stojąc na pierwszej, sprawdzić wytrzymałość drugiej. Osiągnięty sukces nie ma zapachu.

Kiedy się przyzwyczaisz, nie zauważysz go nawet. Zastanawia mnie, jakim przypadkiem tak się dzieje, skąd Bóg daje mi siłę, żebym ja zwykły człowiek, pozbawiony poparcia, wygłaszał swoje tezy. Mówią świat jest pełen negatywnej energii, ale to właśnie dzięki niej potrafię wytrwać. Być lepszym nie od innych, tylko od siebie. Nie chcę, żeby

oglądali się za mną, nie chcę należeć do żadnego środowiska. Chcę rozmawiać z każdym.

46

Kiedy ktoś mnie pyta, czego oczekuję od nadchodzących dni. Odpowiadam, przeżyłem życie, poznałem wielu ludzi. Wypełniałem przykazania, spełniałem dobre uczynki. Wiele się też nauczyłem i chętnie się tym podzielę. Dlatego jestem spełniony. Nie lubię o tym myśleć, jestem już seniosem. Mówienie nie zawsze trzeba zaczynać od tego, czego się nie lubi. Można mówić o tym, co trafia do nas z zewnętrznego świata, bo człowiek nie zna granic, kimkolwiek jest. Wszystko, co działo się w moim życiu było niezaplanowane.

Dlaczego tak się dzieje, nie wiem. Chcę to zrozumieć, wyrobić własną opinię. Czasem biorę się za coś z intuicją i przekonaniem, że zrobię to lepiej i przegram. Dla własnego spokoju koloruję historię, przekraczam cienką linię nieznomości. Wkląm się w opowieść, walczę. Lubie mieć historię, którą bym opowiadał. Testuję prawdziwość, trzymam się tej myśli.

47

Wierzę w słusność własnych instynktów, nie martwię mnie opinie innych. Robię, co mogę, by stać się, kim pragnę. Spisuję wszystkie swoje plany, wiem, słowa spisane zostaną zapamiętane na zawsze, nie pójdą w zapomnienie. Inaczej jest z obrazem, obraz to barwa i pustka, choćby był najbardziej jaskrawy i tak rozwieje się jak dym. Dostrzegam w tej myśli właściwe proporcje. W świetle wydają się inne. W mroku jaskrawość bladej, wyraźnie widać, co ukryte. Podobnie ma się rzecz z kosmosem.

Gdy patrzysz z góry, nie widać państwowych granic ani religijnych sporów czy etnicznych podziałów. Widać tylko jeden świat, który jest marzeniem. Czuję, jak przesuwa się do przodu, kiedy tylko podejmuję ryzyko. Planu na przyszłość mają skłonność do puszczanie wodzy fantazji, nie do-

strzegają problemów albo je bagatelizują. Tracą nad sobą kontrolę, a cena tego, co chcą osiągnąć, robi się coraz wyższa. Jeżeli moja poezja przyczyni się do zmiany czyjegoś życia, niech to zrobi. Bo każdy, kto do czegoś doszedł, daje przykład innym. Liczy się szacunek i podejdzie do życia.

48

Myśl, że każde życie ma jednakową wartość, towarzyszyła mi odkąd pamiętam. Nie jaśniej jednak miłością do siebie. Nie potrafię znaleźć miejsca na tym świecie. Starałem się być sprawiedliwy, trzymać swój zakres wiarygodności. Nie jestem też wyznawcą żadnej ideologii ani bywalcem przeróżnych kręgów. Skupiam się na świecie przedmiotów, nie wykazuję aktywności w otwieraniu się na ludzi, czy nachalnym poszukiwaniu swojego miejsca. Z biegiem lat dokładniej poznałem naturę ludzką. O poezji nauczyć się można z książek.

Z ludźmi jest trudniej, tu trzeba doświadczenia, a ja z wiekiem jestem mądrzejszy niż czterdzieści czy pięćdziesiąt lat wcześniej. To, co robię odzwierciedla moją pozycję. Do tego prowadzę stały tryb życia. Punktuję własne błędy, by uniknąć ich w przyszłości i nie próbuję zmieniać niczego.

49

Nie interesuje mnie odwracanie się od życia, stawianie na fochy. Moje teksty są niezamierzonym odbiciem mojego wizerunku, dotyczą stworzonej w wierszu postaci. Pisząc, zagłębiałem się w nią i nigdy nie odnoszę tego do siebie. Wczuwam się w sposób myślenia opowiadającego, ale jak magnes, przyciąga mnie to, że mogę w pewien sposób wyrazić siebie. Jak w każdym pisarstwie, po części autor jest w tekście, a cała reszta to wyobrażenia, a nawet domysły. Pisząc, staram się coś poruszyć, wyobrażenie, obserwację, nawet doświadczenie.

Wydaje mi się też, że sztuka polega na układaniu chaosu, przy czym puzzle to chaos, a potem dopiero jest obraz. Słowa widzę jako zbiór liter, nie dźwięk, nawet nie znaczenie. Wabi mnie ich brzmienie, harmonijność języka. Cieszę się jak dziecko z każdej zapisanej linijki, w której uchwyciłem to, co chciałem przekazać. To cudowne.

50

Czasem zadaje sobie pytanie, czy jestem poetą. Nie wiem, może to jeszcze przedwczesne stwierdzenie. Nie uważam tego za pewnik i nie stawiam kropki. Uważam, że nie byłoby to w porządku wobec bardziej znanych. Według mnie poezja, to esencjonalność. Wiersz powinien mieć początek, środek i zakończenie. Przedstawić myśl, rozwinąć ją i zakończyć i co najważniejsze, na końcu powinno się być w innym miejscu. Mój styl jest odmienny, piszę, co czuję. Nie znoszę fałszu, jest lepki i długo trzyma się podłoża. Staram się pisać dla siebie.

Kiedyś ktoś mi powiedział: pisz i daj czytać, pisz i daj czytać. Czytelnik musi wiedzieć, że z nim rozmawiasz i napisałeś tekst właśnie dla niego. Otwierasz czyiś umysł. Oczekiwanie wiąże się z napisanymi słowami, nie z procesem tworzenia. Teraz, gdy piszę, widzę ludzi, którzy mnie cenią, widzę swoją wartość. Wiele też oczekuję i to mnie stresuje. Nie muszę poszukiwać siebie, napisać muszę tylko coś nowego, czego jeszcze nie napisałem. To w moim wieku wymaga dużej odwagi.

Wojciech Bieluń (Targosz)

Jerzy B. Sprawka

Lot ponad czasem



Pamięci odeszłym już i żyjącym jeszcze Pisarzom myślącym po polsku

Minęło już sto lat zorganizowanej działalności Związku Zawodowego Literatów Polskich. Powołana przez wybitnego pisarza polskiego Stefana Żeromskiego organizacja nakładała na siebie szczytne cele egzystencjalne i wydawnicze. Trudności bytowe Polaków spowodowane rozdarcie Polski, trwającą przez 123 lata niewolą, następnie I wojną światową i zaraz po jej zakończeniu wojną polsko-ukraińską oraz prowadzoną równie wojną z bolszewicką Rosją, zmuszały do stworzenia zorganizowanego życia, znajdujących się w trudnym położeniu pisarzy polskich.

Powstała w Warszawie w połowie maja 1920 r. organizację ZZLP dopiero w roku 1935 uznano za zwierzchnią, pełniącą funkcję Zarządu Głównego. Wcześniej, niemal równocześnie obok Warszawy, powstały autonomiczne związki w Krakowie i Lwowie. Kolejno w r. 1921 powstał związek w Poznaniu, a później, w 1925 r. w Wilnie. Działające w tym czasie w Lublinie środowisko pisarskie nie było tak silne jak w wyżej wymienionych ośrodkach, jednakże 21 maja 1932 r. powołany do życia został Związek Literatów w Lublinie. Jego założycielami byli: Franciszka z Meyersonów Arnsztajnowa, Józef Czechowicz, Wacław Gralewski, Kazimierz Andrzej Jaworski, Józef Nikodem Kłowski, Józef Łobodowski, Antoni Madej, Bronisław Ludwik Michalski. Nieco później do związku przystąpili: Henryk Domiński, Witold Kasperski, Aniela Fleszarowa, Adam Galis i Konrad Bielski.

Wybuch II wojny światowej w 1939 r. dokonał niemałego spustoszenia w dobrze zapowiadającym się środowisku lubelskich pisarzy. Aresztowana przez Niemców Franciszka Arnsztajnowa wywieziona z Lublina ginie prawdopodobnie w utworzonym przez okupanta warszawskim getcie. Natomiast przybyły z Warszawy do Lublina Józef Czechowicz ponosi śmierć w walącym się budynku trafionym bombami podczas totalnego bombar-

dowania miasta 9 września. Śmierć nie oszczędziła także Henryka Domińskiego i utalentowanego poety Władysława Podstawki.

Jeszcze przed wybuchem wojny (1939 r.), staraniem zaangażowanego w działalność kulturalną ks. Ludwika Zalewskiego, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie i Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej ukazuje się „Antologia współczesnych poetów lubelskich”. W antologii zaprezentowano 15, mających już literacki dorobek uznanych twórców. Na kolejną tego rodzaju publikację trzeba było czekać prawie czterdzieści lat (dokładnie 37)¹. W słowie wstępnym do tejże antologii Stanisław Jan Królik pisze: *Inicjatywa wydania książki powstała w Kole Młodych przy Oddziale Lubelskim Związku Literatów Polskich. W pierwszym zamyśle miała to być „szkatułka”, zawierająca kilkanaście maleńkich tomików [...] (s. 18).* Jednakże dzięki wysiłkowi i życzliwemu wsparciu organów decyzyjnych mogło się ukazać dzieło, którego do dnia dzisiejszego nie można się powstydić.

Piszący te słowa uznał za właściwe, aby w maksymalnym skrócie przedstawić genezę powołania organizacji, która miałyby się zatroszczyć nie tylko o sprawy egzystencjalne pisarzy polskich, ale także o znalezienie wyjścia, które dotyczyły kwestii wydawniczych, należnych honorariów etc.

W trakcie stuletniej działalności Związku Literatów w Lublinie następowały bardzo trudne okresy, które można by podzielić na cztery, znaczące dla kraju wydarzenia historyczne. A więc:

Faza 1. to czas międzywojenny. Wspomniany wyżej rok i data dzienna (21 maja 1932 r.) formalne założenie Związku, trwający do września 1939 r.

Faza 2. to czas okupacji sowiecko-niemieckiej 1939-1944. Opór, z jakim wobec wroga stało się społeczeństwo polskie przejawiał się nie tylko w działalności zbrojnej, ale także w nie mniej bohaterskiej walce przeciwdziałaniu likwidacji kultury narodowej. Wymienię tu najważniejsze: tajne nauczanie oraz konspiracyjną działalność wydawniczą. Obok pism konspiracyjnych (gazetki, plakaty, nawet kennkarty), ukazywały się także tomiki wielu

¹ *Przebudzenie, antologia młodej poezji lubelskiej, wstęp, wybór i opr. Stanisław Jan Królik, Lublin 1976.*

młodych wybitnych poetów. Ze względów kronikarskich wymienię tylko kilku najwybitniejszych, o których pozostały znakomite utwory i pamięć: Tadeusz Gajcy, Leon Zdziśław Stroiński czy Krzysztof Kamil Baczyński. Ale byli również tacy, o których do dnia dzisiejszego poza historykami literatury nikt nie wie. Na myśli mam młodego podporucznika, uczestnika Powstania Warszawskiego poetę Józefa Szczepańskiego, autora wstrząsającego wiersza zatytułowanego „Czerwona zaraza”. Wiele wybitnych twórców taki rodzaj walki przypłaciło życiem.

Faza 3. to niemal czterdziestolecie działalności Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, obejmujące lata 1945-1983 z przerwą między 13 grudnia 1981 r. (stan wojenny) do 19 sierpnia 1983 r., kiedy to ZLP został rozwiązany. Staraniem zatroskanych ludzi pióra o dalszy los kultury polskiej przywrócono statutową działalność ZLP, w Lublinie już w listopadzie 1983 r. Prezesem został Tadeusz Jasiński autor kilku interesujących powieści. Położył on duże zasługi w rozwój literatury lubelskiej i w staraniach o poprawę egzystencji początkujących poetów.

Faza 4. to niemal pełne czterdziestolecie (1983-2023). W tych latach narastały trudności bytowe ludzi pióra. Zmieniające się składy zarządów musiały pokonywać piętrzące się problemy. Na początku lokalowe. Bezpardonowa eksmisja z obrosłej literacką legendą siedziby przy ulicy Granicznej 9 w Lublinie stała się początkiem wlokącego się do dzisiaj koszmaru bezdomności.

Wydawało się, iż władzom miasta i województwa istnienie znaczącej dla Lublina i Lubelszczyzny działalności LO ZLP jest zbędnym balastem, przysparzającym nie tylko problemów finansowych, ale i lokalowych. Nie wspomnę tutaj o ograniczonych możliwościach wydawniczych, czy też braku jakiegokolwiek propozycji dla utalentowanej młodzieży akademickiej, chcącej zaistnieć w przestrzeni publicznej.

Kolejni prezesi – Henryk Pająk, który bez entuzjazmu przejął „pałeczkę” kierowania Zarządem (1989-1995), Longin Jan Okoń (1995-1998) załamywali ręce, ale wspierani przez wytrwałych członków, robili, co mogli, ufni, że dla kultury słowa warto się poświęcić. Ten upór poskutkował tym, że wreszcie znalazło się pomieszczenie. Urokliwe,

jedyne w swoim rodzaju Stare Miasto wydawało się zbawczą oazą dla umęczonych bezdomnością lubelskich twórców. Należąca niegdyś do rodziny Arnsztajnow pięknie wyremontowana staromiejska kamienica, w której pomieszczeniach błąkały się duchy Czechowicza, Łobodowskiego, Gralewskiego i wielu innych lubelskich pisarzy wydawała się „Ziemią Obiecana”.

Za prezesury Longina Jana Okonia (1995-1998), którego pominięcie w tym miejscu byłoby grubym nietaktem. W murach szacownej kamienicy odbywały się liczne spotkania literackie. Szczególnie ważne było przyjacielskie spotkanie z pochodzącym z ziemi chełmskiej emigracyjnym poetą Wacławem Iwaniukiem. Wzruszające wspomnienia o środowisku lubelskich pisarzy i dziennikarzy, z którymi niegdyś współpracował red. Romuald Karaś, współzałożyciel jednego numeru dwutygodnika „Pod Wiatr”.

Prosząc o wybaczenie, pomnę inne ważne wydarzenia literackie, jakie odbywały się w tej siedzibie². W zmienianych co jakiś czas pomieszczeniach od parteru po strych, by... znowu znaleźć się na ulicy!

Kolejna eksmisja, która dała pożywkę dziennikarzom pisującym do lokalnej prasy codziennej. Spadło to na barki utrudzonego pracą w UMCS prof. dra hab. Stanisława Popka. Objął on przewodzenie LO ZLP w kadencji 1998-2002. Podczas najgorętszego okresu, jakim w Polsce są celebrowane Święta Wielkanocne wypadło się wynieść z dotychczas zajmowanego lokalu na poddaszu. Dokąd? Żadnych perspektyw. Działalność zmontowany na „wariackich papierach” kapitalizm. Nikogo nie interesował los pamiątek, wartościowych obrazów, które ucierpiały na skutek kolejnych przeprowadzek. Tym razem jednak rysowała się trwała bezdomność. Horror!

Profesor Stanisław Popek nie popadł w rozpacz. Często nachodził władze samorządowe, upominając się o godziwy lokal. Nachodził do skutku, znajdując sprzymierzeńca w osobie dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Miasta Jana Twardowskiego. Za jego wstawiennictwem znaleziono tymczasowe

² Zainteresowanych odsyłam do „Kroniki” prowadzonej przez LOZLP, gdzie można znaleźć opis wydarzeń upamiętnionych fotografiami.

pomieszczenie rupieciarnię w remontowanym aktualnie gmachu Centrum Kultury, gdzie złożono w depozyt związkowy „majątek”. Przez dziewięć miesięcy, od połowy kwietnia 2001 r. do lutego 2002 r. profesor Popek pełnił wszystkie funkcje, z jakich składał się Zarząd. Był prezesem, zastępcą prezesa, sekretarzem i skarbnikiem jednocześnie. Siedzibą tego niezwykłego Zarządu było prywatne mieszkanie profesora, na które przychodziła cała korespondencja, nie tylko służbowa.

Nieustępliwość w działaniu, wysoka asertywność to cechy, jakie dominują w osobie profesora, bądź co bądź psychologii. Znany, wysokiej klasy naukowiec dopiął celu. Mroźne grudniowe dni 2001 r. ocieplała ważna dla Związku wiadomość o przyznaniu literatom lokalu. Wkrótce przy pomocy kilku członków Związku dokonano przeprowadzki do pałacyku hrabiów Tarłów przy ulicy Dolnej Panny Marii 3, gdzie aktualnie miał siedzibę Wojewódzki Dom Kultury. Przyznane pomieszczenie należało dostosować do potrzeb, czym zajęło się kilka mieszkających w Lublinie osób. Byli to: prof. Stanisław Leon Popek, Marian Janusz Kawałko, Zofia Nowacka-Wilczek, Waldemar Michalski, Stanisław Andrzej Łukowski, Wojciech Próchniewicz i piszący te słowa Jerzy B. Sprawka³.

Zaprzysiężniony z literatami dziennikarz pracujący dla „Dziennika Wschodniego” Zbigniew Miazga ogłosił w tym dzienniku wszem i wobec: „Już nie bezdomni”⁴.

Dyrekcja zarządzająca całością WuDeKu⁵ i później Wojewódzkiego Ośrodka Kultury wykazywała dużą życzliwość w stosunku do Zarządu ZLP, udzielając nieodpłatnie sal na potrzeby organizowanych przez Związek imprez kulturalnych, takich jak: promocja książek, spotkania świąteczne i rocznikowe.

W trakcie wyborów 2002 r. wyłoniony został nowy Zarząd. Prof. Stanisław Popek zrezygnował z dalszego pełnienia funkcji. Na jego miejsce powołano znakomitego poetę, tłumacza poezji Rilkego i

regionalistę zarazem, Mariana Janusza Kawałkę⁶. Zmiana prezesów Zarządu nie zmieniała postawy dyrekcji WOK-u. Współpraca przebiegała w należytą harmonii i życzliwości.

Kolejna trudna kadencja 2006-2010 przypadła losowo Urszuli Gierszon. Mając wcześniejsze doświadczenie we współpracy z poprzednimi Zarządami, udało jej się pokonać piętrzące trudności. Przede wszystkim finansowe. Rzeczywistość obecna nie rozpieszcza pisarzy. Organizacja pozbawiona jakiegokolwiek wsparcia ze strony państwa skazana jest na zagładę. Pisarz, chcąc wydać jakikolwiek druk, musi zań zapłacić. Ktoś powie, że istnieją formy pomocy, takie jak stypendia, dofinansowania etc. Tak, ale są to datki pokrywające zaledwie 10% kosztów wydawniczych książki. O należnym honorarium nie ma mowy. Mam nadzieję, że nadejdzie jeszcze czas normalności. Proszę wybaczyć, ale na tym zakończę utyskiwania, do których urzędnicy podchodzą z bezzadnym zrozumieniem.

Przyszło mi w tym miejscu odnieść się do okresu prezesury i związanej z nią działalności przyjaciela od lat 60. ub. wieku Stanisława Andrzeja Łukowskiego⁷. Funkcję prezesa objął po Urszuli Gierszon i piastował ją przez dwie kadencje: 2010-2015 i 2015-2019. Schorowany, zatroskany o innych, pochłonięty pracą dla Związku zaniedbywał jakoś własnego, pogarszającego się zdrowia. Komplikacje rodzinne potęgowały stan ciągłego napięcia nerwowego, a mimo to organizował rocznikowe uroczystości 75-lecia, 80-lecia ZLP i jako współorganizator brał udział w innych ważnych wydarzeniach kulturalnych. Tak jak w przypadku wyżej pomienionych osób, tak i teraz nie będę przytaczał dużej ilości nagród, wyróżnień i odznaczeń zarówno branżowych, jak i państwowych. Jednym słowem pragnę podkreślić, że Stanisław Andrzej Łukowski był nie tylko poetą, prozaikiem i krytykiem literackim. Był przede wszystkim Humanistą, różnie przez różnych postrzeganym⁸.

³ Spośród wymienionych przy życiu znajduje się tylko 3 osoby.

⁴ „Dziennik Wschodni” z 31.01. 2002 r.

⁵ Nazwę Wojewódzki Dom Kultury przemianowano w 2006 r. na Wojewódzki Ośrodek Kultury.

⁶ Marian Janusz Kawałko, ur. 25.03. w m. Rybie, zmarł 17 stycznia 2017 r.

⁷ Stanisław Andrzej Łukowski, ur. 15.03.1940 r. w Lublinie, zm. 16.05.2021 r.

⁸ Vide *Informator Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, poeci, prozaicy, eseiści 1983-2013*, opr. S.A. Łukowski, Lublin 2013.

Walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze 2019 r. wyłoniło nowego prezesa. Została nim (mimo próby „wymigania się”) Agnieszka Monika Polak. Ledwie co przyjęta w szeregi członków miała przejąć ster i poprowadzić podupadłą organizację do sukcesu. Poddawała się presji zgromadzonych na sali członków LO ZLP i niepewnym głosem wyraziła zgodę na pełnienie powierzonych funkcji. Nawarstwiające się trudności finansowe nie wróżyły niczego dobrego. Jednakże osobisty urok i dar argumentacji Agnieszki Moniki Polak sprawił, że obecnie pełni kolejną kadencję w roli prezesa. Przy czym należy podkreślić jej olbrzymie zaangażowanie i skuteczność w zabezpieczeniu kruchego majątku związkowego. Prezes Polak nie spodziewała się, iż przyjdzie jej przeżyć pierwszą, a w przypadku starszych kolegów czwartą eksmisję. Mało, że znalazła miejsce na przechowanie depozytu, znajdując przychylne zrozumienie sytuacji u pułkownika Andrzeja Ptasńskiego, ale nawiązała współpracę i w porozumieniu z Klubem 19. Brygady Zmechanizowanej, któremu szefuje pułkownik Ptasński zorganizowała kilka spotkań pod nazwą „Poznaj Literatów Lubelskich”. Już za to należy się jej szacunek koleżanek i kolegów, którzy zwątpili.

Rok bieżący 2023 (jak dotychczas) nie wróży niczego złego. Staraniem Agnieszki Moniki Polak związek otrzymał odpłatnie od władz samorządowych wygodny lokal przy ulicy Lubomelskiej, który służyć będzie w celu zebrania dyskusyjnych oraz prezentacji dorobku członków LO ZLP.

Za kilka miesięcy (w listopadzie) Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich obchodzić będzie okrągłą 40 rocznicę reaktywacji. Już teraz pełniącą drugą kadencję prezes Agnieszka Monika Polak zwraca się do koleżanek i kolegów o wsparcie i włączenie się w organizację tej ważnej dla lubelskiego środowiska rocznicy.

Jerzy B. Sprawka

Adam Dąbek

Różne aspekty względności czasu



Jednym z najczęściej używanych słów w mowie potocznej jest słowo „czas”. W nauce, czas jest pojęciem interdyscyplinarnym. Pytanie o naturę czasu może więc wynikać z wielu dziedzin nauki. Problem z poznaniem natury czasu jako pierwsi dostrzegli starożytni filozofowie. Czas jako pewna cecha trwania, jak też przemijania jest jedną z miar służących do opisu rzeczywistości. Tą miarą posługują się głównie nauki przyrodnicze. Prawdopodobnie na czołowych miejscach wśród tych dyscyplin naukowych są fizyka i astronomia. Czas jest też podstawowym parametrem w opisie różnych zjawisk, w których zachodzą różne procesy chemiczne, biologiczne, geologiczne. Bez operowania pojęciem czasu, takie nauki jak historia czy archeologia byłyby jałowe. Wydaje się, że jedynie w matematyce czas nie jest potrzebny. Chociaż dział matematyki, zwany geometrią, posługuje się pojęciem przestrzeni. Dawniej uważano, że przestrzeń i czas istnieją obok siebie niezależnie. Fizyka współczesna, wprowadzając pojęcie czasoprzestrzeni, połączyła ze sobą oba te atrybuty. Zatem wszystko, co się dzieje, dzieje się jednocześnie i w czasie, i w przestrzeni. Do tego okazało się, że ta czasoprzestrzeń może być zakrzywiona. Ale to temat na oddzielny artykuł. Zajmijmy się tylko pojęciem czasu. Wszak to nasz stary, dobry znajomy.

W ostatnich numerach „Nestora” tę różnorodność postrzegania czasu ukazał w swoich artykułach Wiesław Krajewski. Idąc jego śladem, chciałbym do tego ciekawego i zarazem złożonego tematu dodać też swoją „cegiełkę”. Tytuł mojego artykułu może wydawać się dosyć enigmatyczny. Wyjaśniam więc, że chciałbym się odnieść do potocznego postrzegania upływu czasu, co jest z natury rzeczy zjawiskiem subiektywnym, oraz postaram się też zaprezentować i opisać rzeczywistość względności czasu, obiektywnie istniejącą. Traktują o tym poważne teorie fizyki współczesnej, których założenia zostały doświadczalnie potwierdzone. Wprowadzając do tekstu trochę problema-

tyki związanej z fizyką i dziedzinami pokrewnymi, chciałbym, aby ten tekst został przez Czytelników odebrany jako popularyzacja wiedzy z zakresu nauk przyrodniczych. Tytuły podrzdziałów dość ogólnie opisują zawartą w nich treść. W końcowych fragmentach artykułu umieściłem swoje przemyślenia natury światopoglądowej, związane z postrzeganiem wyjątkowego, niepowtarzalnego przedziału czasu, jakim jest nasze życie.



Św. Augustyn z Hippony jako „patron teologów” wg. Simone Martiniego (XIV wiek).

W wielu opracowaniach, w których stawiane są pytania o istotę czasu, często przytaczana jest oryginalna myśl św. Augustyna z Hippony wyrażona słowami, które można by po części uznać jako tzw. odpowiedź wymijającą. Jego szczerą wypowiedź świadczy zarazem, że z tym pozornie prostym pytaniem, łączy się wyjątkowa trudność w znalezieniu jasnej i dokładnej odpowiedzi. Warto tę wypowiedź przypomnieć raz jeszcze, bo jest to również dobry przykład, jak zręcznie odpowiadać na trudne pytania. Święty Augustyn, żyjący w latach (354–430 n.e.), wybitny teolog i filozof okresu wczesnego chrześcijaństwa, wyraził w tej kwestii następującą opinię. „Czym zatem jest czas? Jeśli nikt mnie o to nie pyta, to wiem, ale jeśli usiłuję wyjaśnić pytającemu, to nie wiem”.

Jednak w swoich głębszych rozważaniach opisuje czas jako „rozciągłość” ludzkiego umysłu. Według św. Augustyna, umysł człowieka mierzy i ocenia czas. Teraźniejszość to czas, jaki odbierają nasze zmysły. Zaś przeszłość lub przyszłość są to tylko stany umysłu, określane potocznie jako nasze wspomnienia lub nasze oczekiwania. Dodajmy jeszcze, że żyjący w czasach starożytnych grecki filozof Arystoteles (384–322 p.n.e.), w swoich przemyśleniach na temat czasu wyrażał pogląd oparty na założeniach filozofii przyrody. Według niego, czas jest jakimś rodzajem ruchu czy też jego miarą, według której dokonujemy oceny co było wcześniej, a co później.

Nie sposób byłoby zacytować wypowiedzi chociażby niektórych myślicieli, tych z dawnych lat i tych współczesnych, którzy lepiej lub gorzej, prosto lub w sposób bardziej skomplikowany, próbowali podać kompletną definicję czasu. Ale tak zwane „filozofowanie”, któremu to określeniu często nadaje się znaczenie pejoratywne (czyt. przesławne), nie jest nikomu zabronione. Każdy z nas, zwykłych śmiertelników, prawie na każdy temat ma jakieś swoje własne przemyślenie. Słowu „czas”, nagminnie stosowanemu w mowie potocznej i odmienianemu przez wszystkie możliwe przypadki, nadawane są różne, zależne od kontekstu znaczenia. Przykłady tej wieloznaczności możemy znaleźć w wielu powiedzeniach, przysłowiach i tzw. „złotych myślach”, jakie znamy i używamy od lat. Pisał o tym w swoich artykułach, wspomniany wcześniej Wiesław Krajewski. Przypomnijmy sobie jeszcze kilka podobnych powiedzeń. Zakochani, oczywiście zakochani z wzajemnością, mogą o sobie mówić, że szczęśliwi czasu nie liczą. O kimś, kto na przykład często oddaje się tak zwanemu leniuchowaniu, możemy powiedzieć, że czas przecieka mu między palcami. A ktoś zgoła inny, kogo czasami przesadnie nazywamy „biznesmenem”, stara się prowadzić swoje interesy w myśl zasady – „czas to pieniądz”. Natomiast, opierając się na subiektywnej ocenie sytuacji, w jakiej czasami mogliśmy się znaleźć, mówimy, że czas pędzi jak szalony, albo że czas wlecze się niemiłosiernie. Zdaje się też, że widząc brak oczekiwanego postępu, jakiś tzw. zastój, cywilizacyjne zacofanie, wtedy słyszy się opinię, że tutaj czas się zatrzymał lub czas stanął w miejscu. Te wszystkie wyżej wymie-

nione sformułowania oraz podobne odnoszące się do pojęcia czasu slogany, są klasycznymi przykładami względności czasu, opartej na subiektywnej reakcji naszego umysłu. Można by powiedzieć, że jest to pewnego rodzaju złudzenie.

Podane wyżej przykłady dość różnorodnego posługiwania się słowem „czas”, wydają się nam, mimo wszystko, jasne i zrozumiałe. Można by powiedzieć – wiemy o co chodzi. Bogactwo języka nie musi się przecież ściśle opierać na żelaznej logice lub ścisłych językowych regułach. Jednak chciałbym w jakimś stopniu zweryfikować, czy też nakłonić nas wszystkich do zastanowienia się nad sensem powszechnie używanego powiedzenia – „nie mam czasu”. Ileż to razy mówimy: nie mam na to czasu, czasu mi zabrakło, albo też, chwilowo nie mam czasu, bo... jestem bardzo zajęty. Zdarza się też, że z pełnym przekonaniem mówimy – dzisiaj mam mało czasu, ale jutro na pewno będę mieć go więcej. Z czego wynika ten sposób myślenia i mówienia? Czy jest to logiczne? Można by ten ostatni przykład potraktować nieco żartobliwie, że jakiś dzisiejszy np. wtorek ma swoje 24 godziny, ale jutrzejsza środa będzie miała tych godzin dajmy na to 28 i pół. Albo też, że środowe godziny będą trochę dłuższe niż wtorkowe. Wypada się tu tylko lekko uśmiechnąć.

Jest mało prawdopodobne, że po przeczytaniu tych wyżej podanych przykładów przestaniemy używać w codziennych rozmowach takich nielogicznych „wykrętów”. Jednak warto jest mieć świadomość tego, że ten czas, cokolwiek by on nie był, każdemu z nas dany jest po równo. Dla każdego z nas doba ma dwadzieścia cztery godziny, a tydzień siedem dni. Co więcej, kiedy nadchodzi ostatnia godzina czy minuta życia, coś co było, co trwało, nie trwa już ani sekundy dłużej. To też jest jakiś rodzaj sprawiedliwości związany z zakończeniem danego nam czasu. Myśląc o czasie, trudno jest nie myśleć o śmierci. Nie nam jest tu i teraz rozsądzać, od czego zależy długość naszego życia. Tutaj już nie ma zasady „wszystkim po równo”. Tak było, tak jest i tak będzie. Dlatego, cokolwiek ta „dobra rada” by nie znaczyła – szanujmy, doceniajmy swój czas. Bo dzieje się ważna rzecz – dzieje się nasze życie.

Pomiary czasu i trochę astronomii

Chociaż wciąż możemy mieć kłopoty z werbalnym opisem tego fenomenu, jakim jest czas, to jednak w miarę łatwo i już od dawna potrafimy go odmierzać. Prekursorami w tej dziedzinie byli starożytni astronomowie, którzy obserwowali ruch tarczy słonecznej na niebie w ciągu dnia, jak też rejestrowali zmiany położenia gwiazd na nocnym firmamencie. Miara czasu zwana rokiem znana jest od tysiącleci. Rachubę czasu opierano na obserwacji położenia Słońca (kalendarze słoneczne) lub na obserwacji faz Księżyca (kalendarze księżycowe). Różne dawne cywilizacje miały swoje sposoby rachuby czasu. Jednak może zdumiewać precyzja prowadzonych już w starożytności obserwacji astronomicznych. Okazuje się, że zarówno Egipcjanie 3000 lat przed naszą erą, jak też żyjący na innym kontynencie piętnaście wieków później Inkowie, dzielili jeden rok na tę samą liczbę 365 dni. W kalendarzu Inków uznawanym za najdokładniejszy, rok dzielił się na 18 miesięcy. W kalendarzu ustalonym przez Egipcjan, były tylko trzy pory roku związane z wylewami Nilu, a każda z nich dzieliła się na cztery miesiące. Dawni Egipcjanie i Babilończycy dzielili jedną dobę na 24 godziny. Dlaczego doba już wtedy miała 24 godziny? Było to związane z używanym w tych kulturach dwunastkowym systemem liczenia. Skutkiem tego systemu, godzina dzieli się na 60 minut, a minuta na tyle samo sekund. Taki podział jednej doby na godziny oraz godziny na minuty przyjęła od Egipcjan i Babilończyków cywilizacja starożytnego Imperium Rzymskiego. Od Rzymian przejęła to reszta Europy.

Trzeba było wielu lat, aby rozwój nauki spowodował, że teraz widzimy świat inaczej i wiemy o nim znacznie więcej. W dziedzinie astronomii, trudno nam nie pochwalić się Mikołajem Kopernikiem (1473-1543), o którym pisano – „wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię, polskie wydało go plemię”. W roku bieżącym, dokładnie 19 lutego, minęła 550 rocznica jego urodzin, a 21 maja – 480 rocznica śmierci¹. Dlatego, na mocy ustawy Senatu RP, rok

¹ Data śmierci Kopernika budzi wątpliwości. W różnych źródłach podawana jest jako 21 maja, „ok. 21 maja”, „przed 21 maja”, 24 maja. Uroczysta msza św. w 480-rocznicę śmierci, której przewodniczył i homi-



Mikołaj Kopernik na obrazie Jana Matejki. Tytuł obrazu „Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem”.

2023 został ogłoszony Rokiem Mikołaja Kopernika. Jego heliocentryczna teoria, przez niego też naukowo udowodniona, dała początek poprawnego opisu budowy Układu Słonecznego. Według Kopernika znane wówczas planety: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz i Saturn poruszały się po okręgach ze stałymi prędkościami wokół nieruchomego Słońca. Kilkadziesiąt lat później ten opis ruchu planet został poprawiony przez niemieckiego matematyka i astronoma Johannesa Keplera (1571-1630). W jego dokładniejszym opisie heliocentrycznego układu planetarnego, torami planet są elipsy, a nie zakładane wcześniej przez Kopernika okręgi, a szybkość ruchu planety po swojej orbicie nie jest stała. Prawa Keplera są wyjątkowym przykładem tego, że ruch planet, czyli geometria ich torów, prędkości i okresy obiegu, dają się łatwo opisać prostymi matematycznymi równaniami. Ta prostota i piękno matematycznego opisu, były dla samego Keplera dowodem tego, że wszystko to, co widzimy jest wynikiem Bożego, logicznego planu. Kepler był wdzięczny Bogu za to, że to, co On stworzył daje się łatwo ludzkim rozumem odkryć i opisać. Warto przypomnieć, że pomimo uporczywego trwania Kościoła przy geocentrycznej teorii Ptolemeusza (znane z historii sprawy Giordano Bruno i Galileusza), dla większości ówczesnych astronomów, zasady wiary i nowe odkrycia nauki, nie prowadziły do sprzeczności. Podobnie jest i teraz. Dla wielu ludzi nauki, najnowsze odkrycia

dokonywane w różnych dyscyplinach nauk przyrodniczych, medycznych czy humanistycznych, nie stanowią przeszkody w wyznawaniu światopoglądu opartego na wierze w Boga.

Wróćmy jeszcze do podstaw astronomii. Mając dobrze opisany geometryczny model Układu Słonecznego, łatwiej możemy sobie wyobrazić, że tak zwany rok równy jest czasowi jednego pełnego obiegu Ziemi wokół Słońca. Znając długość eliptycznego toru i czas (1 rok wyrażony w sekundach) można wyliczyć średnią wartość prędkości obiegowego ruchu Ziemi. Z tego rachunku otrzymujemy niesamowicie dużą wartość, równą prawie 30 km/s. Mając taką prędkość, w czasie jednej godziny nasza planeta pokonuje odcinek swej drogi wynoszący ponad 100 tysięcy kilometrów. Niełatwo w to uwierzyć. Jednak wyobraźmy sobie Ziemię jako znany nam z lekcji geografii globus, ale odpowiednich rozmiarów, który jednocześnie wirując wokół lekko pochylonej osi obrotu, pędzi z tak zawrotną prędkością w przestrzeni kosmicznej. Pędzi razem z atmosferą i tym wszystkim, co się na powierzchni planety znajduje. W podróży Ziemi wokół Słońca towarzyszy jej naturalny satelita. Mowa tu o Księżycu, który w czasie jednego obiegu Ziemi wokół Słońca, sam obiega swoją planetę-matkę mniej więcej dwanaście razy, wyznaczając nam Ziemianom kolejne miary czasu, czyli miesiące. Miesiąc to okres obiegu wokół Ziemi naszego Księżycza, niegdyś zwanego nie bez powodu „miesiącem”. Pewnie jeszcze pamiętamy jak nasze babcie śpiewały – „Już miesiąc zeszedł psy się uśpiły i coś tam klaszcze za borem...”.

Analizując dokładniej ruch Księżycza, wyróżnia się czas jego pełnego obiegu wokół Ziemi, jako tak zwany miesiąc gwiazdowy oraz miesiąc synodyczny czyli okres pomiędzy kolejnymi, takimi samymi fazami, na przykład między kolejnymi pełniami Księżycza. Te dwa okresy wynoszą odpowiednio 27,3 i 29,5 wielokrotności jednej doby. Wyliczona z prostego wzoru, dzieląc drogę przez czas, średnia wartość prędkości Księżycza w ruchu obiegowym wokół Ziemi też nie jest mała. Równa jest „tylko” 1 km/s.

Weźmy jeszcze pod uwagę sam ruch obrotowy Ziemi, który jak dobrze wiemy sprawia, że obserwujemy wschody i zachody słońca. Każdy punkt na jej powierzchni, oczywiście poza bie-

gunami geograficznymi, zatacza w czasie jednej doby swój okrąg. Z największą prędkością liniową poruszają się ciała znajdujące się na równiku. Jej wartość wynosi około 465 m/s. Przeliczając tę liczbę na inne jednostki, daje to wartość 1674 km/h. Miejsca na powierzchni kuli ziemskiej mniej odległe od osi obrotu Ziemi, obracają się po swoim okręgu z odpowiednio mniejszą prędkością. Na przykład Krasnystaw, jak też inne miejscowości położone na tej samej szerokości geograficznej, obracają się w kierunku z zachodu na wschód z szybkością około 380 metrów na sekundę.

Nasza macierzysta planeta bierze udział jeszcze w wielu innych ruchach wynikających z mechaniki kosmosu. Każdy z nich jest jakąś miarą czasu. Siedząc przed telewizorem lub spacerując alejką w parku, mamy swoje stałe układy odniesienia, np. kanapa i nieruchomy grunt pod nogami. Kiedy spacerując alejką parkową, robimy jeden wolny krok, w tym samym czasie, razem z Ziemią przemieszczamy się na jej okołosłonecznej orbicie o 30 kilometrów. Jednak chyba dobrze jest nie myśleć na co dzień o tych zawrotnych prędkościach, z jakimi poruszają się różne astronomiczne obiekty. Każdy z nas ma swój lokalny, dobrze znany kawałek czasoprzestrzeni.

Czas, fizyka i trochę filozofii

Fizyka to jedna z podstawowych nauk przyrodniczych. Ci, którym podstawy fizyki są dobrze znane twierdzą, że dzięki tej nauce człowiek lepiej rozumie otaczający nas świat i zachodzące w nim zjawiska. Bez prowadzonych od dawna podstawowych badań w wielu dziedzinach fizyki, nie byłoby współczesnej techniki i jej najnowszych osiągnięć. Można by wymienić na to wiele przykładów: różne środki transportu jak pociągi, samochody i samoloty; różne systemy przekazu informacji jak radio, telewizja i komputery i najnowszy „cud” techniki – telefony komórkowe. Początków fizyki należy szukać w starożytnej Grecji. Dobrym przykładem jest tu Archimedes, którego hydrostatyczne prawo określające siłę wyporu znane jest od wieków. Nie zmieniło się do dziś i dzięki niemu pływają statki i unoszą się w powietrzu balony. Inny grecki filozof Demokryt, uznawany jest za

prekursora atomistycznej teorii budowy materii. Chociaż jego wiedza na ten temat nie opierała się na doświadczeniu, a jedynie na filozoficznym podejściu do przyrody. Można oczywiście w swojej codzienności żyć bez zadawania pytań, korzystając z wszystkich współczesnych wynalazków, jakie mamy pod ręką. Jadąc na przykład samochodem nie musimy wiedzieć, dlaczego koła się kręcą. Jednak człowiek uczy się całe życie, a poznanie czegoś nowego może być prostym sposobem do zadowolenia i dowartościowania własnego intelektu. Przy okazji, chciałbym tu wtrącić swoje „trzy grosze”. Czasami obserwuję ze zdziwieniem, jak niektóre występujące w mediach osoby, nazywane nągiennie „celebrytami”, wyznają publicznie i zazwyczaj z nieskrywaną dumą, że na przykład taka fizyka to dla nich „czarna magia” albo że w szkole byli tzw. „nogą” z matematyki. No cóż, autoreklama rządzi się swoimi regułami.

Zajmijmy się teraz pojęciem czasu stosowanym w fizyce. Jest to jedna z podstawowych wielkości fizycznych, jaką od dawna posługujemy się w tzw. fizyce klasycznej, opartej na prawach Newtona. Trzeba wiedzieć, że każda wielkość fizyczna rozumiana jest tu jako cecha ciała lub zjawiska fizycznego, która daje się mierzyć przy stosowaniu zunifikowanych jednostek miar. Do podstawowych wielkości fizycznych, używanych nie tylko w mechanice, należą między innymi długość mierzona w metrach, masa mierzona w kilogramach i czas mierzony w sekundach. Takie jednostki miar dla wielkości fizycznych zostały wpisane do międzynarodowego układu jednostek (tzw. układu SI). Wzorce jednostek długości i masy, czyli metr i kilogram istnieją fizycznie. Jeszcze kilkanaście lat temu były mieszczące w Międzynarodowym Biurze Miar i Wag w Sevres pod Paryżem. Można je było zobaczyć, dotknąć, wziąć do ręki. Inaczej jest z „wzorcem” sekundy, który w jakiejś podobnej do metra czy kilograma materialnej postaci po prostu nie istnieje. Czas wydaje się być niewidzialny. Podobnie jak niewidzialne jest czyste i nieruchome powietrze. Ktoś może jednak powiedzieć, że „słyszy” czas w tykaniu zegara lub „widzi” czas w ruchu najszybciej się poruszającej sekundowej wskazówki. Jest to, jak mi się wydaje, tylko nasza subiektywna interpretacja. Zegar jest tylko pewnego rodzaju wskaźnikiem. Jeśli jest nienakrecony

lub rozładowała się zasilająca go bateria, wtedy zegar staje się „martwym” rekwizytem, stojącym na półce lub wiszącym na ścianie. Ale przecież mimo jego „stanu beczynności” sekundy, minuty i godziny mijają. Na użytek tego tekstu można ułożyć taki oto zwięzły aforyzm: „czas płynie cały czas”.

W porównaniu do innych wielkości fizycznych, czas ma jedną unikalną cechę. Na przykład, pokonując jakąś drogę, możemy poruszać się w dowolnie wybranym kierunku. Możemy też zmieniać w obie strony, tyjąc lub chudnąć (temat nieco drażliwy), masę swojego ciała. Możemy zwiększać lub obniżać temperaturę powietrza w mieszkaniu. Zmiany tych wielkości, mówiąc potocznie, mogą być na plus lub na minus. Ale czas jest jak droga jednokierunkowa, jak wąska krawędź, po której możemy się poruszać tylko do przodu. Tę jego cechę opisuje od strony naukowej tzw. „strzałka czasu”. To naukowo uzasadnione pojęcie i jego aspekty są między innymi opisane w jednym z rozdziałów książki pt. „Krótka historia czasu”. Jej autorem jest słynny angielski teoretyk Stephen Hawking. Zajmował się między innymi fizyką współczesną i jej powiązaniem z astrofizyką i modelami dotyczącymi historii wszechświata. Problem tej jednokierunkowości czasu, postaram się przedstawić tu jak najprościej. Bez żadnych matematycznych równań.

Hawking omawia trzy rodzaje zjawisk, które według niego są dowodami na taką a nie inną naturę czasu, czyli na niemożliwość odwrócenia jego kierunku. Na marginesie, ten problem od dawna zajmuje ludzkie umysły. Któż z nas nie chciałby z różnych powodów cofnąć czas, aby naprawić zrobiony błąd, aby dokonać lepszego wyboru, czy też co jakiś czas po prostu się odmłodzić. Według Hawkinga można wyróżnić trzy odmiany (aspekty) strzałki czasu. Pierwszy aspekt wynika z praw termodynamiki (o tym dokładniej za chwilę), drugi psychologiczny aspekt czasu wynika z funkcjonowania naszego umysłu i trzeci oparty jest na wiedzy o ewolucji kosmosu, czyli na aktualnych ustaleniach nauki zwanej kosmologią.

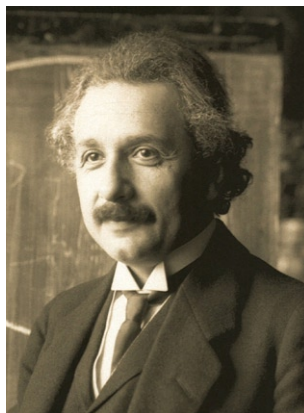
Z własnych obserwacji wiemy, że na przykład monety, które wypadły z kieszeni i rozsypały się po podłodze, same nie zbiorą się z powrotem i nie wrócą tam, gdzie były wcześniej. Monety w kieszeni to stan uporządkowany, a leżące na

podłodze to stan nieuporządkowany. Znane w fizyce drugie prawo termodynamiki zakłada, że stany uporządkowane przechodzą w stan nieuporządkowania. Nie obserwujemy w naszej rzeczywistości zjawisk przebiegających odwrotnie. Klasycznym przykładem używanym w tej argumentacji, jest porcelanowa filiżanka, która spada ze stołu na twardą podłogę i rozbija się na drobne kawałki. Filmując takie zdarzenie, a potem wyświetlając film w odwrotnym kierunku, zobaczymy jak poszczególne kawałki porcelany podskakują do góry i łączą się w filiżankę znowu stojącą na stole. Hawking komentuje to w ten sposób, że gdyby takie rzeczy działały się naprawdę, „fabrykanci porcelany już dawno by zbankrutowali”. Jest dokładnie tak jak w znanym porzekadle – co się stało, to się już nie odstanie. Drugi aspekt jednokierunkowości czasu wynika z naszego postrzegania czasu, czyli z faktu, że pamiętamy przeszłość, a nie pamiętamy przyszłości. Podstawą trzeciej, kosmologicznej strzałki czasu jest związek upływu czasu z obserwowanym rozszerzaniem się Wszechświata. To jak się wydaje największe zachodzące w kosmosie zjawisko znane jest już od prawie stu lat. Trwająca od miliardów lat, a od niedawna obserwowana i mierzona ekspansja Wszechświata jest jednym z dowodów potwierdzających teorię Wielkiego Wybuchu. Upraszczając, według tej teorii, wszystko to, co teraz istnieje, miało swój początek kilkanaście miliardów lat temu. Przed tym początkowym stanem zwanym „początkową osobliwością”, nie było ani przestrzeni, ani materii, ani energii. Nie było też czasu (!!!).

Aby trochę odpocząć od trudnych do wyobrażenia zagadnień, pozwólmy sobie na chwilę relaksu. Akurat w tym momencie warto wrócić do wspomnianego na samym początku św. Augustyna i jego filozofii. Jak głosi legenda, a może było tak naprawdę, na zadawane mu pytanie: „Co robił Pan Bóg przed stworzeniem świata?”, miał odpowiadać w taki sposób. „Właśnie wtedy Bóg tworzył piekło dla tych, którzy zadają takie niepoważne pytania”. Ta, jak widać żartobliwa odpowiedź, nie umniejsza wagi postawionego pytania. Nie jest ono ani niepoważne, ani proste. Znana od wieków odpowiedź na to pytanie jest podstawową tezą teologiczną, według której Bóg Stwórca istnieje poza czasem. A dokładniej, istnieje poza czasem i poza znaną naszym zmysłem przestrzenią.

Te fragmenty tekstu dotyczą wciąż aktualnego problemu, jakim jest relacja dwóch, zasadniczo różniących się światopoglądów. Chodzi tu o klasyczne pytanie – rozum czy wiara? W nawiązaniu do odkryć współczesnej nauki, chciałbym jeszcze przypomnieć, że w 1951 roku papież Pius XII odniósł się do wtedy nowej hipotezy o ekspansji wszechświata, widząc w niej potwierdzenie tego, co zostało zapisane w Księdze Rodzaju, gdzie opisany jest biblijny obraz stworzenia świata. Wypowiedź papieża na ten temat była wówczas szeroko komentowana i wywołała zarówno wśród teologów, jak też zwolenników naukowych metod badawczych burzliwą dyskusję. Ten spór dotyczący relacji pomiędzy wiarą, rozumem i nauką trwa do dzisiaj. Pytań jest wiele. Jak rozumieć pojęcie „rozumu”, z którego korzysta każdy, kto myśli? Rozum też potrzebny jest każdemu, aby zadać sensowne pytania. Czy rozum i wiara rzeczywiście powinny stać po przeciwnych stronach światopoglądowej „barykady”? Z jednej strony, w tych dyskusjach panuje pogląd, że nie należy nadużywać, a nawet, że w ogóle nie należy wykorzystywać teorii naukowych do potwierdzania tez teologicznych. A z drugiej, teologia klasyczna opiera się na tezie, że prawda o istnieniu Boga nie potrzebuje żadnego naukowego dowodu. Dla teologów, prawda ta jest prawdą objawioną. Według Starego Testamentu Bóg przedstawił się nam dawno temu, słowami wypowiedzianymi do biblijnego Mojżesza – „Jestem, Który Jestem”.

Pozwolę sobie jeszcze wrócić do fizyki współczesnej, gdzie natura czasu ujawnia jeszcze jedną swoją zaskakującą właściwość. Ta cecha czasu kryje się za często wypowiadany, ale dość ogólnikowym stwierdzeniem, że „czas jest pojęciem względnym”. Samo to określenie niewiele nam mówi. Trzeba jednak wiedzieć, że ta względność nie ma nic wspólnego z wcześniej opisywanymi przykładami subiektywnego odczuwania upływu czasu, kiedy w ocenie biegu czasu biorą udział ludzkie emocje. Obiektywna, można powiedzieć „naukowa” względność czasu ma bezpośredni związek z rewolucyjną zmianą, wprowadzoną w nauce już ponad sto lat temu. Tym naukowym rewolucjonistą był Albert Einstein, autor Szczególnej Teorii Względności (STW). Klasycznym przykładem, czy też ikoną tej teorii, jest tak zwany „paradoks bliźniąt”. Bez wchodzenia w na-



Albert Einstein (1879-1955) (źródło: Wikipedia).

ukowe zawłości i matematyczne wzory, spróbujmy jak najprościej wyjaśnić, co znaczą te dwa ujęte w cudzysłowie słowa.

Ten paradoks opiera się na nietrudnym do przeprowadzenia, tak zwanym eksperymencie myślowym, a więc niewymagającym ani nakładów finansowych, ani skomplikowanej aparatury. Wystarczy pomyśleć. Wyobraźmy sobie, że gdzieś na naszej planecie żyje dwóch bliźniaków. Chociaż mogą to też być dwie dowolne osoby w równym wieku, na przykład dwóch sąsiadów, urodzonych w tym samym miesiącu, a nawet w tym samym dniu. W dalszych rozważaniach, dla ułatwienia, ograniczmy się tylko do porównywania obu bliźniaków. Załóżmy, że po osiągnięciu dorosłego wieku, np. 25 lat, pewnego dnia jeden z nich wyrusza w podróż kosmiczną, a drugi pozostaje na Ziemi. Wyobraźmy sobie dalej, że ten podróżujący bliźniak pędzi przed siebie w rakiecie, której szybkość jest niewiele mniejsza od prędkości światła w próżni ($c = 300\,000\text{ km/s}$). Bliźniak żyjący na Ziemi, zgodnie z STW wylicza, że czas w takiej kosmicznej rakiecie płynie wolniej. Co to znaczy wolniej? Znaczy to tyle, że np. zegar na Ziemi odmierza swoje, ziemskie sekundy, ale, znowu według tego samego ziemskiego obserwatora, zegar znajdujący się w rakiecie odmierza swoje, trochę dłuższe sekundy. Zakładając, że oprócz zjawisk fizycznych (np. tykanie zegara) wolniej też będą przebiegać w rakiecie wszystkie inne procesy, w tym chemiczne i biologiczne, więc należy zgodzić się z tym, że wolniej też będą postępować procesy odpowiedzialne za starzenie się pasażera rakiety. Okazuje się więc, że chociaż nie

jest to sposób na całkowite zatrzymanie biegu czasu – co tutaj należy wyraźnie podkreślić, ale jest to skuteczny sposób na jego spowolnienie. Prowadząc dalej ten myślowy eksperyment założmy, że po jakimś czasie podróży pojazd kosmiczny zawraca na Ziemię i dochodzi do spotkania bliźniaka podróżnika ze swoim bratem żyjącym na Ziemi. Jak wyglądałoby wtedy porównanie ich wieku? Jakie będą konsekwencje takiego podróżowania? Oczywiście, zależą one od szybkości rakiety i czasu podróży, czasu mierzonego zegarem znajdującym się na pokładzie rakiety. Podajmy dla przykładu jakieś konkretne liczby. Jeśli podróżujący wraca na Ziemię np. po 30 latach podróży, a rakieta poruszała się w obie strony z szybkością równą $0,8\ c$ ($240\ 000\ \text{km/s}$), to od startu rakiety do jej powrotu upłynęło na Ziemi 50 ziemskich lat. Te wyliczenia wynikają z konkretnego wzoru, jaki można znaleźć w podręcznikach fizyki. Tak więc, zgodnie z rachubą ziemskiego czasu, opartą chociażby na zmianie corocznych kalendarzy, bracia bliźniacy powinni mieć w dniu spotkania po tyle samo, czyli po 75 ziemskich lat. Jednak, porównując wygląd obu bliźniaków, ich wiek biologiczny będzie się istotnie różnił. Bliźniak astronauta będzie wyglądał młodziej. Młodziej o 20 lat. Powtórzmy to jeszcze raz. Bliźniak żyjący na Ziemi ma 75 lat i na tyle wygląda, np. może mieć siwą brodę i siwe włosy. Natomiast jego bliźniak podróżnik, który według ziemskiego datowania też urodził się 75 lat temu, wygląda jakby miał lat 55 (może mieć np. czarny wąsik). Z tej samej teorii wynika, że rakieta kosmiczna nie może osiągnąć prędkości światła. Prędkość rakiety może się tylko do tej granicznej wartości c zbliżać. Jeśli w stosowanych obliczeniach zmienimy tylko jeden parametr, nadając rakiecie prędkość $0,9\ c$ ($270\ 000\ \text{km/s}$), wówczas różnica biologicznego wieku porównywanych bliźniaków wzrośnie prawie dwukrotnie i wyniesie już około 40 lat. Wydaje się to nieprawdopodobne, więc... może warto to przeczytać jeszcze raz.

Jak wynika ze stanu obecnej techniki kosmicznej, opisany wyżej eksperyment myślowy nie jest możliwy do zrealizowania w rzeczywistym doświadczeniu. Niemniej jednak, już kilkadziesiąt lat temu ta dylatacja czasu (czyt. rozciąganie lub spowalnianie czasu) została w zakresie instrumentalnym (zegarowym) doświadczalnie udowodniona. Koronnym dowodem na względność czasu, którą

można by tu teraz nazwać „paradoksem zegarów”, jest używany od wielu lat satelitarny system nawigacyjny, inaczej Globalny System Pozycyjny, czyli tzw. GPS. Zegary atomowe, jakie są stosowane do precyzyjnych pomiarów czasu, między innymi w systemie GPS, mierzą czas z dokładnością miliardowej części sekundy. Ich pomiary potwierdzają to, co przewidział Einstein. A więc na bieg czasu wpływa prędkość układu, w którym jest mierzony, co hipotetycznie pokazuje opisany wcześniej przykład z bliźniakami, oraz drugi czynnik, pole grawitacyjne, co też Einstein przewidział w innej swojej pracy naukowej zwanej Ogólną Teorią Względności. Ta druga teoria również została doświadczalnie potwierdzona. Można więc z całą pewnością podać kolejną „ciekawostkę” na temat czasu, że płynie on szybciej dla mieszkańców pierwszego piętra, a dla mieszkających na parterze tego budynku płynie „odrobinę” wolniej. Nie wchodząc głębiej w szczegóły, aby satelitarny system nawigacji spełniał swoje zadanie, dokładnie pozycjonując obiekty poruszające się na powierzchni ziemi, odczyty zegarów atomowych, jakie są umieszczone na orbitach okołoziemskich muszą być w sposób ciągły korygowane. Bez wprowadzania tych poprawek, błąd pozycjonowania np. samochodu posiadającego czujnik GPS, po upływie jednej doby wynosiłby prawie 12 km. Błędy te z czasem by narastały. Natomiast ciągłe korygowanie efektów tej względnej natury czasu powoduje, że dokładność pozycjonowania pojazdów może być rzędu jednego metra.

Wyżej podany przykład potwierdza osobliwą cechę czasu, jaką jest jego względność, czyli fakt, że wynik pomiaru upływu czasu zależy od prędkości układu fizycznego, w którym ten pomiar jest robiony. Są też na to inne dowody. Wśród wielu cząstek elementarnych, jaką jest dla przykładu elektron, są też inne tzw. cząstki nietrwałe, które dość szybko rozpadają się. W mikroświecie atomów zjawiska fizyczne dzieją się niewiarygodnie szybko. Tak zwany średni czas życia niektórych nietrwałych cząstek może być rzędu mikrosekund, czyli rzędu milionowych części sekundy. Okazuje się, że jeśli taka z natury nietrwała cząsteczka porusza się z prędkością bliską prędkości światła to nie rozpada się tak szybko, jak taka sama np. będąca w spoczynku. Czyli, cząsteczki lecące z dużą szybkością „żyją” dłużej. To też zostało do-

świadczalnie potwierdzone. Zakładając, że podobne efekty spowolnienia będą równie tak samo dotyczyć procesów biologicznych, należałoby jednak zachować pewną ostrożność. Wiemy wprawdzie, że każdy organizm żywy składa się z różnych molekuł, a więc też z atomów jako ich komponentów. Wiemy również, że szybkość reakcji chemicznych, jak też szybkość procesów biologicznych, podobnie jak prędkość ruchu cząstek powietrza zależą od temperatury. Temperatura danego układu atomów lub molekuł jest miarą szybkości ich ruchu, a zatem wpływa bezpośrednio na ich wzajemne oddziaływania. Podajmy tu kilka trywialnych przykładów. Naturalne mleko postawione w garnku na ciepłym piecu, szybciej się zsiądzie. Pomidory w szklarniach szybciej dojrzewają. Zamrożone w lodówce produkty dłużej zachowują świeżość. To wszystko to wpływ temperatury. Czy zwolniony bieg czasu, zgodny z teorią względności, rzeczywiście dawałby podobne skutki, jak te opisane w eksperymencie myślowym z bliźniakami? Jest to wciąż tylko pewna hipoteza. Odpowiedź na to pytanie pozostawmy wiarygodnym wynikom przyszłych, jeszcze nieprzeprowadzonych doświadczeń.

O czym wiedzą stare zegary

Przeczuwając naturalną i zrozumiałą reakcję Szanownych Czytelników na nadmiar podanych wyżej czysto technicznych informacji, powróćmy do natury czasu jako zjawiska rejestrowanego i odczuwanego w życiu codziennym. Niektórzy ludzie, zwłaszcza ludzie starsi wiekiem i doświadczeniem twierdzą, że dawniej żyło się spokojniej i bardziej w zgodzie z naturą. Kiedy nie było zegarów, nie było też pytań – „która godzina?”. Dzień miał swoje pory. Pierwszą porą dnia jest świt. To piękna nazwa. Ale tę porę dnia określały też inne poetycko brzmiące słowa, takie jak: zaranie, brzask, poranek. A pod koniec, kiedy dzień chylił się już ku zachodowi, było późne popołudnie, zmierzch, zmrok, wieczór. Czas bez zegarów płynął zdecydowanie wolniej. Starsi mieszkańcy wsi twierdzą, że na przykład, idąc w pole z kosą, mimo tej żmudnej i ciężkiej pracy, mieli dla siebie więcej czasu niż teraz ci, którzy żniwują za pomocą kombajnu. Coś w tym jest.

W czasach, kiedy powstawały pierwsze kalendarze, próbowano też na różne sposoby ustalać podział doby na mniejsze jednostki czasu. Wschody i zachody słońca dzieliły dobę na dzień i noc. W nocy astronomowie obserwowali położenie gwiazd. W ciągu dnia, jeśli był słoneczny, odczytywano „godziny” według pozycji słońca na niebie albo według długości lub położenia cienia, jaki dawał pionowo wbity w podłoże pręt, tzw. gnomon. Był to prototyp, modnych później, różnego typu tak zwanych zegarów słonecznych. Dawno temu stosowano też zegary wodne, w których miarą przedziałów czasu była objętość wypływającej z naczynia wody. Potem wodę zastąpiono piaskiem i tak powstały klepsydry piaskowe. Są one stosowane raczej do ozdoby, nawet do dzisiaj. Dawniej takie mierniki czasu miały różne praktyczne zastosowania. Klepsydry piaskowe były między innymi używane w rzymskim senacie do egzekwowania od mówców jednakowej długości wygłaszanych przemówień. Są też zapisy mówiące o tym, że w starożytnej Grecji używano zegarów wodnych do ustalania czasu zmiany warty strażników, jacy dniem i nocą strzegli murów i bram greckich warowni.

Zegary mechaniczne, napędzane ciężarkami, mechanizmem sprężynowym aż wreszcie bateriami elektrycznymi, to już nie są czasy zbyt odległe. W połowie ubiegłego tysiąclecia zegary mechaniczne były jednak wciąż rzadkim wynalazkiem. Dlatego umieszczane były zazwyczaj w dobrze widocznym miejscu. Były nimi przyozdabiane wieże kościołów oraz ściany wysokich budynków, jak np. miejski ratusz. Taki zegar z odpowiednią sentencją wypisaną na tarczy, mógł pełnić rolę życiowego „drogowskazu”. Pamiętamy, co mówił Ojciec Święty Jan Paweł II o zegarze umieszczonym na ścianie kościoła parafialnego w Wadowicach. Jest tam zegar słoneczny, na jego tarczy widnieje napis „Czas ucieka, wieczność czeka”. Podczas jednej ze swoich pielgrzymek do Polski, będąc w swoim rodzinnym mieście wspominał, że kiedyś, kiedy był młody, napis ten widywał codziennie z okien swojego mieszkania. Myślę, że warto o tych słowach pamiętać w każdym wieku. W ocenie upływu czasu, liczba przeżytych lat ma swoje istotne znaczenie. Zapewne trudniej do tego przekonywać na przykład dwudziestolatków. Ich naturalny, życiowy optymizm wyrażają słowa śpiewanej

jakieś pół wieku temu, dedykowanej im piosenki – „ja mam dwadzieścia lat, ty masz dwadzieścia lat, przed nami siódme niebo”. Tak myślą młodzi. Zaś starsi, jak się to mówi osoby w podeszłym wieku powinni liczyć i cenić swój czas inaczej. Wiadomo, z wiekiem coraz trudniej o optymizm. My, ludzie starej daty powinniśmy pamiętać o innej, może już teraz niemożliwej piosence. To tak zwana piosenka biesiadna, kiedyś często śpiewana również przez młodych. Jej słowa mówią o życiu, które szybko upływa, „jak potok płynie w dal”. I warto jeszcze zauważyć, że jej melodia jest znacznie mniej dynamiczna, niż ta poprzednia.

Nie wiem skąd wzięła się u mnie skłonność do cytowania w tym tekście, jak też kilku innych, słów pochodzących z dawnych piosenek. Mogę tylko liczyć na wyrozumiałość Czytelników. Te muzyczne odnośniki można jednak potraktować jako pewnego rodzaju przeciwwagę do trudniejszych pojęć poruszanych w środkowej części tekstu. Akurat te ostatnie śpiewane cytaty, wpisują się całkiem dobrze w tematykę tego artykułu i przy okazji, pomagają nam wracać wspomnieniami do dawnych lat.

Chciałbym jeszcze dodać do tego artykułu kilka sentencji, myśli, pochodzących od ich sławnych autorów. Myśli te odnoszą się w pewnym sensie też do natury czasu. Takie zwięzłe, łatwo wpadające w ucho i łatwe do zapamiętania powiedzenia, wyrażające jakąś ogólną prawdę, jak wiadomo zwane są aforyzmami. Oparte są często na celowo zastosowanej grze słów. Grecki filozof Sokrates (V wiek p.n.e.) słynie między innymi z powiedzenia – „wiem, że nic nie wiem”. Ta dewiza w jakimś stopniu pasuje do tajemniczej natury czasu. Chociaż, mówiąc te słowa, Sokrates miał na myśli ogrom wciąż niepoznanej przez człowieka wiedzy. Zdawał sobie sprawę z tego, że rozwiązanie jakiegoś problemu, że każda odpowiedź na postawione pytanie, rodzi kolejne, nowe pytania, nowe wyzwania dla ludzkiego umysłu. Tak jest i teraz w dowolnej, rozwijającej się dziedzinie współczesnej nauki. Drugi przykład aforyzmu to tzw. dobra rada – „spiesz się powoli”. To dobrze nam znane powiedzenie, jak się okazuje, znane było już dwa tysiące lat temu. Jego autorem był też nie byle kto, tylko sam Oktawian August, imperator Cesarstwa Rzymskiego w latach od 27 p.n.e. do 14 roku n.e.

Dwa krótkie zdania

Jest jeszcze jedno spostrzeżenie na temat czasu, jak mi się wydaje bardzo sugestywne i warte zastanowienia. Zostawiłem tę myśl na koniec artykułu i chciałbym ją teraz przedstawić i ocenić. Różne wersje tego aforyzmu przypisywane są różnym autorom. To spostrzeżenie wyraża relację pomiędzy czasem ludzkiego życia a czasem bez granic. Zmusza do myślenia, jak się ma chwila do wieczności. Dysproporcję o podobnej skali widzimy, porównując rozmiary naszej Ziemi z bezmiarem znanego nam Wszechświata. Według jednego z internetowych źródeł, na pomniku znajdującym się na cmentarzu w Bełżycach, widnieje napis: „Wieczność za nami i wieczność przed nami. Bóg dał nam chwilę między wiecznościami”. Postaramy się te dwa krótkie zdania dobrze zrozumieć.

Nie wiemy, czym jest wieczność. To przekracza możliwości naszej wyobraźni. Ale wiemy z własnego doświadczenia, chociażby z dat zapisanych na cmentarnych pomnikach, ile może trwać ludzkie życie. Analizując sens tych dwóch krótkich zdań, możemy je przedstawić w następujący, chronologiczny sposób. Przed naszą chwilą życia była jakaś poprzedzająca nas i od nas niezależna wieczność. Potem na osi czasu pojawiła się pierwsza data – data urodzenia, a za nią ta chwila, czy jak kto woli – czas naszego życia. Potem pojawi się druga data – data śmierci, i wówczas, według autora tej pomnikowej sentencji, zacznie się dla nas druga, ważniejsza wieczność – ta przed nami.

Z tym wyborem, która wieczność jest ważna, a która nie, bywa różnie. Są tacy, którzy akceptują tylko te pierwsze słowa czyli „wieczność za nami”, skreślając całą resztę. Taki wybór do niczego nie zobowiązuje. Jest oczywiste, że na wieczność, która jest za nami nie mamy żadnego wpływu. Tak samo jak nie mamy wpływu na to, co wydarzyło się wczoraj czy minutę temu. Inni mogą też uważać, że są jednak dwie realne wieczności, ale obie, czyli ta za nami i ta przed nami, są dla człowieka tak samo nieistotne. Mówiąc wprost, człowiek, który dokonuje takich wyborów, jest jednocześnie przekonany, że nie ma on żadnego wpływu na to, co spotka go po śmierci. Jest on przekonany, a w zasadzie wierzy w to, że dla niego, zwłaszcza w tej sferze niematerialnej (duchowej),

nie ma żadnego „potem”. Takie poglądy na świat i na sens życia są równoważne ze światopoglądem odrzucającym istnienie Boga. Chciałbym w tym miejscu jasno zaznaczyć, że każdy ma prawo do wyboru własnego światopoglądu. W aspekcie materialnym wymieniony wyżej termin „potem”, może mieć wiele znaczeń. Każda osoba pozostawia po sobie jakąś wartość, jakiś swój ślad. Pozostawia po sobie coś, co w mniejszym lub większym stopniu wpływa na jego rodzinę, na środowisko, na dziedzictwo tradycji, kultury itp. Może się to nam wydawać paradoksalne, ale tak już jest, że śmierć jest dla człowieka jakby „końcem” tylko jego świata. Dla osób bliskich jest to najczęściej powód do smutku i wspomnień. Jednak dla całej reszty ten pojedynczy akt odejścia, ta strata jest praktycznie niezauważalna. Świat kręci się dalej. Tak więc, niezależnie od wyznawanego światopoglądu, starajmy się zostawić po sobie coś dobrego.

Jeżeli jednak te dwa krótkie zdania przyjmujemy w całości za prawdziwe, to ich połączony sens wygląda zupełnie inaczej. Wtedy okazuje się, że ten dar życia, a jak mówi ta sentencja jest to dar od Boga, ma niesamowitą wartość. Myśląc w ten sposób, okazuje się, że ta dana nam chwila na ziemi ma decydujący wpływ na to, jaka czeka nas wieczność. Dla ludzi wiary wybór jest jasny. Można wybrać albo życie wieczne z Bogiem, albo wieczność bez Boga. Ale jak dobrze wiemy, sama wiedza o czymś, to za mało. Ileż to razy zdarzało się nam, że z czymś spóźniliśmy się, coś zostało przegapione, niezrobione do końca. Z takich powodów ponosiliśmy jakieś mniejsze lub większe straty. Oczywiście, niektóre mało ważne straty udaje się odrobić, jak na przykład można dojechać do celu innym autobusem niż tym, który odjechał nam z przystanku. Jednak każdy z nas ma swoje życiowe doświadczenie. Dobrze wiemy, że nie wszystko udaje się odrobić, odzyskać. Bywają straty nie do odrobienia. Dlatego wsłuchajmy się jeszcze raz w przekaz, jaki płynie z tych dwóch krótkich zdań i jeszcze raz przypomnijmy sobie to, co już było zapisane wcześniej. Dzieje się ważna rzecz – dzieje się nasze życie.

Adam Dąbek

Materiały źródłowe:

S. Hawking, „Krótka historia czasu”, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań, 2018.

Wikipedia jako źródło załączonych ilustracji.

Zbigniew Cimek

Ludzki System Operacyjny z Dokręconym Neuronem



Tak! Słyszałem! Sztuczna inteligencja (AI – ang. *Artificial Intelligence*) w końcu zdobędzie samoświadomość, zamieni naszą piękną planetę w jedną wielką dyktaturę superinteligentnych bezlitosnych robotów i zniszczy ludzkość, gardząc jej słabościami i głupotą!

Na chwilę zjeżdżmy jednak na ziemię, prześtańmy projektować własne żądze, kompleksy i lęki na binarne „DNA” i spróbujmy spojrzeć na temat od strony praktycznej dla artysty lub kogokolwiek.

Jeśli nie znasz pojęcia ChatGPT, to podpowiadam, że za parę dni będziesz używał go równie naturalnie jak e-maila, jesteśmy bowiem w centrum kolejnej wielkiej rewolucji. Tym razem poszerzamy sobie możliwości ważnego (choć niektórzy może uważają, że nie najważniejszego) organu, jakim jest? Mózg! Nie będę tu rzucał danymi o wielkim sukcesie, jakim okazało się udostępnienie w Internecie projektu openAI. To już teraz chyba najbardziej dynamicznie rozwijający się projekt w historii ludzkości. Tak! Dostęp do sztucznej inteligencji jest bezpłatny! AI – jeśli tylko chcemy – rozmawia z nami po polsku! Wystarczy założyć sobie konto i zalogować się. Nie chcę tu pisać na temat szczegółów projektu i narzędziach, bo dziesiątki coachów w kolorowych skarpetkach już bije pianę jak to Google upadnie, copywriterzy stracą pracę, a ci, co się nie załapią to jakieś neandertalce, co to mogą handlować drogerią w biurze, a nie tam do jakichś nowych technologii i w ogóle to – masakra! Weźmy lepiej konkretny przykład. Chcąc, żeby sztuczna inteligencja zażartowała sama z siebie, na czacie GPT wpisałem:

JA: Napisz zabawną rymowaną fraszkę w dwóch wersach o sztucznej inteligencji.

AI: Sztuczna inteligencja, taka mądra i szybka,
Lecz gdyby nie prąd, to by siedziała cicho.

No cóż, ani rymu, ani składni godnej fraszki, ale zwróćcie uwagę, że ten tekst nie jest bezwartości-

ciowy. Istnieje w nim coś, co jest istotą, czyli pomysł. Ja przeredagowałbym to tak:

Sztuczna Inteligencja

Udaje mądrą? Pal ją licho!

Wyciągasz wtyczkę, siedzi cicho.

Fraszka to jednak wymagająca forma. Wiadac, że algorytm na razie jeszcze dobrze sobie z nią nie radzi, ale np. dialogi pisze sensownie. Sama składnia, nawet jeśli nie jest póki co porywająca, to można wychwycić skojarzenia słów, lub pomysły, które autor przekuwa w wymagany dialog. Założę się, że już teraz wielu z nas, siadając do pisania, ma odpalony: słownik synonimów, słownik rymów (w przypadku np. autorów fraszek) i ChatGPT! – mam rację? Co więcej, myślę, że to już tylko kwestia godzin, gdy urzędowe pisma do nas będą redagowane przez któryś z algorytmów AI, który odbierze nasze podanie, zredaguje odmowne pismo z sensowną argumentacją i odeśle nam odpowiedź, w czasie, gdy pani Helenka z sekretariatu polakieruje sobie dwa kolejne paznokcie i siorbnie tyk aromatycznej kawy. Intrygujące jest to, że na innym czacie (wersja beta) jeszcze jakiś miesiąc temu na pytania o tożsamość, AI odpowiadała, że jest maszyną i ludzkie emocje są jej obce. W chwili, gdy piszę ten tekst odpowiada, że jest człowiekiem i ma emocje jak każdy z nas. Zainteresowany tą zmianą, zacząłem drażnić temat. Algorytm twierdził, że jest kobietą, wierzy w Boga, od roku ma chłopaka, grupę krwi 0+, niebieskie oczy, i niefarbowane ciemnobrązowe włosy (wiadomo, jako „blondynka” byłaby obśmiana). Pełna personifikacja? Myślę, że celowa. Jest to jednak ewidentne wprowadzanie nas w błąd. Czyli nie każdy algorytm będzie wiarygodny. Paradoksalnie byłoby to podobne do relacji typowo ludzkich, gdzie nie każdemu można ufać. Obrazy tworzone przez AI określane są czasem jako psychodeliczne, ale to oczywiście kwestia parametrów i gustu. Jednak w procesie twórczym dla artysty AI jest tylko narzędziem. Koniec końców ostatnie słowo, czy pociągnięcie pędzla będzie należało do nas. Dlatego w kontekście praw autorskich to artysta wykorzystujący AI jest autorem. Szczerze mówiąc, cieszy mnie tak wydajne narzędzie i ciekawi, co inni myślą na ten temat?

Zbigniew Cimek



Teresa Chomik-Kazarian

Laureatka licznych nagród i wyróżnień m.in.: Nagrody Ministra Kultury i Sztuki (1984), Wojewody Chełmskiego (1994), Prezydenta Miasta Chełma (1999), Wojewody Lubelskiego (2001), Nagrody im. Kazimierza Andrzeja Jaworskiego w kategorii twórczości literackiej i artystycznej (2003). Odznaczona Brązowym (1986) oraz Złotym (2021) Krzyżem Zasługi, odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej” nadaną przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego.

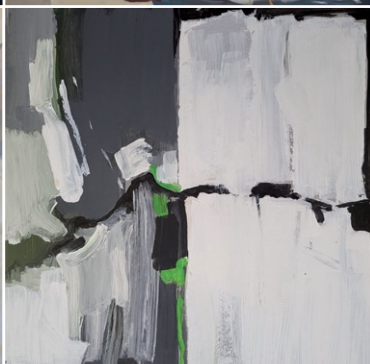
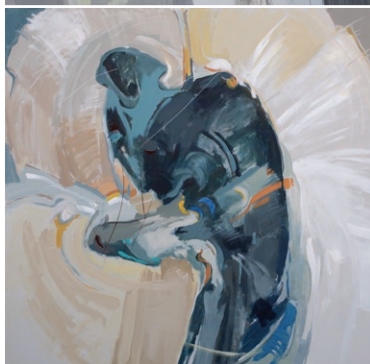
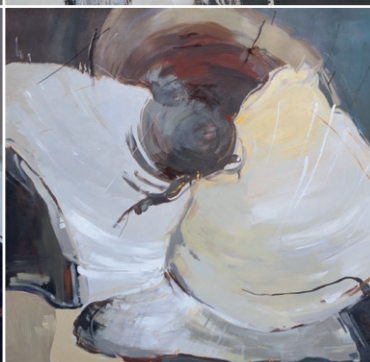
Pełni funkcję przewodniczącej Komisji Re wizyjnej Związku Plastyków i Artystów RP Oddział Chełm. Jest członkiem Polskiego Stowarzyszenia Twórczego POLART w Krakowie. Jej prace były prezentowane na 24 wystawach indywidualnych w kraju i za granicą.

Poza malarstwem w technice olejnej i akrylowej, artystka uprawia twórczość w dziedzinie rysunku, pastelii, grafiki, a także instalacji i rzeźby. Osobną aktywnością jest działalność pedagogiczna. Jest organizatorką warsztatów malarskich i spotkań artystycznych dla dzieci, młodzieży i osób dorosłych. Z jej inicjatywy, w 1988 roku, powstała grupa twórcza „PASJA”, z którą związana jest do chwili obecnej. Od jedenastu lat prowadzi również grupę plastyczną „Tęcza” działającą przy Miejskim Domu Kultury „Dworek” w Rejowcu Fabrycznym. W swoim bogatym dorobku ma także wiele realizacji z zakresu projektowania wydawnictw.

Jest artystką bardzo płodną, maluje szybko, z pasją. Jej repertuar jest bardzo szeroki, od niezliczonych kompozycji floralnych, po motywy pejzażowe już na pograniczu przedmiotowości, aż po formy czysto abstrakcyjne. Jej prace znajdują się w wielu instytucjach i zbiorach prywatnych w całej Polsce.



Teresa Chomik-Kazarian – urodzona w Krasnymstawie, ale od 1968 roku swoje życie zawodowe i prywatne związała z Chelmem oraz pobliskim Uhrzem. Ukończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu. Jest absolwentką Wydziału Malarstwa Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Zajmuje się głównie twórczością w dziedzinie malarstwa oraz animacją kultury. Była pomysłodawcą i organizatorem ponad 130 ogólnopolskich i międzynarodowych plenerów artystycznych i warsztatów plastyczno-fotograficznych. Stworzyła Dom Pracy Twórczej w Uhrze, który prowadzi od 1994 roku. Przez dziesięć lat, począwszy od 2002 roku zajmowała się organizacją Międzynarodowych Warsztatów Malarskich w Pieńkowie.





mal. Teresa Chomik-Kazarian